Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

540 D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

549 D

2034

Tow. Przyjaciół nauk w Przemyślu.
D Lit
№ 94 115

KOLIZJE OBOWIĄZKÓW.

POWIEŚĆ

przez

J. Chorobskiego.

Biblioteka Tow. „ZNICZ" w Przemyślu
960

KRAKÓW.
Nakładem Juliusza Wildta.

1876.

3171835

A-20256

1000174341

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

literat. Ba

K. 1160/56/6

W drukarni dr. Ludwika Gumplowicza
pod zarz. St. Gralichowskiego.

Téj, która grą swoją wzbudza natchnienie i zapał.

Autor.

Czerniowce 9 sierpnia 1874.

I.

Na dworze szalała burza okropna.

Wicher wył przeraźliwie, aż z przestrachu dzwoniły szyby i drżały w zawiasach okna.

Deszcz ulewny bił o kamienice, a na rogach ulic prawie szalone tańcowały wiry w chwilach, gdy dwa prądy wiatru o siebie uderzyły.

Płomyk lamp gazowych, chociaż oszklony, to przygasał, to silniéj płonął pod wpływem prądów wiatru; które do wnętrza lamp się wkradały.

Rynny wyrzucały ze swego wnętrza deszcz, oblewając chodniki...

Wśród takiéj nocy burzliwéj, gdy zwierzęta i ludzie z przerażeniem kryli się pod dach, przez plac św. Krzyża w mieście N. szedł szybko jakiś mężczyzna.

Przy jaśniejszym błysku lampy ciekawy mógł dojrzéć, że idący owinięty był grubym fałdzistym długim płaszczem, a jego wielki na oczy nasunięty kapelusz wybornym był na deszcz zbiornikiem.

Szedł bardzo szybko, a cień jego, przy mrugającem bezustannie świetle latarń, migał i powiększał się, to malał.

Przy kamienicy oznaczonéj l. 365 zatrzymał się, rzucił spojrzenie ku piętrowym oknom, strzepał deszcz z fałdów płaszcza i kapelusza, mruknął coś do siebie niewyraźnie i wbiegł równie szybko po schodach.

Na drugiem piętrze, raz jeszcze otrzepawszy się z deszczu, wszedł cicho, ostrożnie, do niewielkiego i blado oświeconego pokoju.

Na skrzypnięcie drzwi wybiegło młode dziewczę z wesołemi świecącemi oczyma, a zobaczywszy przybyłego, oblało się szkarłatnym rumieńcem.

Piękne było to dziewczę, rysów regularnych, twarzy ściągłéj; oczy czarne, świecące, uśmiechały się, nęciły i wabiły.

Dziwne były te oczy i dziwny ich wyraz.

Czasem świeciły i biegały, jak dwie gwiazdki błyszczące, jaśniały jakimś wyrazem nieujętym w słowa, nieopisanym; czasem patrzącego czarowały swym blaskiem, zawracały głowę, otumaniały, że nie jeden jakby pod wpływem uroku tonął w nich jak w bezdennéj morza głębinie, a morze wabiło ku sobie... wabiło i nęciło, i zapraszało, obiecując jakieś różne dziwne rzeczy, które dlatego, że nieujęte w słowa ani określone bliżéj, tem były niebezpieczniejsze, bo ciekawość zaostrzające, podrażniające wszystkie uczucia w ludzkiem sercu i głowie, łechtające po każdéj strunie duszy, jakby próbowały, która jest najsłabszą w człowieku, która jaki ton, która piękniejszą wyda muzykę.

— Takie moje szczęście.

— O! to pewna, jednak nietylko pańskie, ale i wielu innych; bo jak panu wiadomo, nikomu nie wierzę.

— Jak pani wiadomo, bo mówiłem to już kilkanaście, a może kilkadziesiąt razy, nie rozumiem, nie pojmuję i potępiam ten brak wiary w młodéj osobie. Czy pani miała czas do rozczarowania, czy panią kto zawiódł, oszukał, wiary nie dotrzymał?

— Nikomu nie wierzyłam, wiec mnie nikt nie zawiódł i sądzę, że jedynym środkiem i jedynem lekarstwem, zapobiegającem temu, jest brak wiary. Nikt mnie nie zawiedzie, nie oszuka, na niczem i nikim się nie rozczaruję, bo nikomu i w nic nie wierzę.

— A przyznaj pani, że...

— Przyznaj pan, że rozczarowanie, zawód, bolą zawsze i lepiéj jest umieć oszczędzić sobie tego bólu.

— Wątpię, czy go pani sobie oszczędza tym sposobem.

— Jakto! dlaczego?

— Dlatego, bo nie dając nikomu bez wyjątku wiary, możesz pani natrafić przecież na kogoś, co na wiarę zasługuje, i przekonawszy się o tém, musi ci być przykro, żeś mu zrobiła krzywdę swoim sądem, swoją niewiarą; to panią musi boleć.

— Taką krzywdę, sądzę, łatwobym naprawić mogła, dając mu wiarę, na którą zasłużył.

— A jeżeliby już było zapóźno?

— Nie jest nigdy późno; a zresztą, to i le-

piéj; mniéj innych może boleć brak mojéj wiary, aniżeliby mnie bolało rozczarowanie.

Gustaw nie miał czasu na to odpowiedzieć, bo usłyszawszy rozmowę wyszła z przyległego po lewéj stronie pokoju matka pięknéj Józi.

Była to bardzo miła staruszka, o pięknych siwych włosach, z łagodnym uśmiechem. Rysy wskazywały, że za młodu musiała być bardzo piękną, nawet więcéj jak piękną, bo oczy Józi i jéj usta różane przypominały bardzo twarz i wejrzenie staruszki, a o ile wzrok córki miał w sobie coś tajemniczego, co nakazywało podziw, ale odstraszało uczucie, coś nęcącego i taki urok, któremu nikt się oprzéć nie mógł, o tyle wzrok matki pociągał swoją łagodnością, słodyczą wejrzenia, spokojem i miłością, która zdawała się prosto z serca płynąć, a do ust i oczu wysłała swego posła w postaci słodkiego uśmiechu.

Pani Kalińska po przywitaniu zaczęła z Gustawem obojętną rozmowę o deszczu i słocie, o tem co w mieście nowego. Widocznie jednak niechętnie mówiła, bo niechętnie myślała. Matka Józi należała już do tych kobiet, którym najmiléj, gdy od nich świat ani światowe względy niczego nie wymagają. A chociaż z Gustawem nie robiła sobie subjekcji, przecież z radością usłyszała:

— Ojciec zbudził się i poznawszy głos pana Gustawa, prosi by raczył przejść do niego.

Gustaw obrócił się w prawo, zkąd głos ten pochodził.

We drzwiach stała druga córka pani Kalińskiéj, o któréj właściwie wspomniała Józia.

Anna zupełnie niepodobną była do swéj siostry, pomimo wielkiego podobieństwa z matką.

W jéj twarzy, spojrzeniu, ruchu rozlany był taki spokój, cisza, że jeżeli prawdą jest, iż spokój jest pierwszym warunkiem szczęścia, Anna musiała być bardzo szczęśliwą.

Nie była wcale piękną, owszem były chwile, w których nawet brzydką była, ale spokój i łagodność czyniły jéj twarz miłą i pociągającą.

Twarz miała więcéj śniadą niż białą, płeć prawie brunetki lub nawet cyganki, chociaż kolor włosów zaledwie szatynką nazwać ją pozwalał; z tego powodu gdy była dzieckiem, ojciec, który ją nad wszystkie kochał dzieci, i o przywiązaniu tém jawnie i głośno mówił, nazywał ją „swojem cyganiątkiem“.

Oczy miała duże, siwe, wyrażające tyle głębokiéj myśli, takie bogactwo ducha i zasobów moralnych, przymiotów duszy, serca i rozumu, iż z błysku oka tego musiał zaczerpnąć poeta natchnienie, słaby siłę, małoduszny zapał i odwagę, zwątpiały wiarę.

Czoło miała wysokie, myślące, otwarte, więcéj męskie niżeli niewieście, usta z takim samym łagodnym uśmiechem jak usta matki, a wyraz oczu z tym uśmiechem ust był taki jakiś dziwny, iż zdawało się, jakby stworzony, zrodzony był na téj twarzy dla pocieszenia strapionych.

Anna powtarzała wszystkim, że piękną nie jest i równie jak wszyscy w domu i jak świat cały przyznawała pierwszeństwo pod tym względem Józi, ojciec tylko jeden kiwał głową, gdy kto wdzięki Józi wychwalał, i mruczał:

— Jeżeli kto moją Andzię weźmie, skarb weźmie; takiéj drugiéj nie ma pod słońcem kobiety.

I może niebardzo mylił się stary ojciec.

Od lat kilku bowiem leżał chory nie ruszając się z łóżka, a Andzia, ile siły jéj dozwalały, pielęgnowała ojca, była jego pociechą moralną i pomocą, podporą.

Wprawdzie układano nieraz, że dzień jeden Józia, drugi Andzia czuwać będzie przy nim, bo ojciec domagał się koniecznie, aby mieniały się siostry, ale kończyło się zawsze na układzie, bo Józia ani umiała choremu tak dogodzić, ani miała tyle cierpliwości, żeby się o to starać.

Usłyszawszy głos Anny, piękny, świeży, spokojny, Gustaw jak gdyby drgnął.... zwrócił się w prawo i pośpieszył z powitaniem.

Wzrok jego zatrzymał się chwilę na twarzy Anny, potem zwrócił ku Józi.

Józia siedziała nieruchoma na kozetce, główkę wsparła na ręku, oczy zamyślone patrzyły w głąb pokoju i zdawały się lada moment posypać iskrami... błyszczały i świeciły.... a usta rozchylone jaśniały perłami ząbków.

Gustaw oderwać nie mógł wzroku od ślicznéj Józi i szepnął do siebie:

— Ach! jaka ona śliczna!...

— Dobry wieczór Gustawie, — przemówił głos z przyległego pokoju, bez dźwięku i siły, widocznie schorowanego człowieka, — poczciwyś, żeś mnie odwiedził, miałem do ciebie interes.... dziękuję ci, żeś przyszedł, bo słyszę tam dziś taka burza, że ledwie nie zabija ludzi.

— Pada deszcz w istocie, ale nawałnica wcale

z największą ofiarą dostać ich muszę... i dostanę.

— Rozumiem panią...

— Wiem, że pan nie masz majątku, bo gdybym o tem nie wiedziała, nie udawałabym się z tem do pana...

— Ileż pani potrzebuje?

— Nie wiem jeszcze dokładnie, przyszłość pokaże, na razie sto złotych spodziewam się powinno wystarczyć...

— Mam dwieście oszczędzonych, — przerwał żywo Gustaw.

— Więc schowaj je pan dla siebie na nagłą potrzebę.

Chwilę milczała, jakby zbierała siły do mówienia.

— Masz pan, — mówiła prędko obracając pierścionek na palcu, co było oznaką gwałtownego wzburzenia, — masz pan, jako mężczyzna, różne znajomości, wiele znajomości... czy nie znasz pan kogo, coby na mój, mój wyłącznie podpis dostarczył potrzebnych pieniędzy na podróż mego ojca?..

Gustaw zamyślił się głęboko.

— Daruj mi pani to pytanie, szczerość za szczerość... czy pani pojmuje doniosłość tego kroku?

— Zdaje mi się, jeżelim się na niego zdecydowała...

— Nie zrozumiałaś pani mego pytania; nie idzie o samą pożyczkę, ale o jéj następstwa. Żydzi, bez pewnéj hipoteki pieniędzy nie pożyczają... a i na hipotekę dając, żądają tak ogromnych prowizji, że w przeciągu lat trzech, a może i dwóch kapitał się podwaja... to jest procentów przyrasta tyle...

— Rozumiem... ale...

— Ale nie ma na to rady... chcesz pani powiedzieć; owszem, jest, wziąć pieniądze odemnie...

Andzia poruszyła się na krześle.

— Pozwól mi pani skończyć, chwilkę cierpliwości; fundusik mój złożony jest w kasie oszczędności, zatrzymaj tak długo kapitalik, jak ci będzie potrzeba... będziesz pani miała i tę wygodę, że do kasy oszczędności po kilkadziesiąt centów można składać; tym sposobem bez uszczerbku i z łatwością uskładasz sobie pani pożyczoną sumę...

— Serdecznie dziękuję, umiem ocenić dobroć pana, — odrzekła Andzia, — ale korzystać z téj ofiary nie mogę...

— Dlaczego? — żywo zapytał Gustaw.

— Chociażby dlatego, że od egzaminu pańskiego, do którego się obecnie przygotowujesz, zawisła przyszłość pańska i awans, a na taksę jego drugi raz już nie uzbierasz tych pieniędzy.

— Zostaw pani mnie tę troskę.

— Daruj pan... nie uczynię jak ty chcesz, zresztą nie ma o czem mówić, pod tym względem nie zmienię zdania. Znam twą dobroć i poczciwość, chciałeś pan pożyczyć na swoje imię i mnie dać od siebie, tak, abym ja nie była zobowiązaną wobec żydów...

— Zaręczam pani, że jesteś w błędzie.

— Tak!? — odparła z badawczem wejrzeniem, — być może, to jednak nie zmieni mego postanowienia; pieniędzy tych możesz pan nagle zapotrzebować, a nie ścierpiałabym, gdybyś przez nas za swą uczynność miał mieć szkodę.

— Więc będzie czas wtedy pożyczyć u żydów.

— Tak, pożyczysz pan sam.

— Na cóżbym ja mógł potrzebować? Rodziny nie mam... ani matki, ani ojca chorego, któryby pieniędzy moich zapotrzebował, któremubym winien dać utrzymanie i wygody... jestem sam od dzieciństwa, bo miałem lat trzynaście, gdy mi rodzice oboje pomarli, przywykłem żyć skromnie i sam pracować na siebie, i wystarczać tem co mam.

— Nie mów pan tak, bo wiem doskonale, że utrzymujesz ciotkę starą i swoją cioteczną czy dalszą jeszcze krewną... nie rozmijaj się pan z prawdą.

— Ciotka ma własny fundusik i własną pensyjkę... ja jéj w niczem nie pomagam, — przerwał Gustaw z rumieńcem i pomięszaniem niejakiem.

— Wiem o tem aż nadto dobrze, i poczęści dlatego, poczęści dla pana samego tego grosza tak krwawo zapracowanego nie wezmę; za dobroć, poczciwość twoją serdecznie dziękuję, ale nie dziwuj się pan, że ofiary nie przyjmuję.

Gustaw nie rychło ustępował.

— Jeszcze słowo. Powiedziałaś pani, że mająteczek wasz wyczerpał się... czy zastanowiłaś się nad skutkami, jakie może mieć nieuiszczenie się w terminie żydowi?.. zkąd pani znajdzie fundusz do zwrotu kapitału i opłacenia procentów?

— Dziękuję za tę troskę, — rzekła Anna patrząc czule na Gustawa, — dowodzi ona prawdziwéj przyjaźni, rzetelnego uczucia dla nas... pozwól pan jednak, że o źródłach dochodów na zapłacenie tego długu przemilczę, a niepewność terminu zwrotu jest także jednym z powodów, dlaczego od pana pożyczki nie chcę... Ktoś nadchodzi... dosyć o tem; zaręczam panu, że od postanowienia mego

się nie cofnę i jeżeli mi pan nie dasz pomocnéj ręki w téj sprawie, będę musiała się postarać o pomoc zkądinąd... czy to będzie lepiéj?

W téj chwili weszła Józia.

— A! — rzekła ze złośliwą minką, — jak tu państwo w tym cieniu pięknie wyglądacie...

Anna zmięszała się bardzo, chociaż sama nie wiedziała dlaczego, a Gustaw podkręcając lampę, odsunął się z krzesłem od stolika i rzekł:

— Pan radca zasnął, zbytnie światło mogło mu przeszkadzać.

— Czy teraz już nie śpi? — zapytała Józia patrząc na Gustawa swemi żarzącemi oczyma i uśmiechając się szydersko, jakby zwyciężyła w jakiéj ważnéj dyspucie (bo trzeba wiedziéć, że zawsze sprzeczała się i dysputowała z Żarnowskim).

— Rzeczywiście, — odpowiedziała Anna, odzyskując swój spokój, — niepotrzebnie pan podniosłeś światło, mówimy zagłośno, ojca to razić może...

— Nie, nie, Andziu! — odezwał się radca, — i światło mnie nie razi, i głosy wasze nie przeszkadzają...

Po krótkiéj chwili, zamieniwszy jeszcze słów kilka, zobaczywszy, że Kaliński usnął znowu, Żarnowski pożegnał się i odszedł do domu.

Potrzebował odetchnąć, wypocząć, zebrać myśli i zdać sobie sprawę z wrażeń dzisiejszego wieczora.

Przebiegł szybko przestrzeń dzielącą plac św. Krzyża od ulicy Rzeźnickiéj, przy któréj mieszkał.

Burza, jak wszystko gwałtowne i wysilające, przeszła szybko. Wiatr rozpędził chmury, a pozostałe obłoczki, goniące się wzajemnie po sklepieniu niebios, układając się w dziwaczne fantastyczne o-

brazy i kształty, dodawały piękności ślicznemu wieczorowi.

Księżyc rogaty przekradał się pomiędzy chmurki, jakby spieszył na umówioną tajemną schadzkę miłośną do któréj gwiazdki... wszystkie oczekiwały go niecierpliwie, wybiegło ich tysiące, krocie do niego na spotkanie... w powietrzu rozchodziła się jakaś woń balsamiczna, jakaś świeżość nieujęta w słowa. Na ziemi kamienice stały ciche, milczące, z ponurym niewyraźnym lecz długim cieniem.

Cicho było i spokojnie na ziemi, w powietrzu i na niebie, lecz nie było tak spokojnie w umyśle Gustawa Żarnowskiego.

Tem większe przeciwieństwo stanowił niepokój, który nim miotał; tem bardziéj odbijała ta głęboka cisza natury.

— Dlaczego tu tak spokojnie, dlaczego tak cicho na ziemi i na niebie, a we mnie taki niepokój?.. — mówił do siebie Gustaw, przyspieszając coraz bardziéj kroku, jakby chciał uciéc przed ścigającemi go czarnemi oczyma Józi, lub przed tym spokojem, który panował nietylko w niebie i na ziemi, ale i w całéj spokojnéj postaci Anny, wysuwającéj się z za Józi.

— Miałżebym kochać?.. — pytał siebie dostawszy się do swego pokoju i stając w oknie, dającem widok na piękny ogród, śliczną zieloność drzew, która tak pięknie wydawała się przy świetle księżyca. — Czy to jest miłość? to ma być uczucie opiewane, uwielbiane od poetów?.. — pytał się oddychając pełną piersią. — Więc ten żar... ten szalony wir myśli pod czaszką, rodzący uczucie jakieś dziwne, zapalający płomieniem krew w żyłach,

rozbudzający ogień w piersi i sercu człowieka jest miłością?.. Nie, nie! to jest szaleństwo nie miłość! Taki szał szczęścia dać nie może, taka burza w sercu, rozdzierająca i burząca wszystko, rozstrajająca i roznerwująca nie jest miłością! ja nie kocham!

Długą chwilę patrzył w gwiazdy, aż uspokoiwszy się zamknął okno i chciał zabrać się do pracy. Światło lampy, widok rozłożonych papierów i paragrafów ochłodził i uspokoił go zupełnie i powrócił z wycieczki w świat szału do świata rzeczywistości.

— A przecież, — mówił do siebie siadając przy biórku i otwierając kodeks, — przecież zwierzęciem namiętnem nie jestem, uczucie moje nie jest namiętnością... Więc czem jest?.. Nie jest miłością, nie jest namiętnością... więc nie ma uczucia żadnego?..

I w téj chwili przesunęła mu przed oczyma postać cudowna ślicznéj Józi z oczyma temi uroczemi, których bezdenna głębia pociągała i wabiła go tak ku sobie...

— A przecież one mi nie są obojętne... ja dla nich zrobiłbym wiele, może wszystko poświęcił... Czy kocham Józię? na któréj widok krew burzy mi się w sercu i głowę otumania jakiś szał, jakbym się upił temi oczyma, z których tyle życia tryska, upoił widokiem jéj postaci, uśmiechem, spojrzeniem... nie, to nie jest miłość, — dodał po chwili, gdy mu na myśl przyszła cicha, spokojna Anna, poważna, z temi myślącemi, wyrazistemi oczyma. — Więc kocham Andzię? wielbię jéj powagę, miłość ku ojcu... szanuję, poważam ją. Tak, ja ją szanuję, poważam, ale nie kocham... jestem

im tylko przyjacielem, bratem... innéj miłości dla żadnéj nie mam.

Na tem zakończył Gustaw badanie swego serca i swych uczuć, ale chociaż uspokoił się na pozór zupełnie, do pracy był już niezdolny; rzucił się na łóżko, i zgasiwszy lampę długo rozmyślał, jakby uczynić zadość żądaniu Anny, a nie dozwolić jéj rzucić się w szpony lichwy.

Gdy Żarnowski wyszedł od Kalińskich, długi czas panowało ponure milczenie w saloniku obok pokoju radcy.

Anna siedziała na kozetce niedaleko drzwi, oczekując wezwania ojca i uderzenia godziny pierwszéj, o któréj miała mu podać lekarstwo, obliczając, ile może kosztować podróż dwojga ludzi do Krynicy i pobyt tam przez sześć tygodni, zdrowéj córki gotowéj na wszystkie ofiary i poświęcenia i chorego ojca, któremu kosztem tych ofiar na niczem zbywać nie było powinno?

Któż wie, może i o czem innem myślała siwooka Andzia, może i w téj zimnéj, martwéj na pozór skorupce, serce robiło wycieczki w świat idealny ułudy i marzeń? może... może... ale twarz jéj była spokojna jak powierzchnia cichego oceanu, gdy nastanie cisza morska.

Józia siedziała na drugiéj kozetce, w miejscu, gdzie usiadła za przybyciem Żarnowskiego.

Żywy rumieniec okrywał jéj twarz całą i czoło, a oczy szybko, gwałtownie prawie biegały po całym pokoju, przeskakując z przedmiotu na przedmiot; najdłużéj zatrzymały się na spokojnéj twarzy Anny, któréj oczu dojrzéć nie mogła pod rzęsami i gęstym łukiem brwi.

Palcami z dziwnym jakimś ruchem, zdradzającym wewnętrzny niepokój, bawiła się a raczéj targała frandzelkę przy aksamitnym staniku, w którym było jéj bardzo do twarzy, bo uwydatniał jéj postać i kibić wysmukłą, a nóżką z taką samą niecierpliwością suwała po wygiętéj nodze stolika, przy którym siedziała.

Pani Kalińska siedziała w trzecim rogu pokoju i odmawiała pacierze dumając o swoim jedynaku i marząc o cichéj i spokojnéj starości przy jego boku... wnukach...

Nagle zerwała się z kanapki Józia, przeszła kilka razy po pokoju, rzucając ukośne spojrzenia w stronę Anny.

— Kocha go! nieochybnie kocha!.. — szeptała sobie i znowu usiadła na dawnem miejscu; ale na jednem miejscu; długo usiedzieć nie mogła. Powstała znowu i stojąc przed Anną rzekła do niéj wyraźnie ale cicho, aby matce nie przerywać pacierzy.

— Anno! — mówiła wibrującym głosem, — *jouons un jeu ouvert*... ja kocham Gustawa!

Anna drgnęła... po twarzy jéj przebiegł płomień i widocznie tylko wysileniem wszystkiéj mocy zdobyła się na spokój pozorny, jednak w piersi drżało serce i tylko Józia wyłącznie sobą zajęta nie dojrzała tego i nie poznała, co się dzieje w duszy Anny, nie widziała szybkiego biegania jéj oczu i zbiegłych w jeden fałd brwi i zaczerwienionych białek.

— Kochasz go? — zapytała równie cicho, ale o wiele spokojniéj, — zdaje mi się, że i on ciebie kocha, za rok będziesz jego żoną.

— A ty? — zapytała wybuchając bez względu i nierozważnie namiętna Józia.

— Ja? a cóż ja mam do tego?.. nie sądzisz przecież, — i rumieniec znowu wybiegł na jéj twarz, ale go Józia także nie dojrzała w ciemnym prawie pokoju, — abym i ja go kochała!.. ja zimny głaz, zimna ryba... jak mnie nazywasz, — dodała trochę ironicznie.

— O! o to cię nie posądzam, — wykrzyknęła głośniéj Józefa, — nie posądzam wcale... ale on! czy on ciebie nie kocha!?

— On?! mnie! — zaśmiała się szydersko Andzia, — mnie, w któréj nie mógł się spodziewać ani serca, ani wzajemności, ani uczucia...

— Mężczyzni są dziwni czasem, chłód nie odpycha ich, zimno pociąga, obojętność zaciekawia...

Annę obraził trochę ton, jakim te słowa wymówione były.

— Zaręczam ci, że Gustaw nadto mnie zna, abym mógła być dla niego „ciekawą zagadką“, — odrzekła nieco z goryczą, — zresztą nie silę się wcale na zagadkowość wobec nikogo, tem bardziéj wobec Gustawa!.. — dodała z pogardliwym ruchem, który znowu Józię obraził, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego.

— Nie uważałam u ciebie téj nadzwyczajnéj obojętności dla pana Gustawa i mogłabym tego przytoczyć niejakie przykłady. Dlaczego dzisiaj śpiący ojciec zapragnął tak gorąco rozmowy z Guciem, gdy ja z nim rozmawiałam? Zdaje się, że przez sen musiał ci wyrazić swoje życzenie... albo może ty... jako czuła córka, nieodstępująca jego łoża ani na chwilę, tak się nauczyłaś odgadywać jego

życzenia, że wiesz nawet, czego śpiąc pragnie... i potem długa półgodzinna konferencja w ciekawem półświetle lampy skręconéj dla biednego chorego ojca... aby mu światło snu nie przerwało!..

— Józiu! — wybuchła Anna wstając z kozetki i rzucając na siostrę straszne, przejmujące do głębi spojrzenie, któremu towarzyszyły trzy wielkie fałdy zbiegłe na czole, — Józiu! nie drażnij méj dumy i nie ubliżaj godności własnéj tego zimnego bezdusznego głazu... bo i ja jestem kobietą... i znajdę może na dnie piersi serce, kióre ci odpowie na obelgi... a za zniewagę zemścić się potrafi, choćby na siostrze... Nie zarzucaj mi kokieterji... i więcéj jak kokieterji, która w tym wypadku byłaby podłością, bo znam twoje serce i wiem, że lubisz Żarnowskiego...

Lecz natychmiast opanowała swój zapał i dodała spokojniéj:

— Ty powiadasz, że go kochasz... być może, różne są rodzaje miłości i różni różnie ją pojmują; chcę wierzyć, że uczucie twoje jest miłością, ale chociażbyś go kochała, to ci nie daje prawa żadnego do ubliżania mnie.

Józia padła na kozetkę i głośnym wybuchła płaczem.

— Wy mnie nie rozumiecie, nie pojmujecie... ty nie kochasz, nie wiesz, co to jest zazdrość; mnie jest tak duszno, tak ciasno, gdy on z tobą mówi, tak mi się serce kurczy...

Anna usiadła obok niéj i wzięła ją za ręce.

— Andziu! droga moja siostro, — wołała łkając Józia, — jeżelim cię niewinnie posądziła, jeżelim ci krzywdę mojemi słowy zrobiła, przepraszam

serdecznie, szczerze, ja czasem nie wiem co mówię.

— Te słowa twoje, — odparła z uczuciem Andzia, ściskając i całując siostrę, — nagradzają mi zupełnie tamtę krzywdę; wierzę, żeś mi boleści sprawić nie chciała, ale zastanów się Józiu, do czego cię prędkość twoja prowadzi, pomyśl, coś mi zarzuciła... — i Annie na tę myśl także łzy zaświeciły w oczach.

— O! przepraszam, przepraszam cię raz jeszcze, ty płaczesz... to musiało być coś bardzo złego, com ja powiedziała, nie gniewaj się... nie gniewaj na mnie, — i chciała ją pocałować w rękę.

Matka zdrzemała się nad pacierzami i rojeniami przyszłości dla syna i nie słyszała wcale cichego dramatu, który się odegrał między siostrami.

Po chwili, gdy łzy oschły, odezwała się pierwsza Józia:

— O! gdybyś ty wiedziała, jak ja go kocham...

— Niech ci Bóg da z nim szczęścia jak najwięcéj... jest zacnym, dobrym, szlachetnym, dołoży wszelkich starań, aby cię uszczęśliwić... Pozwól Józiu pomówić z sobą otwarcie, nie upatruj w tem, co ci powiem, chęci zrobienia ci przykrości... Zastanówmy się, czy ty jego także uszczęśliwisz... czy ty przez swoją żywość nie cieszysz się dziś tem, co cię jutro może znudzi?..

— Gdybyśmy się zaczęli nad wszystkiem głęboko zastanawiać, — przerwała żywo Józia, — rozmyślać i badać, czy nie zajdzie to lub owo, nicbyśmy na świecie nie zrobili... gdyby każdy zaczął ważyć, czy on ją lub ona jego uszczęśliwi, niktby się nie żenił, aniby żadna z nas za mąż nie poszła...

— Widać, żem się źle wyraziła, kiedyś mnie nie zrozumiała... Idzie mi o to, czy ty Gustawa prawdziwie kochasz...

— Czy można kochać nieprawdziwie? — przerwała znowu Józia.

— Można, — odrzekła poważnie Anna, — i mnie się właśnie zdaje, że ty Gustawa nieprawdziwie kochasz... żeś w siebie wmówiła tę miłość... i tylko ci się zdaje, że go kochasz... zazdrość twoja nie ma źródła w miłości... nie jesteś zazdrosną dlatego, że kochasz, ale zdaje ci się, że kochasz dlatego, że jesteś zazdrosną. Tak samo byłoby z każdym innym mężczyzną...

— Mylisz się Anno...

— Bardzo być może... powiedziałam ci moje zdanie, moje wrażenie ze stosunku tego... nie oparte ono tylko na dzisiejszéj naszéj rozmowie, ale jest wynikiem długich spostrzeżeń i bacznych uwag... Dziś właśnie upływa lat pięć, jak Gustaw wszedł po raz pierwszy do naszego domu... byłam już wtedy dość słuszną, aby zastanawiać się nad ludźmi i rzeczami... z natury byłam rozwinięta nad wiek; choroba ojca, prawie niedołężność matki nauczyły mnie zastanawiać się nad wszystkiem, zgłębiać i brać życie z poważniejszéj strony, niżby je może brać należało dla szczęścia własnego w teraźniejszym wieku. Nie dziwuj się więc, że myślałam także wiele nad tobą i Gustawem, i badałam wasze usposobienia, pytam, czy będziesz z nim szczęśliwą i on z tobą... czy uczucie twoje i jego jest miłością...

— I przyszłaś do tego przekonania, — przerwała niecierpliwie Józia, — że ja go nie kocham, tylko...

— Poczęści masz słuszność. Jednak dla miłości nie można stałéj ustanowić teorji ani normy; nikt mi nie zaręczy, że ty kogoś więcéj polubisz nad niego, ani że Gustaw pokocha goręcéj inną kobietę jak ciebie... dlatego, niechaj ci Bóg da szczęście... jestem przekonana, że rodzice nic nie będą mieli przeciw twemu wyborowi, a skoro Gustaw zrobi ostatni egzamin, Józia nazywać się będzie panią Gustawową.

Uścisnęły się raz jeszcze.

Józia przytuliła się do siostry jak małe obleśne kocię. Anna pocałowała ją w głowę; ale zajęta sobą Józefa, chociaż przytulona blisko piersi siostry, nie słyszała gwałtownego i przyśpieszonego bicia jéj serca, nie zapytała, dlaczego serce to tak głośno bije i tak gwałtownie tłucze się po biednéj piersi...

Anna zapłakała... bez spazmów, bez szlochów, wyczerpały się jéj siły i dwa spokojne strumienie łez puściły się z siwych jéj oczów.

Czy płakała nad siostrą?.. Czy nad sobą?.. Czy nad swoim losem, nad swoją dolą?..

Czy z jéj strony była jaka ofiara spalona na ołtarzu miłości siostrzanéj?..

Nie wiem... bo uderzyła właśnie godzina pierwsza, i Anna szybko otarła oczy z łez, nadała im wyraz spokoju i zwykła powaga i cisza zapanowały na jéj obliczu.

Jakby nic ważnego nie zaszło, powstała z ka-

napki i zbudziwszy matkę prosiła, aby się udała na spoczynek, sama zaś poszła do ojca.

Józia chciała wprawdzie zająć jéj miejsce przy łożu chorego, bo Anna zeszłéj nocy czuwała, ale wytłómaczyła jéj siostra, że dziś jest roznerwowana, zmęczona, że spać powinna dla nabrania sił.

Na drugi dzień, raczéj téjże nocy wschodzące słońce zastało jeszcze Annę w krześle w nogach ojca... a schorzały radca obudziwszy się na chwilę, usłyszał, jak napoły we śnie napół w marzeniu biedne dziewczę wyszeptało imię Gustawa i znużone czuwaniem usnęło z imieniem Żarnowskiego na ustach.

Inaczéj zasypiała Józia.

Niecierpliwiąc się rozpuściła swój długi czarny warkocz i z gwałtownością niezwykłą przesuwała grzebień po włosach.

Dlaczego była niecierpliwą?

Dlaczego gniewało ją dzisiaj wszystko?

Nie wiedziała sama i nie umiała sobie tego wytłómaczyć, :równie jak zapanować nad sobą nie umiała, bo się o to nigdy nie starała.

Długą chwilę będąc już w łóżku przewracała się Józia, z lewego boku na prawy, z prawego na lewy; rozburzona krew długo usnąć jéj nie dała.

Kto wie, czy Anna widząc to nie potrafiłaby sobie wytłómaczyć jéj rozdrażnienia. Anna Józię tak dobrze znała i nie skłamała wcale mówiąc: „zastanawiałam się nieraz nad ludźmi i rzeczami.“

A widząc takie oznaki niecierpliwości siostry zawsze mówiła:

— Gniewa cię to?... więc powiedziałam prawdę!... sąd fałszywy boli; prawda, ludzi z takiem jak ty usposobieniem, tylko gniewa!...

I kto wie, czy Anna myliła się skreślając tak usposobienie Józi; bo piękna dziewczyna im bardziéj zastanawiała się nad słowami siostry, tem więcéj one ją gniewały, czując w głębi duszy całą ich słuszność i nie chcąc im jéj nawet przed sobą przyznać.

Zirytowana... rozgniewana... usnęła wreszcie z myślą:

— Powiada Anna, że go nie kocham... żem tylko zazdrosna bez miłości... otóż na złość jéj będę kochała... na złość on mnie pokocha, na złość jéj pójdę za niego i będę szczęśliwa!...

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Józia nie mogła obok Gustawa postawić sobie obrazu innego mężczyzny, nie mogła w duszy wyrobić pomiędzy nim a kimkolwiek drugim rywalizacji, ani porównania, już choćby dla téj tylko przyczyny, że żadnego prócz Żarnowskiego nie znała. Gdy bowiem ojciec przed trzema laty ciężko zachorował, była jeszcze tak młodą, że zajmowała się tylko książkami i nauką, a od czasu choroby ojca dom był znowu tak zamknięty, że nikt z młodzieży u nich nie bywał i nikogo nie znała prócz przyjaciela swego brata.

Może poniekąd i ta okoliczność wpłynęła na sąd Anny o uczuciu Józi dla Gustawa, może jeszcze jakie składały się na to powody, powodziki i żywioły, ale nosiło to powiedzenie cechy wszelkiego prawdopodobieństwa i sama Józia w głębi duszy słuszność przyznać mu musiała.

II.

Przy ulicy Rzeźnickiéj, jak już wspomnieliśmy, w niewielkim jednopiętrowym domku na piętrze w oficynie mieszkał Żarnowski.

Gustaw zajmował tam trzy niewielkie pokoje z kuchenką; w dwóch mieszkała stara daleka krewna jego z córką, w trzecim on sam.

Anna miała dobre wiadomości wspominając, że Gustaw utrzymywał ciotkę i jéj córkę, myliła się tylko co do stopnia pokrewieństwa. Pani Kowalska bowiem nie była wcale siostrą jego matki, ale jakąś wujeczną jego stryjenki, żadnego zatem nie było pokrewieństwa między nim a nią.

Ale Żarnowski dowiedziawszy się o dalekich swoich powinowatych, nie mając bliższych krewnych, zawiązał z niemi stosunki przyjacielskie, które po śmierci pana Kowalskiego na ściślejsze zamieniły się węzły.

Gustaw bowiem wytłómaczył pani Kowalskiéj, że mieszkanie wspólne taniéjby ich kosztowało... że wikt w traktjerni jest dla niego tak nieznośny a nawet dla zdrowia szkodliwy, tak, iż musi jéj prosić o przyjęcie go na stołownika.

Pani Kowalska była bardzo rozsądną i bystrą osobą, o przenikliwości nawet nie dyplomaty, ale prawdziwie kobiecéj.

Poznała się na delikatności Gustawa i zrozumiała zaraz, o co chodzi poczciwemu młodzieńcowi; łzy zakręciły jéj się w oczach i wyciągając do niego ręce zawołała:

— Dobry, poczciwy chłopcze! więc ty przypuszczasz, że ja ze Stefanją uwisłabym ci jak kłoda żelazna u nóg i wysysała twoje szczupłe i małe

dochodziki... żebym korzystała z twéj szlachetności... o nie! i we mnie jest jeszcze tyle dumy i tyle sił do pracy, że zarobimy sobie razem z moją córką na kawałek chleba.

Na to zaczął Gustaw bardzo przekonywająco mówić o potrzebie wzajemnego wspierania się krewnych, o wzajemnéj pomocy w walce z nędzą i życiem, dwoma najstrasniejszymi wrogami ludzkości; począł wystawiać wszystko tak, jakby Kowalska robiła ofiarę dla niego, przyjmując jego propozycję.

Wdowa opierała się długo jego słowom, opierała stanowczo, ale Gustaw miał tysiące argumentów przekonywających, na wszystko umiał znaleść odpowiedź, że wdowa złamana, znękana, powiedziała mu jakby ustępując:

— Życie całe nigdy do niczego nie przyjdziesz, będziesz eksploatowany, wyssany, każdy korzystać z ciebie będzie. Zresztą, — dodała, chwytając się ostatniéj wymówki, która jéj nagle błysnęła, — mam córkę, która zaledwie żyć poczyna, ma dziś dopiero rok szesnasty... ty jesteś młodym... przystojnym...

Gustaw popatrzył na Kowalską takim wzrokiem, że wdowa w téj chwili inny obrót dała słowom swoim:

— Nie lękam się o twoje ani o jéj serce... bo żyjesz z nią jak brat z siostrą, ale chciej pomyśléć, co powiedzą ludzie... honor, dobre imię, cennem jest dla wszystkich, a dla tych, którzy nic nie mają prócz niego, jedynym skarbem i majątkiem.

Lecz Gustaw i na ten zarzut w téj chwili znalazł odpowiedź:

— Myślałem o tem, — odparł. — Jesteśmy sobie najbliższymi krewnymi, bo bliższych nie mamy. Samaś pani powiedziała, że żyję ze Stefanją jak z siostrą, niechże mnie więc uważa za brata, a ty pani bądź moją ciotką... któż będzie wiedział, że tak nie jest?

W kilka dni potem pani Kowalska sprowadziła się do świeżo najętych pokoików przy ulicy Rzeźnickiéj.

Zaczęło się teraz nowe życie i dla niéj i dla Gustawa.

Gustaw przywykły w dzieciństwie do życia rodzinnego, tęsknił za niem oddawna, bo w trzynastym roku życia straciwszy rodziców, skazany został na życie samotne, kawalerskie i rozwinięty nad wiek, nie mając majątku ani krewnych, którzyby go wzięli do siebie, utrzymywał się sam, dając lekcje kolegom.

Rozkoszował téż teraz tem rodzinnem życiem i cieszył się niem nie do opisania.

Z rozkoszą pierwszego dnia zapijał kawę, którą mu z najśliczniejszym kożuszkiem i śliczniejszym jeszcze uśmiechem podała Stefanja.

— Kuzynku, — zawołała do niego, — może weźmiesz więcéj cukru lub śmietanki, bo nie znam jeszcze pańskiego gustu.

— Kawa jest arcywyborna! — odparł Gustaw przypatrując się czystemu obrusowi, którym nakryty był stół i nie poznając swéj kawalerskiéj tacki, w nowym odczyszczonym stanie, — jedno tylko miałbym jéj do zarzucenia.

— Cóż takiego? — zapytało przestraszone dziewczę.

— Że nie jest dosyć po bratersku podana.

— Jakto?

— Sądziłem nawet w pierwszéj chwili, że to komuś innemu ją podawano.

Stefanja zarumieniła się, ale zapytała:

— Dlaczego?

— Była bowiem podana kuzynkowi, a nakońcu nawet jakiemuś „panu“.

— Przepraszam, — rzekła z bardzo poważną minką, — już się poprawię... Gustawie, — dodała czerwieniąc się jeszcze bardziéj, — może ci dolać czarnéj kawy? czy dla ciebie nie jest zamleczna?

— Nie, bardzo ci dziękuję, Stefanjo, — odparł jeszcze poważniéj Gustaw, — kawa twojéj roboty jest doskonała.

Na tem skończył się pierwszy poranek po sprowadzeniu się Kowalskiéj do Gustawa i Żarnowski pożegnawszy się poszedł do biura.

Stefanja było to śliczne urocze dziewczę, z niebieskiemi oczyma, koloru lazurowego pogodnego nieba. Był w nich wieczny jakiś uśmiech szczęścia i raju, i łza nawet zabłąkana przypadkiem wyglądała zawsze na łzę szczęścia raczéj, jak na łzę smutku i boleści.

Nosek miała cudownie maleńkich i pięknych kształtów, z prześlicznemi różowemi nozdrzami, troszeczkę do góry zadarty, przez co całéj twarzy nadawał wyraz figlarnéj swobody i trzpiotowatości, któremu zresztą nie zadawały kłamu ślicznéj świeżości usta, biegał bowiem po nich zawsze jakiś figlarz uśmieszek, który zalatywał aż na policzki i tonął w dwóch dołeczkach, które wybrały sobie siedlisko na jagodach; była to niebezpieczna za-

sadzka, w któréj nietylko uśmieszek, ale i niejeden niedoświadczony mógł był utonąć młodzieniec.

Włosy nad czołem (a miała śliczne jasne włosy), nosiła ucięte w kształcie tak zwanéj strzyżki, tak, że sięgały prawie do brwi, które długim łukiem nad oczyma się rozłożyły.

Ubrana była zawsze skromnie, czysto, tak, że strój nie podnosił wcale jéj piękności, ale ujmy zrobić jéj nie mógł.

Czystość serca, swoboda ducha, świeżość umysłu rozlane w całéj jéj twarzy, nadawały temu kwiatkowi tyle prawdziwego uroku i wdzięku, który rozlany był w całéj jéj postaci i w każdym niemal ruchu, że Gustaw powróciwszy niekiedy tak rozgorączkowany do domu, jak to opisaliśmy w pierwszym rozdziale, na widok anielskiéj czystości dziewczęcia uspakajał się jakby pod wpływem czarodziejskiéj różczki.

Stefanja jednak nietylko dla przybranego brata była takim balsamem łagodzącym, nietylko on jeden ulegał wpływowi dziewczęcia.

Zdawało się, że wokoło niéj wiała jakaś atmosfera urocza, cudowna, która zakreślała naokoło dziewczęcia zaczarowane koło, a kto granice jego przestąpił, chciał czy nie chciał, musiał uledz wpływowi czaru, jaki piękne dziewczę wywierało.

Gdy pani Kowalska smutna była lub zmartwiona, gdy czasem w pesymistycznem usposobieniu wyrzekała, że jest ciężarem Gustawowi, że żyje z jego jałmużny, że los smaga ją niemiłosiernie, zrobiwszy na stare lata z niéj, dumnéj kobiety... osobę pokorną, żyjącą z łaski biednego chłopaka... w takich dniach i czarnych godzinach życia Ste-

fanja tak długo kręci się koło matki, dopóty szczebiocze i tańcuje około niéj, dopóty wynajduje różne wesołe nowiny dla niéj, cieszy się różnemi rzeczami i drobiazgami, które może tylko dziecka uwagę zwrócićby mogły, dopóki czoła matki nie wypogodzi, nie rozjaśni spojrzenia i uśmiechu nie wywoła na usta.

A wtedy zadowolona ze skutków swoich starań, ucieszona i szczęśliwa, klęka u jéj kolan, całuje ręce i usta:

— Przecież, przecież odpędziłam ten niedobry smutek, który mi całą zabierał mateczkę! a już i do łez niedaleko było!!

Pani Kowalska dopiero wtedy spostrzegała, że córka nie bez interesu szczebiotała koło niéj i mówiła kiwając głową:

— Och! ty sroczko mała, wyrabiasz ze swoją matką co ci się podoba... Stefo! Stefo! nie bądź takim trzpiotem...

— Więc dobrze mateczko, — mówiła poważnie Stefanja, — teraz już będę całkiem poważna, ale mi potrzeba długiéj, długiéj sukni, z ogonem długim, takim, aby się wlókł trzy łokcie po ziemi, bo tak choćbym chciała, nie mogę być poważną.

— Dlaczego? — zapytała mimowolnie matka.

— A! bo widzi mama, nogi mi widać!.. ale kończę już lat szesnaście i jak będę miała ogon, toż to będę poważną!.. aż się mama zadziwi!

Pani Kowalska uśmiechnęła się jakoś boleśnie.

— Nie broniłabym ci i dziś niewinnéj rozrywki, kiedy cię to tak cieszy, ale, — dodała zapadając w pierwotną ponurość, — nową sukienkę nie rychło będę ci mogła sprawić. Gustawowi win-

nam już za miesiąc czynsz z pomieszkania, nie licząc wiktu i sługi... za kilka dni zapłaci drugi czynsz... jeżeli nie będę miała z czego oddać...

— No to co! to co mateczko zrobisz? zagryziesz się, zamartwisz i twą córkę zostawisz samą na świecie, na pastwę tego potwora Gustawa... — zaszczebiotała ze śmiechem ostatnie słowa.

— Masz słuszność...

— Że on potwór, o! ja to codzień powtarzam, przynajmniéj dlatego potwór, że takich poczciwych nie ma dużo na świecie. Ale mateczko, — szczebiotała daléj, aby odwrócić rozmowę od tego przedmiotu, — czy więcéj żadna nie zachodzi przeszkoda w przedłużeniu mojéj sukni?.. o! to ślicznie, zaraz ja się tu zabiorę i zrobię się poważną, taką poważną, że strach!..

— Sroko! co chcesz zrobić? — wołała matka śmiejąc się mimowoli z jéj minki.

— Pozwolisz mateczko? Pozwól! pozwól!..

— Na co?

— Abym sobie ogon zrobiła... pozwalasz?

— Pozwalam... chociaż nie wiem na co.

Stefanja pochwyciła matkę z całych sił obiema rękami i całując ją zaczęła skakać po pokoju.

— Szalona! — wołała matka, — puśćże mnie, ja już zastara... roztrzęsiesz mi kości...

Stefanja puściwszy matkę z uścisków, zabrała się do nożyczek, igły, zaczęła coś pruć, krajać, sztukować, jakieś zakładki spuszczać, a podczas roboty ciągle powtarzała:

— Co też Gustaw powie, gdy zobaczy, że ja mam ogon i że jestem już poważna!.. kto wie, on

się może zmartwi... zawsze mi mówi, że mi bardzo do twarzy bez téj powagi, którą szyję teraz.

Co ona tam koło téj sukienki porobiła, nie wiem, i wątpię, czyby który krawiec, chociażby nawet autor „nauki krojów sukien damskich“ znalazł nazwanie techniczne na tę operację, ale gdy Gustaw przyszedł, suknia miała ogon, a Stefanja była tak komicznie poważną, że Żarnowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Stefanja pamiętała jednak nietylko o swojéj sukni, ale i o humorze matki.

Pieczołowitość jéj rozciągała się także, a raczéj rozciągała się w szczególności do Gustawa.

Nie byłaby córką swéj matki, gdyby nie poczuwała się do wdzięczności za wszystko, co miała od Gustawa... i gdyby nie potrafiła wdzięczności téj w jakikolwiek sposób okazać.

Takie małe wdzięczne myszki są w stanie drobiazgami swojemi więcéj wyświadczyć prawdziwych usług i sprawić przyjemności i rozkoszy, niż to się napozór wydaje.

I tak naprzykład pewnego dnia, gdy Gustaw powrócił z biura, zastał na oknie kilka doniczek kwitnących kwiatów, na stoliku w szklance prosty, ale miły i pięknie ułożony bukiecik, który trzpiotka w ogrodzie przyległym z wolno rosnących kwiatów wybrać i złożyć potrafiła.

Gustaw przypomniał sobie, że dzień przedtem mówił, iż bardzo lubi kwiaty...

W kilka dni potem zastał znowu okna ustrojone w prześlicznie wyprane firanki... cały pokój był przez to weselszy.

Ile kłopotu miała Stefanja, zanim te firanki zdołała zawiesić... ile, zanim one się raczyły układać w takie fałdy, jakie mieć koniecznie chciała, o tem ani wiedział Gustaw.

Takich rzeczy było tak wiele, że wyliczać ich niepodobna; kto jednak doznawał tych drobiazgowych przywiązania dowodów, których tyle dostarcza codzienne życie, a kto mianowicie przywiązuje do nich jakąkolwiek wagę, ten łatwo pojmie, o ile przyjemniéj upływało Gustawowi życie teraz jak przedtem.

Osiem miesięcy takiego życia dziwną zrobiło zmianę w trojgu mieszkańcach domku przy ulicy Rzeźnickiéj.

Pani Kowalska przestała jakoś sama nie wiedząc kiedy uważać się za „ciężar“ Gustawa. Przyczyniło się do tego nader delikatne jego obejście, ale także polepszenie stosunków materjalnych. Gustaw bowiem wyrobił jéj pensyjkę w banku, przy którym Kowalski służył, a Stefanja dając lekcje fortepianu, potrafiła także przysporzyć niejeden grosz.

Zapanowała więc swoboda pod tym dachem, gdzie mieszkała szlachetność i prawość, tak, że obcym trudno było odgadnąć z obejścia tych młodych ludzi, że nie są bratem i siostrą.

Gustaw, który jako człowiek miękkiego serca, potrzebował koniecznie rodziny i przyjaźni, pokochał tak serdecznie Stefanję, że i rodzonéj siostry nie mógłby czuléj kochać.

Stefanja odebrała jeszcze za życia ojca, kiedy im się przy oszczędności pani Kowalskiéj bardzo dobrze powodziło, jak najstaranniejsze wychowanie,

zrozumiała téż łatwo i prędko Gustawa, a nauczywszy się szanować go i być mu wdzięczną pierwéj, nim go bliżéj poznała, poznawszy musiała pokochać.

Z bibljoteki jego pożerała książki; znajdowała tam arcydzieła literatury ojczystéj i zagranicznéj i z samego wyboru tych książek poznała, że miała do czynienia z człowiekiem umysłowo wysoko stojącym.

Kilka zdrowych uwag, trafiających do przekonania młodego serca, zdobyło resztę jéj szacunku, i Stefanja jeżeli nie za najmędrszego, to przynajmniéj za bardzo mądrego miała swego przybranego braciszka.

Nie miała téż żadnéj tajemnicy przed nim, spowiadała mu się z każdéj troski i każdego kłopotu, szukała u niego zawsze rady i pomocy; przekonała się, że nieraz tam, gdzie matka nie miała ani słowa do powiedzenia i nie znalazła żadnéj rady, Gustaw potrafił zawsze dopomódz, co nie zrozumiała wytłómaczyć, co fałszywe sprostować, i tak się powoli stało, że posiadł jéj zupełne zaufanie i całą miłość braterską, a odpłacał jéj dosłownie takiem samem uczuciem.

III.

W kilka dni po opisanéj w pierwszym rozdziale rozmowie Anny z Gustawem, odebrała pani Kalińska list od swego ukochanego jedynaka, że za kilka tygodni składa ostatni egzamin, który ma mu zapewnić stanowisko lekarza, żądał tylko, ponieważ nie miał dostatecznego funduszu, przysłania pieniędzy na taksę egzaminową i na podróż do domu.

Radość biednéj matki była nie do opisania; z kwestją jednak finansową zwróciła się w téj chwili do Anny.

— Andziu, poślij mu pieniędzy, poślij jak najprędzéj, — i nie czekając odpowiedzi mówiła daléj: — Trzeba wymówić panu Pelawie pomieszkanie od pierwszego... trzeba tam kazać świeżo pomalować, nowe meble kupić... doktór medycyny musi miéć przecież pomieszkanie odpowiednie swemu stanowisku... musi godnie przyjmować swoich chorych... my wyprowadzimy się do bawialnego pokoju... bo on będzie potrzebował dwóch pokoi... Trzeba także w sieni zawiesić lampę zawsze świecącą, bo to ciemna sień, aby każdy widział przybitą tablicę: „Dr. Edward Kaliński, doktór medycyny... i a...“ Józiu! jakże jest zawsze napisane na takich tablicach, bom zapomniała?

— Nie wiem mamo.

— Ale, ale! Anno, poślesz pieniądze Edziowi?

— Poślę mamo.

— Dzisiaj, prawda?

— Nie, nie będę tyle miała... on pewnie wiele potrzebuje...

— Aby tylko przez nas nie doznał zwłoki i nie opóźniła się chwila jego przyjazdu.

Gdy Gustaw tego samego dnia wieczorem przyszedł, szepnęła mu Anna:

— Dzisiaj już więcéj potrzebuję pieniędzy... o wiele więcéj!.. Czy pan chcesz mi być pomocnym? Stanowczo i otwarcie; ale tylko pod warunkiem, że pan nie ruszysz swoich pieniędzy.

— Mówiłem, — odrzekł Gustaw smutno bardzo i poważnie, patrząc w jéj śliczne oczy, — mó-

wiłem z doktorem Baniewskim. Mówiłem z nim bardzo długo i obszernie... bo lękałem się, że ojciec pani nie wytrzyma tak dalekiéj i nużącéj podróży, jak podróż do Krynicy...

Anna patrzyła mu w oczy z przerażającym spokojem, który mięszał i kłopotał Żarnowskiego.

— Mów pan... powiedz mi pan całą prawdę... chociażby była najstraszniejszą... będę ci wdzięczną za zaufanie... za ufność, żeś mnie uznał dość silną.

— Strasznego nie ma nic...

— Bez wstępów... te mnie najwięcéj kosztują... Mój ojciec jest zbyt chory do téj podróży... — przerwała żywo i siwe jéj oczy spoczęły z wyrazem niewypowiedzianéj boleści na bladożółtéj twarzy śpiącego ojca, którego niegolona od dłuższego czasu broda jeszcze straszniejszym czyniła.

— Nie pani, Baniewski ręczy, że pan radca ma dość sił do wytrzymania téj podróży, ale nie ręczy za skutek wód krynickich...

— Więc dlaczegóż go tam wysyła?..

— Bo jest tego zdania, że te wody są dla niego jeszcze najlepsze...

— To znaczy, że nie ma ratunku dla mego ojca, — rzekła ponurym, przejmującym do głębi głosem biedna Anna, — o! panie Gustawie!..

Dziwna słabość ogarnęła tę silną, z kamienia wykutą duszę... która panować tak nad sobą umiała, że mogła przeciw swéj woli ani jednéj łzy z oka nie spuścić... boleść tak ją opanowała, że siedziała z matowem spojrzeniem, z okiem bez blasku, utkwionem w chorego ojca. Gustaw aż się przestraszył wyrazu jéj twarzy.

— Panno Anno, — rzekł do niéj przerażony, — chciéj się uspokoić... Baniewski nie traci nadziei, nie chciał tylko narażać państwa na tak ogromny koszt... miéj i pani nadzieję... ja musiałem ci to powiedziéć.

Anna ocknęła się... chwilę poruszała blademi ustami, jakby mówić chciała, a głos umierał jéj w gardle i słów słychać nie było.

— Nadzieję... — wyrzekła wreszcie zwracając na Gustawa swoje oczy, przybierające zwolna zwyczajną wymowność i siłę, — o! nikt z was pewnie nie miał i nie ma jéj więcéj nademnie! nikt więcéj miéć jéj nie może... Koszt ogromny! mówił pan Baniewski... — i błysły jéj oczy blaskiem niezwykłym, a białka nabrały prawie połysku srebra, — powiedz mu pan, że on nie kochał nigdy swego ojca, kiedy śmiał o koszcie wspomniéć...

W téj chwili weszła do pokoju Józia, i pochwyciła jeszcze spojrzenie siostry i dziwny blask jéj oczu, ale słów już nie słyszała.

Twarz Józi oblała się szkarłatem... usta zacięły gniewem.

— Przepraszam, może przeszkadzam, — zawołała cofając się.

— Wcale nie... wcale nie... — mówił Gustaw goniąc za nią oczyma.

— Józiu! — zawołała Anna bardzo stanowczym i silnym głosem, — proszę cię! zostań.

Józia chociaż miała wielką ochotę zrobić przykrość siostrze, uległa sile jéj głosu.

— Nie lubię nikomu przeszkadzać, — rzekła siadając z zadąsaną minką, z którą jéj wcale do twarzy było.

— Nie przeszkadzasz téż nikomu, — odrzekła ostro, jakby karcąc ją Anna, — mówiliśmy o podróży ojca do Krynicy, powinno cię to niemniéj interesować jak mnie.

— Nie wiedziałam, o czem mowa, — odparła Józia, patrząc badawczo w oczy Gustawa, jakby ze wzroku jego wyczytać chciała potwierdzenie lub zaprzeczenie tych słów. — I cóżeście uradzili, jeżeli wolno zapytać, a raczéj jak zacedywać raczyła panna Anna, bo to wyłącznie od jéj decyzji zależy,— dodała.

— Smutno to bardzo, — odrzekła takim samym tonem Anna, — że w tak ważnéj sprawie nie ma nikt inny głosu, tylko ja sama, a mnie przykro, że zostawiono to wyłącznie na mojéj głowie.

— Dlatego téż ty poradziłaś się pana Gustawa... i ot! już nie wyłącznie na twojéj głowie wszystko... ciężar wspólny... — i patrzyła swojemi czarnemi oczyma, które świeciły jak dwa żarzące węgle.

Anna milczała, patrzyła tylko przez chwilę na siostrę, jakby spokojnem i zimnem spojrzeniem swojem ostudzić w niéj chciała krew i uspokoić rozdrażnione nerwy.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

Anna badała twarz ojca i jego poruszenia śledziła.

Józia siedziała ze źle ukrytym gniewem, który zdradzała chmura na czole, błysk gniewny oczu i uśmieszek, w którym jakiś zły djablik siedział.

A Gustaw nie wiedział, co robić ze swoją osobą i patrzył to na jednę to na drugą siostrę, jakby się domagał przerwania téj ciszy.

Po długiéj chwili odezwała się Anna:

— Panie Gustawie, jak pan sądzisz, czy można się spuścić na zdanie dra Baniewskiego?

— Gdzie idzie o życie, sądzę, że nigdy nie szkodzi zbyteczna troskliwość; jestem tego zdania, aby sprosić kilku lekarzy...

— A myśli pan, że to nie obrazi doktora Baniewskiego?..

— Owszem, sam mówił mi, że będzie o to prosił...

Józia wstała z niejakiemi oznakami niecierpliwości i szła ku drzwiom z minką: „nie mówicie do mnie, więc się wynoszę.“

— Józiu! proszę cię, zostań!

— Dlaczego?! idę pomódz mamie w zastawieniu herbaty; skończcie państwo tymczasem familijną naradę!.. — i wyszła.

Anna ruszyła ramionami.

— Dziwną jest Józia od niejakiego czasu, sama jéj nie poznaję... cierpi często na ból głowy, dziś ma także migrenę...

Po krótkiéj chwilce mówiła daléj:

— Otrzymałyśmy dzisiaj list od Edwarda... przygotowuje się do ostatniego egzaminu...

— Jakto! już do ostatniego?.. — przerwał Gustaw, — przecież on... a tak, tak, — zawołał czerwieniejąc nagle, jakby sobie coś przypomniał, — tak... jest to już pięć lat, jak zdaliśmy maturę...

Anna patrzyła na niego przez chwilę, dziwiąc się, dlaczego tak uporczywie w ziemię patrzy, a potem ciągnęła daléj:

— Dla niego więc potrzeba mi pieniędzy.

— Dla Edzia! — zawołał Gustaw, nie tając swego zadziwienia, — on żądał od pani pieniędzy na taksę egzaminową?..

— Dlaczego pan o tem z takiem oburzeniem mówi?..

— Bo Edzio powinien umiéć sam zapracować na siebie. Edzio wie dobrze, że ojciec chory...

— Zapewne, — przerwała ze swoim zwykłym spokojem Anna, — byłoby nam o wiele lżéj, ale Edzio kończy już studja; na końcu odmówić mu pomocy niepodobna... przecież gdy zostanie lekarzem, będzie znowu on nam pomagał.

Gustaw zamilkł, ale niecierpliwiąc się bębnił palcami po stole.

— Panie Gustawie, — rzekła po chwili Anna, — ja muszę posłać te pieniądze Edziowi...

— Pozwól pani, że ja mu je poślę od siebie... jako pożyczkę, — dodał szybko ujrzawszy wzrok Anny, — od przyjaciela nie wątpię, że ją przyjmie, a pani i tak musi zaciągnąć pożyczkę na podróż ojca...

— Chciałabym złożyć konsyljum przed podróżą... i na to nawet pieniędzy nie mam; czy zdecydowałeś się pan ułatwić mi pożyczkę?

— Wobec tego, że Edziowi poślę na egzamin, nawetbym nie mógł zrobić inaczéj...

Wejście Józi z zaproszeniem do herbaty przerwało rozmowę.

Po kolacji Anna poszła do ojca, pani Kalińska cierpiąca na zęby została w swoim pokoju, Józia znalazła się sama z Gustawem.

Nieraz zostawali sami przez dłuższy czas, nikt nie znajdował w tem nic niezwykłego; oboje nie

wiedzieli nawet czasem, czy jest kto trzeci w pokoju. — Dziś jednak Józia, ujrzawszy się sam na sam z Gustawem, bardzo się jakoś zakłopotała, nie wiedziała po raz pierwszy w życiu, jak i od czego zacząć rozmowę.

Gustaw patrzył przez chwilę na mieniącą się jéj twarz i unikające spojrzenia oczy, i siadając obok kozetki na krześle rzekł:

— Pani dziś cierpiąca?

— Ja! dlaczego? — i jeszcze bardziéj się zarumieniła.

— Zdawało mi się, że panią dziś głowa boli.

— Zkąd się panu to mogło zdawać? dlaczego?

— Pani dziś pyta ciągle o przyczynę... jak niemiecki filozof. Powiedziałem „zdaje mi się“, a „zdawania“ często nie można umotywować.

— Ale zawsze są jakieś pozory, które spowodowały, że się panu zdawało tak, a nie inaczéj,— odrzekła z niejakiem roztargnieniem.

— O pozory pani idzie!.. czy warto się zastanawiać nad pozorami...?

— Warto, jeżeli ja proszę!

Gustaw miał czasem dziwną satysfakcję w droczeniu téj miłéj kotki, i teraz odrzekł z uśmiechem żartobliwym:

— E! pozory tak często mylą, że nie warto o nich wspominać.

— Ja mówię, że pozory rzadko zwodzą.

— Myli się pani.

— Wiem o tem, że się zawsze mylę... że nigdy nic nie wiem... że nawet własnych uczuć nie znam, że mi się wszystko zdaje i wydaje... że nic nie rozumiem... jednem słowem...

Nieprzygotowany na tę lawinę słów i nie pojmując ich wcale, Gustaw w pierwszéj chwili oniemiał.

— Ależ panno Józiu! — wyrzekł starając się ją uspokoić.

— Ależ panie Gustawie! — zawoła jeszcze bardziéj zniecierpliwiona Józia, — nie potrzebujesz się pan silić na traktowanie mnie jak dziecko, albo jak chorą... bo jestem zupełnie zdrowa, wiem doskonale co mówię... nie mówię nigdy nic opartego na pozorach, ale zdanie motywuję na faktach.

— Panno Józiu! — zdołał nareszcie przerwać młody człowiek, — jesteś pani w błędzie.

— Tak jest! ja jestem zawsze w błędzie, ja się zawsze mylę, ja nigdy sama nie wiem, czego chcę, pan masz słuszność i wy wszyscy macie słuszność!!

— Nie dałaś mi pani dokończyć.

— Nie dałam, bo wiem naprzód, co mi pan powiesz... Oto powiesz mi pan, że jestem rozdrażniona, chora, niecierpliwa, że jestem dzieckiem, że się gniewam i niepokoję sama nie wiem czego... powiesz mi pan, abym się uspokoiła, może nawet abym się napiła zimnéj wody, bo mam gorączkę... zapędzisz mnie pan do książki... bom jeszcze dziecko, bom się uczyć powinna... bo jestem głupia... sama nie wiem...

— Panno Józiu... na miłość Boga...

— Tak jest, nie zapieraj się pan... tak jest, powiesz pan żem głupia, tak jest, ja pana tak znam... O! Andzia co innego, o niéj masz pan inne wyobrażenie, ona jest dobra, spokojna, łagodna, cicha, ojca tak kocha... wszystkiem się zajmuje,

kłopocze... ja jestem zła, niedobra, głupia, którą nikt i nic w domu nie obchodzi, nie interesuje, która o niczem wiedzieć nie potrzebuje i nie może, bo jest zadziecinna, zaograniczona, zagłupia; wiem, żeś mi pan to tylko chciał powiedzieć, dlatego oszczędź sobie słów...

Łzy, które już od dłuższego czasu kręciły się w jéj oczach i które słychać było w głosie, zmieniły się w płacz głośny spazmatyczny, i łkanie przerwało jéj mowę.

Tylko przez ten płacz mógł przyjść Gustaw do słowa.

— Przyznam się pani, — zaczął powoli, — że właściwie powinienbym się obrazić za to wszystko, co mi pani zarzuciła, za przypuszczenie, cobym ja mógł pani powiedzieć, za dobre wyobrażenie o mojem wychowaniu...

— Być może, żebyś pan tego był nie powiedział, aleś pan sobie to myślał!.. — zawołała przez łzy.

— Panno Józiu! panno Józiu! coś panią rozdrażniło, rozgniewało, może i zabolało... ja nie wiem właściwie, o co pani idzie i iść może, widzę tylko, żeś pani rozdrażniona i w rozdrażnieniu nie liczysz się ze słowami, nie patrzysz, czy komu niemi nie robisz krzywdy i komu ją sprawiasz. Nie mam pretensji do tego, abyś pani uważać miała na mnie i na bezmierną boleść, którą mi słowa twoje sprawiły, ale proszę, chciéj uważać na siebie...

Ostatnie słowa pochlebiały bardzo dumie kapryśnego dziewczęcia i pierwszą myślą, która przesunęła przez jéj główkę, było:

— Więc jego bolą moje słowa, zależy mu na moim sądzie.

I odejmując chustkę od oczu spojrzała na niego pełnem okiem.

Wzrok jéj świecący łzami jak błyskiem brylantów, który miał taką potężną władzę nad Żarnowskim, i tym razem nie mniejszy wpływ wywarł. Gustaw z uwielbieniem utonął w bezdni czarnego oka, i nie wiedział już nic, co się w koło niego dzieje, a oczy jéj spoczywały teraz na nim... i usta różane z odchyloną napoły górną wargą uśmiechały się do niego z taką roskoszą... takim jakimś ślicznym uśmiechem...

— Panie Gustawie! — rzekła spokojnym głosem śliczna dziewczyna, — nie dziwuj się pan mojemu wybuchowi... nie myśl, że to był kaprys, grymas, że ja sama nie wiedziałam co mówię... O! ja jestem taka biedna, taka nieszczęśliwa, tak sama, sama na świecie... ojciec kocha tylko Annę, mama Edwarda, dla mnie nie ma nikogo... ja się nie mam do kogo udać po radę, ani po pieszczotę... jestem w domu rodzicielskim, w domu ojca i matki rodzonéj jakby sierota... jestem sama. Mnie nikt o nic nie zapyta, nikt mi nic nie powie... Radzą o podróży ojca, ja do tego nie należę... cieszą się egzaminami Edzia, ja dowiaduję się o tem ostatnia... i dowiaduję przypadkiem, nawet listu od niego dotąd nie czytałam!..

Gustaw milczał, patrzył w jéj oczy, tonął w tem spojrzeniu, które miało nad nim taką potęgę magiczną, że w chwili, gdy w nie patrzył, oddałby połowę życia, aby pozostałą połowę przepędzić ze źrenicą utkwioną w czarnem oku dziewczęcia.

A Józia patrzyła ciągle na niego płomiennemi oczyma, które zdawały się wyzywać go i wołać do niego:

— Kochasz mnie?

— Panno Józefo! — rzekł z wzburzoną piersią Gustaw, nie odrywając od niéj spojrzenia i wlepiając w jéj twarz swoje rozognione oczy. — Panno Józefo! — powtórzył biorąc jéj małą rączkę w swoje dłonie.

Za dotknięciem téj ręki jak aksamit miękkiéj Gustaw stracił resztę sił panowania nad sobą i przysuwając krzesło swoje do kozetki, tulił jéj rękę w obu dłoniach.

Józia patrzyła na biednego chłopca... czuła siłę swego spojrzenia i miała dziwną jakąś świadomość tego, co się z nią dzieje... jakby jasnowidzenie. Chciała coś przemówić... pierś jéj wzburzona szybko się podnosiła... usta co chwila drgały konwulsyjnie i rumieniec ukrasił jéj jagody; śliczną była wtedy, gdy Gustaw ze wzdętéj piersi jak wulkaniczną lawę wyrzucił:

— Józiu! ja ciebie kocham!

. . . . . .

Na drugi dzień pani Kalińska przedstawiając Gustawa jakiéjś znajomej rzekła:

— Pan Gustaw Żarnowski, narzeczony mojéj Józi.

IV.

W kilka tygodni przyjechał Edward.

Radość matki, sióstr i chorego ojca przechodziła wszelkie granice.

Ojciec jakby przeczuwał bliski skon, cieszył się widokiem syna i jego egzaminem.

Matka obracała go ciągle do światła, aby mu się lepiéj przypatrzyć, dojrzéć, jakie zmiany zaszły w ukochanym jedynaku w czasie, kiedy go nie widziała.

Edward był to młodzieniec bardzo słusznego wzrostu, barczysty i silnie zbudowany. Włosy miał długie, czarne, kręcące się w loki; wąs także czarny i po węgiersku w górę zakręcony; oko podobne do ócz Józi, czarne i płomienne, a brew i rzęsy gęstsze jak Anna.

Był to bardzo przystojny młody człowiek, o ruchach miłych i okrągłych, a matce zdawało się, że nie ma równie pięknego.

Koło ust tylko miał czasami fałdy, jakie robić się zwykły ludziom znudzonym życiem, dla których nie ma już rozrywki ani zabawy. Ale było to tylko czasami, tak, że jedni utrzymywali nawet, że fałd ten jest udany, gdy Edward chciał pozować na zimnego i znudzonego anglika, inni, między tymi siostry, że występował wtedy tylko, gdy Edward przy pracy noc bezsenną strawił.

— Edwardzie, — rzekł Gustaw do brata swéj narzeczonéj, gdy odchodził do domu wieczór w dniu, w którym Edward przyjechał, — proszę cię, pofatyguj się do mnie jutro zaraz po objedzie, mam z tobą o wielu rzeczach pomówić... o ważnych rzeczach.

Edward skrzywił się jakoś na to i zrobił dość wyraźnie grymas, a fałdy koło ust wystąpiły więcéj niż zwykle.

Gustaw dostrzegł je, a znając Edwarda dobrze, może lepiéj jak siostry, szepnął mu:

— Czy prędzéj czy późniéj rozmowa ta cię nie minie.

— Ale owszem, owszem, będę u ciebie jutro; ty mieszkasz?..

— Przy ulicy Rzeźnickiéj pod l. 13, w oficynie; pamiętaj, że cię czekam z czarną kawą.

— Będę ci służył, — a gdy się drzwi za Gustawem zamknęły, cisnął łyskwicę z oka i dodał: — djabłabyś zjadł z twoją kawą.

Właśnie Stefanja w pokoju Gustawa pomagała mu robić czarną kawę, co się działo zwykle, gdy Gustaw spodziewał się gości.

— Więc powiadasz braciszku, — szczebiotało wesołe dziewczę, — powiadasz, że przyjdzie do ciebie śliczny chłopiec... a jak wygląda? Pamiętaj sobie... abyś mnie nie oszukał!.. tyle razy mi obiecywałeś ładnego chłopca, i nigdy nie dotrzymałeś obietnicy... A znasz ty Gustawie mój gust? Ma być brunet... to znaczy, ma miéć długie czarne włosy kędzierzawe, wielkie ładne wąsy czarne i czarne duże wyraziste oczy...

Gustaw patrzył na nią z uśmiechem i w milczeniu palił cygaro. Stefcia ciągle szczebiotała, gdy dały się słyszéć kroki na ganku. Gustaw poznał po chodzie Edwarda i rzekł:

— Otóż on... jeżeli nie jest podobnym do tego, któregoś mi tu opisała, nie znajdziesz podobniejszego pod słońcem.

W téj chwili wszedł Edward.

Stefanja zaledwie okiem rzuciła na niego, roześmiała się w głos i uciekła, a Edward stał z zamarzniętym ukłonem i miną arcyzdziwioną.

— A to co?

Gustaw śmiał się poczęści z miny Edwarda, trochę z ucieczki Stefanji.

— A to co? — powtórzył Edward, — co to za zjawisko?.. czy narzeczony mojéj siostry przypadkiem nie jest żonaty?.. może mi przypadek zdradził inną jaką tajemnicę, ja umiem być dyskretnym...

— Dyskrecja zbyteczna, — odrzekł Gustaw poważnie, — jest to panna Stefanja Kowalska, córka mojéj ciotki, a zatem moja cioteczna siostra. Proszę cię, siadaj, oto masz tytuń, papierki; kawa zaraz ścieknie.

Długie zapanowało milczenie.

Edward robił papierosa, którego nie mógł skleić, a fałdy dziś zaczynały się prawie od nosa i kończyły aż na brodzie.

Gustaw palił cygaro i otaczał się takiemi kłębami dymu, że twarz jego zdawała się być ukrytą w chmurach.

Po chwili gospodarz nalawszy kawę, zapalając nowe cygaro odezwał się zwolna i poważnie, jakby z uszanowaniem dla przedmiotu, o którym miał mówić:

— Sama przyjaźń, jaka mnie wiąże do ciebie i całéj rodziny, byłaby sądzę dostateczną do usprawiedliwienia tego, co ci dziś powiem, a miłość moja dla Józi, którą bez samowiedzy nawet, żywiłem od najdawniejszego czasu, i przyszłe pokrewieństwo nasze wkłada na mnie nawet obowiązek,

powinność, wejrzenia i wglądania ciągłego w twoje czynności. O ile dawniéj uważałem cię za moralnie dojrzałego i o ile, jak mi się zdaje, byłeś rzeczywiście zupełnie dojrzałym, o tyle od lat trzech, sądzę, nie postąpiłeś naprzód, ale cofnąłeś się wstecz... Przestałeś być mężem, a stałeś się lekkomyślnym żakiem...

Fałdy koło ust Edwarda stawały się za każdem słowem Gustawa wyraźniejsze i coraz głębsze.

— Za pozwoleniem, — przerwał świecąc oczyma gniewnemi i zaledwie panując nad sobą.

— Za pozwoleniem, pierwéj ja skończę, wypowiem wszystko, co mam do powiedzenia, a potem będę słuchał... Nie wchodzę wcale w to, co mogło być powodem tego, iż usposobienie twoje, a nawet charakter tak dalece się zmieniły. Być może, że i ja przyczyniłem się wiele do tego; sądziłem jednakże, iż podając pomocną rękę twojemu planowi, oszczędzam zmartwienia twojéj rodzinie, a wstydu tobie; stało się inaczéj... Ty nie przez przypadek ani niechęć profesorów przed dwoma laty przepadłeś przy egzaminie, ale przez własną lekkomyślność, opieszałość, lenistwo...

Edward zrobił ruch, jakby chciał przerwać Gustawowi.

— Późniéj będziesz się usprawiedliwiał, teraz ja mówię, — rzekł stanowczo Żarnowski rzucając na pół nadpalone i zgasłe cygaro. — Sądziłem, że cię uratuję i rzeczywistą oddam przysługę, dopomagając do ukrycia téj hańby przed rodzicami; bo przyznasz, że hańbą jest i wstydem, jeżeli młody człowiek, zdrów, z talentami prawie genjalnemi, nie pracuje w zawodzie, który sam sobie wybrał i

nie korzysta z pomocy rodziny, któréj mu udzielano z takiem wysileniem, z uszczerbkiem dla całéj rodziny, odejmującéj sobie prawie od ust, oszczędzającéj i liczącéj grosz każdy, aby tylko tobie go nie brakło... a ty?.. Zamiast uczyć się, zamiast każdą minutę czasu obracać na przyśpieszenie chwili, kiedy zdobywszy stanowisko będziesz mógł odpłacić rodzinie ten dług, ty lampartujesz się po stolicy i nareszcie piszesz, aby ci przysłano pieniądze na taksę egzaminu, którego wcale nie robisz!..

— Jakto! proszę cię...

— Takto! — przerwał stanowczo Gustaw, — że możesz oszukać całą swą rodzinę, ale nigdy mnie! Posłałem ci żądanych dwieście złotych, bo wiedziałem, że bez nich nie wydobędziesz się z miasta, w którem cię wierzyciele obsaczyli. Ale powróćmy do rzeczy. Podając ci rękę do tamtego kłamstwa, a raczéj do zatajenia tego, żeś przy egzaminie przepadł, — ciągnął Gustaw zwolna daléj, — popchnąłem cię w przepaść, z któréj dzisiaj chciałbym ci dopomódz się wydźwignąć; egzamin bowiem, z którego spadłeś, po roku złożyłeś wprawdzie po raz wtóry, ale przywykłeś do traktowania studjów tak lekko, że teraz nie ośmieliłeś się przystąpić do egzaminu, to jest, byłbyś się ośmielił, gdybyś był przygotowany dostatecznie, ale straciwszy cały rok na włóczeniu się po kawiarniach i szynkach, graniu w karty i Bóg nie wie na czem, przyprowadziłeś do tego, co właśnie jest: czyli po prostu innemi słowy, gdy dziś twoi koledzy mają stanowisko i byt zapewniony, dziś, gdy tacy, którzy w szkołach byli ostatnimi w naukach, i zdolności mieli mniéj niż mierne, utrzymują matkę,

rodzinę, słowem, są ludźmi, ty jesteś nic, i nigdy niczem nie będziesz, jeżeli tak dalej będzie, jak jest dzisiaj. Jednakże puszczę wszystko w niepamięć i będę uważał za niebyłe, jeżeli dasz mi słowo honoru święte i uczciwe, przysięgniesz na pamięć dawnych czasów naszego koleżeństwa i przyjaźni, że stracony czas nagrodzisz i zabierzesz się do pracy, serdecznie, prawdziwie, tak, abyś za trzy miesiące złożył egzamin. Masz talenta niezmierne, genjalne, pojęcie bystre, idzie tylko o pilność, o chęć do pracy. Tutaj w N. nie dam ci biwakować, a jeżeli złożysz jeszcze ten egzamin, widząc się tak blisko kresu swych marzeń, jestem pewien, porzucisz życie hulaszcze, dające tylko szał i czczość, i obudzi się znowu mój drogi kochany Edzio, w którym było zawsze tyle zapału do pracy, zamiłowania w dobrem, szlachetnem i pięknem. O! ja wiem i wierzę, że ty nie jesteś leniwym ani złym, ale mi ciebie tylko porwano, otumaniono... Edku drogi, zbudź się, oprzytomnij, odrzuć zaczynającą narastać na sercu twojem skorupę zimna i obojętności... spojrzyj na obowiązki względem rodziny... pomnij na chorego ojca, którego godziny prawie są już policzone, na siwą matkę, która w tobie widzi anioła swéj przyszłości i pociechę ostatnich dni swoich, nie dopuść, aby Anna dla ciebie pracowała, aby cię cała rodzina żywiła chlebem od ust własnych odjętym, własną krwią, zdrowiem i życiem!..

Ostatnie słowa wymówił Gustaw z zapałem serdecznym i porywającym, którego mógł mu pozazdrościć niejeden znakomity mówca.

Na Edwardzie zrobiły też one pożądane wrażenie.

Wypieszczony jedynak był więcéj lekkomyślnym jak złym, słowo gorące padało mu prosto w serce, a fantazja może zbyt rozbujała potrzebowała ciągłéj opieki i ciągłego kierownictwa, aby nie schodziła na bezdroża.

Edwardowi bardzo przemówiły do serca ostatnie słowa przyjaciela.

I z wypogodzonem, zapałem błyszczącem okiem wyciągnął dłoń do Gustawa.

— Masz słowo, którego żądałeś; nietylko, że dołożę wszelkiéj pilności do pracy, że będę robił ile mi sił starczy, ale także, że odmienię zupełnie dotychczasowy tryb życia, porzucę zabawę i wesołe towarzystwa, a stanę się godnym twéj przyjaźni i szacunku.

— Wiem, że jeżeli zechcesz, potrafisz dokonać wszystkiego; obyś tylko chciał, a zapanujesz nad sobą i swojemi namiętnościami, jak na męża przystało... Ludzie o znakomitych zdolnościach i wielkich talentach doprowadzają zawsze „wysoko“, a od nich zależy, aby im nie brakło ziemi pod nogami, by głowa nie uwisła wysoko — na szubienicznym powrozie... Bo talenta mają jednakową skłonność do dobrego i złego, a użycie ich zależy od woli ducha, który powinien panować nad fantazją. U ciebie od lat dwóch jest przeciwnie... Ale obiecałem to puścić w niepamięć; obyś ty tak dotrzymał swego zobowiązania jak ja mojego...

Gustaw zapalił nowe cygaro i z rozjaśnioną twarzą wypił resztę czarnéj kawy.

— Co do czasu i miejsca twéj nauki zdaje mi się, zbywać ci nie będzie ani na jednym ani na drugiem. Matka chciała wymówić mieszkanie

Pelawie, powinieneś się temu sprzeciwić i na to nie dozwolić. Pokój mój jest dość obszerny, aby pomieścił nas obu; mnie cały dzień w domu nie ma, uczę się przeważnie w nocy i dodnia, ty tego nie będziesz potrzebował, w nauce więc nikt ci przeszkadzać nie będzie. W sąsiednich pokojach panuje także dzień cały cisza i praca, a chociaż zaszczebioce co moja siostra, ręczę, że ci to w robocie przeszkadzać nie będzie. Tym sposobem i to osiągnięte będzie, że w domu nikt się nie domyśli twojego nieszczęścia, i oszczędzimy matce niejednę łzę i ojcu zmartwienie... Jedno tylko, — dodał ze śmiechem, — nie gniewaj się, ale inaczéj być nie może; kluczyk od téj szafy będzie zawsze u mnie w kieszeni; jest tam Słowacki, są *Dziady* Mickiewicza, jest lord Byron i wielu innych poetów, którzy dla ludzi ze zbyt gorącą fantazją, jak naprzykład dla pana dobrodzieja, mogą być niebezpieczni i wywrzéć zgubny wpływ na aspana, na przedsięwzięcia pracy i rozbić wszystkie dobre zamiary, bo podobno droga do piekieł, jak powiada bardzo trafne niemieckie przysłowie, jest brukowana złotemi postanowieniami.

Kazanie to zakończono serdecznym i długim uściskiem, a na drugi dzień Edward sprowadził się do Gustawa i zaczął przygotowywać do egzaminu z pilnością właściwą wszystkim gorącym charakterom i rączością młodego rumaka, który zawsze z miejsca w susach rusza.

Gustaw patrzył na to i mruczał ciągle:

— Choleryk jest i cholerykiem zginie... ale choćbym cię miał sforsować, musisz takim galopem dojechać aż do egzaminu.

W kilka dni Józia ciężko zachorowała. Przyczyny jéj słabości lekarz wyjaśnić nie mógł; była ona więcéj moralnéj natury i nastąpiła jako konsekwentne następstwo różnych wzruszeń. Gorączka i ból głowy wzrastały z dniem każdym, a trzy doby położyły ją do łóżka. Dr. Baniewski oświadczył, że Józia może dostać tyfusu.

Rozpaczy Gustawa wcale opisywać nie myślę. Porzucił czuwanie nad Edwardem z jego nauką, przestał się sam uczyć i zajęty był wyłącznie przebiegiem jéj choroby.

Na szczęście przesilenie długo nie trwało, Baniewski przerwał chorobę, ale gdy Józia wstała, była bardzo zmienioną. Oczy jéj straciły blask, usta świeżość... a Gustaw popatrzywszy na nią po dwutygodniowem niewidzeniu, mało się nie rozpłakał!

Dr. Baniewski zalecił téż Józi świeże powietrze, mleko prosto od krowy i tak daléj, co spowodowało, że narzeczona Gustawa wybierała się na wieś do swojego wuja.

Gustaw tymczasem zajęty wyłącznie chorobą Józi, nie wiedział wcale, co się w domu działo.

Nie wiedział, że Stefcia bardzo posmutniała, a raczéj spoważniała, nie miał czasu i nie mógł nawet zauważać, że szczebiotanie jéj jest coraz rzadsze, a jeżeli kiedy, jakby sobie przypomniała dawne czasy, powróci do swéj rólki trzpiota i wesołéj szczebiotki, była w tem jakaś dziwna nieszczerość i nienaturalność, która podsuwała koniecznie myśl, że dobre dziecko widząc niepokój matki i oczy szukające na swojéj twarzy przyczyny téj powagi i może łez, udawało wesołość i śmiech, ale

nie tak łatwo oszukać serce matki jak przybranego brata, który jest zajęty miłością swoją.

To też pani Kowalska (przyzwyczaiwszy się do dzielenia każdą troską z Gustawem) rzekła do niego pewnego wieczora, gdy Stefanja wybiegła do drugiego pokoju:

— Czy uważałeś Gustawie, jak ogromna zmiana zaszła w naszéj Stefci?

— Zmiana?.. — zapytał Gustaw prowdziwie zdziwiony, — jaka zmiana?

— Nie widzisz, — odparła pani Kowalska, — że się już nie trzepie jak ptaszę wesołe, które było radością dni moich; smutek coraz częściéj zasępia jéj czoło, a nieraz i łzy odgaduję po zaczerwienionych oczach. Tyś tego nie uważał? Ot! zakochany! Och! ci narzeczeni... nawet nie widzą, co memu dziecku...

— Owszem, — przerwał Gustaw, któremu wstyd było przyznać się, że nie uważał téj zmiany, — widziałem to, sądziłem jednak, że to są ot takie sobie panieńskie humorki i grymasiki, tem bardziéj, że to jest przemijające i te napady smutku są tylko napadami... Dziś naprzykład...

— Dziś naprzykład, — przerwała wdowa, — Stefanja jest smutniejsza jak zwykle, a cała jéj wesołość, cały jéj humor i śmiech są tylko udaniem i komedją niewinną, którą gra, aby mnie i tobie oszczędzić smutku.

— Ja przecież twierdzę, — odparł Gustaw, — że Stefcia, nie mając tak dalece żadnych przyczyn do smutku i zmartwienia, musi być co najwięcéj znudzona, brak jéj zabawy, towarzystwa; żywe jéj

usposobienie potrzebuje rozrywki, któréj nie ma... ot i wszystko.

— Być może, — rzekła uspokojona matka, — wszak ona gdyby miała zmartwienie, pierwéjby się niem z tobą podzieliła jak ze mną, zresztą wy młodzi tak się łatwo rozumiecie, ja już z innego świata...

Wtem wbiegła Stefcia z piosenką na ustach, ale oko jéj było smutne i twarz bledsza.

— Czy słyszeliście, — zawołała, — jak gra nasza sąsiadka pani Gerstlerowa? wypożyczyła sobie fortepian i po całych dniach wygrywa.

— A moja córka, — przerwała Kowalska, — obrała sobie stanowisko na ganku i po całych dniach słucha.

— Tak!? to ty tak lubisz muzykę? — zapytał Gustaw.

— O! nadzwyczajnie! — zawołało dziewczę, — ale mi nic nie żal naszego starego fortepianu, który ten żyd kupił za dwadzieścia złotych, bo to było kłapadło do niczego. Taki dobry fortepian, jak pani Gerstlerowéj, to co innego!

— E! mnie się zdaje, że to robisz z poświęcenia dla pana Edwarda, aby mu słońce nie dokuczało; nie dość na tem, żeś tam zawiesiła muślinową firankę, ale i sama pomagasz firance, — rzekła matka, — dla Gustawa tegoś nie robiła.

— Jestem egoistką, — odparła Stefcia, ale schyliwszy się skryła twarz niby szukając robótki, — i wolałabym, aby słońce opaliło pana Kalińskiego jak mnie.

Na drugi dzień przywieziono z wypożyczalni fortepianów jeden z najlepszych instrumentów Bö-

sendorfera, a pani Kowalska miała wiele kłopotu, zanim dla niego znalazła odpowiednie miejsce.

Stefanja ucieszyła się bardzo tą niespodzianką i rozerwała się nieco na dłuższy czas, tak, że prawie powróciła jéj dawna wesołość, a gdy Gustaw przyszedł z biura do domu na obiad, rzuciła mu się na szyję i po raz pierwszy w życiu, ale tem serdeczniéj ucałowała.

— O! ty drogi, poczciwy, kochany mój braciszku, — zawołała do niego, — ty mnie zawsze kochasz, a ja myślałam, że mi cię całego zabrała twoja Józia! Chwała Bogu, że nie masz wąsów, — dodała ze śmiechem patrząc w jego twarz gładko ogoloną, — bez obawy mogę cię ucałować, boś mi zrobił radość, radość, jakiéj w życiu mojem nie pamiętam.

Gustaw sam się nie spodziewał, aby to mogło tak wielką uciechę sprawić szczebiotce, a matka chociaż gderała na ciężkie czasy, potrzebę rachowania się i niewydawania pieniędzy na niepotrzebne rzeczy, czyli jak ona mówiła na „zbytki“, ucieszyła się radością swego dziecka i szepnęła sobie:

— Gustaw ma słuszność; Stefcia jest młoda, potrzebuje zabawy, rozrywki i towarzystwa, chwała Bogu, że jéj tylko tego brakuje.

Tymczasem Józia przyszedłszy nieco do sił, 12 sierpnia wyjechała do wuja na świeże powietrze.

Kilka dni przed jéj wyjazdem odbyło się konsyljum nad radcą Kalińskim, które atoli odradziło podróż do Krynicy, twierdząc, że droga byłaby dla niego zbyt nużąca, zresztą pochwalono sposób leczenia dra Baniewskiego i zalecono trzymać się jego sposobu kuracji.

Gustaw z początku po odjeździe Józi zabrał się z nadzwyczajną energją do pracy i przygotowywał się do egzaminu, po którym niezwłocznie miało się odbyć jego wesele.

Przy takiéj atoli wyczerpującéj siły bezustannéj pracy nie mógł Gustaw wytrwać długo, bo i nikt ze zwyczajnemi siłami ludzkiemi wytrwaćby nie potrafił.

Dla rozrywki i ulgi, dla odświeżenia umysłu przepędzał wieczory naturalnie u Kalińskich, gdzie miejsce każde przypominało mu najpiękniejsze chwile w życiu.

Rozmowa o Józi, o jéj usposobieniu, przyzwyczajeniach, nawyczkach, zaletach piękności, była z początku regularnym przedmiotem rozmów między nim i Anną, bo z kimże miał rozmawiać?

I dziwne, dziwne rzeczy zaczęły się budzić i jakby odrodzone ruszać w sercu biednego Gustawa.

Dualizm uczucia, z którego zaledwie wyszedł, a który zakończył się zwycięstwem energiczniejszéj i żywszéj Józi, obudził się teraz tem potężniéj w jego sercu.

Ustał i znikł wpływ czarnych oczu i uśmiechu czarującego, głównych potęg wdzięku brunetki.

Nic już nie zapalało mu krwi płomieniem, jak powiedział, nic nie burzyło jego uczuć i nie wprawiało w drganie nerwów i wszystkich zmysłów jego, a natomiast ulegał wpływowi siwych oczu, potędze pokoju i ciszy, łagodności i miłości, a wpływ ten, jeżeli sobie przypomnimy pierwszy rozdział niniejszego obrazka, nie był wcale mniejszym od wpływu czarnych oczu.

Gustaw obracając się w atmosferze miłości rodzicielskiéj, w otoczeniu tego ogromnego poświęcenia, spełnianego z przeświadczeniem obowiązku, wielkiéj szlachetności, nie był w stanie, ani nie miał dość sił, aby zapanować nad głębszem uczuciem, które mu się przemocą do serca wdzierało.

Człowiek ten, który tak cenił rodzinne związki, dla którego życie familijne tak wielką wartość miało, że odżył i innym stał się człowiekiem w gronie prawie przybranéj rodziny, nie mógł nie dać całego szacunku, całego uwielbienia téj, która z zaparciem się własnem żyła tylko dla chorego ojca.

Biedny był Gustaw, biedny gdy powrócił wieczorem do domu i chciał zabrać się do pracy, pierścionek Józi, pamięć o niéj i postać jéj jak zmora stawały przed jego oczyma, odpędzały myśl nauki... ochotę i możność pracy; biedny przez dzień cały, bo często jakieś słówko, jakaś drobnostka przypominała mu narzeczoną, a wspomnienie o niéj stało się dla niego zwolna ciężarem, troską, niemal przerażeniem; biedny, bo jak pijak oczekiwał z upragnieniem, z gorączką, godziny wieczornéj, w któréj popatrzy w siwe oczy, zachwyci spokoju z nich wiejącego i uśmiechu obudzającego w nim błogość i ciszę...

I to był rodzaj szału, rodzaj upojenia się, którego szukał biedny Gustaw, w nadziei, że zdobędzie wreszcie ten spokój, i cisza tyle upragniona przeleje się do jego serca.

Daremnie jednak oczekiwał téj chwili... daremnie bronił się uczuciu, które nim owładać zaczynało...

Postanowił wreszcie nie iść do Kalińskich, dopóki Józia nie przyjedzie, i nie widzieć Anny, dopókiby jéj wpływ nie został zrównoważony czarodziejstwem Józi, ale Gustaw nie był tytanem, lecz zwyczajnym, słabym człowiekiem, miękkiego serca. Gdy wieczorna nadeszła godzina, zatęsknił za spokojem, którym Anna natchnąć umiała całe swoje otoczenie, za spojrzeniem jéj siwych oczu, które niemniéj były jak oczy Józi piękne, a może nawet piękniejsze, bo w nich zamiast szatanka budzącego namiętności i palącego jak węgle żarzące, miał siedzibę anioł spokoju, błogiéj ciszy.

Czasem potrafił wysofizmować sobie, że obecność jego u Kalińskich jest niezbędnie potrzebną, czasem wyszukał sobie interes, a gdy i tego nie było, nie szukał nawet pozorów do odwiedzin i śpieszył codzień do Anny co mu sił starczyło, jakby się lękał stracić nawet chwilkę z tego czasu, który zwykle z nią przepędzał, i liczył z przerażeniem dnie, które go jeszcze dzieliły od przybycia narzeczonéj.

Ale sumienie i szlachetność tego biedaka nie zostały wcale uśpione ani spokojem Anny, ani myślącemi i wymownemi jéj siwemi oczyma.

Targała mu się téż dusza i serce prawie kurczyło pod grozą wszystkich myśli. Robił sobie nieraz wyrzuty straszne, gorzkie... potępiał się... a zajęty sobą ani wglądał, aniby był nawet śmiał wejrzéć w czynności Edwarda.

— On w porównaniu do mnie jest ideałem szlachetności! — powtarzał sobie, gdy przyszedłszy wieczorem do domu zastał Edwarda u pani Kowalskiéj, Stefcię promieniejącą przy fortepianie, a

Kalińskiego zadumanego obok w foteliku, — on oszczędzał rodzicom zmartwienia, gdy taił o swym egzaminie, zresztą jeżeli szkodził, szkodził tylko sobie, nie targał szczęścia drugich i nie burzył spokoju własnego... O! ten dualizm! ten dualizm w mojem sercu, — wołał w bezsennéj nocy siadając na łóżku i z rozpaczą ściskając pięściami rozpaloną głowę, — gdybym wiedział, żem ją przestał kochać, że mi jest obojętną i że jéj nigdy nie kochałem, jeden wystrzał z rewolweru zakończyłby wszystko, i miałbym wieczny spokój... A obowiązki? a życie ze swemi prawami?.. o! z tem niepojętem niezrozumianem dla mnie uczuciem, z temi dwiema miłościami, czy bez żadnéj miłości, życie jest prawdziwą, ciężką męczarnią, torturą...

A Anna?

Anna była napozór niezmienioną, spokojną, cichą jak dawniéj, w twarzy jéj panował ciągle ten sam spokój... co się działo w sercu, w duszy, to było tajemnicą dla oka ludzi, którzy ją codzień widzieli i przywykli do jéj twarzy; powierzchnia oceanu równie jest cichą i spokojną, a co się dzieje w jego wnętrzu, o tem nie wie ludzkie oko.

Dlatego téż Gustawowi nie przeszło wcale przez myśl, że swoim dualizmem może prócz swojego jeszcze spokój zakłócić, że i serce biednéj Anny jest także ofiarą jego nieszczęśliwego usposobienia.

Anna w pierwszych dniach po odjeździe Józi miała jeszcze kilka formalności finansowych do załatwienia z Gustawem, bo Żarnowski ułatwiał jéj zaciągnięcie pożyczki na opłacenie kosztów rady lekarskiéj.

Właściwie, mówiąc otwarcie, Gustaw pożyczył te pieniądze na swoje imię i wystawił sam weksel. Anna podpisała inny tylko dla formy, dla upozorowania pożyczki; weksel Anny został w biurku Gustawa, bo nauczony tylu przykładami cudzemi, nie chciał jéj oddać w ręce żydów.

Interes ten zbliżył i spoufalił ich jeszcze bardziéj, a ofiarność, bezinteresowność i szlachetność Anny obudziły w Gustawie szacunek graniczący z uwielbieniem.

I Anna miała wtedy sposobność poznania lepiéj Żarnowskiego i zrozumienia prawdziwie wyższego jego ducha.

Czuła i rozumiała dobrze bicie swego serca... znała swoje uczucia i dobrze się rozumiała.

— Kocham go, — mówiła do siebie w cichą noc letnią, gdy księżyc w pełni wypłynął na niebiosa i zaglądał do siedzącéj w oknie, — i nikogo już tak kochać nie potrafię... Są na świecie ludzie, dla których i z największéj roskoszy wypływa tylko smutek i boleść... Kocham go z tą myślą, że on nigdy moim nie będzie, że mi nie da nigdy wzajemności; z przekonaniem, że każda myśl o nim jest zbrodnią przeciw siostrze... O! ja biedna, nieszczęśliwa... — I płakało biedne dziewczę cichemi łzami, których nikt nie widział, jeno Bóg na niebie, nikt nie osuszył, ani pocieszył.

Postanowiła sobie potem przyjmować Gustawa tak chłodno, aby go zmusić do zaprzestania częstych wizyt. Ale gdy Gustaw przyszedł, gdy jak dawniéj wyciągnął do niéj rękę i nazwał jak za bytności Józi „siostrą Andzią“, Anna nie miała siły być dla niego zimną i obojętną, i kładąc na

karb swobody i przyjaźni to, co było źródłem niepokoju i miłością, była coraz szczerszą i z każdym dniem cieplejszym witała Gustawa uściskiem.

Pewnego wieczora Gustaw nie przyszedł; było to właśnie w dniu, kiedy postanowił sobie uciekać przed Anną i uczuciem, które nim owładać zaczynało; Anna była bardzo niespokojna, sądziła, że jest chorym, lub że mu się wydarzył jaki wypadek.

— Dobrze zrobił, — powtarzała sobie wieczorem, gdy wszyscy już usnęli, — dobrze zrobił, że nie przyszedł. Zresztą po co miał przychodzić... Józi nie ma, ze mną interes skończony... cóżby u nas robił? — i rozpłakała się, bolało ją to, że Gustaw do niéj tylko w interesie przychodził... — A przecież jak mi ciężko, jak mi tęskno, żem go dziś nie widziała... Czyż to jest zbrodnią, że go chcę widziéć? czy to grzechem, że chcę jego głos słyszéć?.. tyle tylko dla mnie szczęścia, kto pragnie tak bardzo mało, powinien przecież dostać od losu... On kocha tak gorąco Józię, nie przypuszcza i nie domyśla się wcale, co się we mnie dzieje... on jest spokojny i w swobodzie jego, w naturalności widać, że prócz uczucia braterskiéj przyjaźni nie ma dla mnie nic w jego piersi...

I znowu płakała cichemi łzami, które płynęły po twarzy jak milczące strumienie boleści, osuszane tylko światłem księżyca.

— On nie będzie nigdy wiedział, jak mi jest drogim... Czas nieobecności Józi, to ostatek mojéj swobody, mojego szczęścia; tyle go tylko mam... Bóg mi przebaczy tę chęć widzenia go... będę mówić tylko o niéj, tylko o Józi, o niczem innem... Tylko tyle pragnę... i granicy téj z pewnością nie

przekroczę... a gdy ona przyjedzie... zapomnę! ucieknę i nie stanę nigdy między niemi...

Gdy Gustaw przyszedł na drugi dzień, Anna zmierzyła go badawczym wzrokiem.

— Czyś pan nie był chory wczoraj? — zapytała.

— Nie, pani, — odrzekł niezmięszany, — byłem trochę więcéj zajęty.

— Józi nie ma... do nas panu nie spieszno.

Gustaw popatrzył jéj w oczy... i gdyby nie uprzedzenie, kto wie, czyby Anna z tego spojrzenia nie odgadła strasznych dziejów jego serca.

O! bo że straszne były, nikt wątpić nie może.

Dwoje młodych ludzi, z wygórowanem uczuciem szlachetności i ofiarności, z wolą i postanowieniem unikania się, przeciw woli, przeciw sobie samym szukają się, gonią za sobą.

Oboje przed sobą tajemnicę robili, oboje przypisywali sobie nawzajem tylko przyjaźń, oboje odgrywali dość zręcznie komedję, na któréj żadne z nich z różnych powodów poznać się nie mogło, bo nie chciało, oboje żyli tylko dniem dzisiejszym, nie pytając i nie śmiąc zapytać, co jutro będzie!.. nie chcąc słyszéć odpowiedzi na to pytanie.

Gustaw mówił sobie: „żyć przestanę...“ a nie pomyślał, że jego życie już nie do niego należy, ale do narzeczonéj, a Anna uciekała przed tem pytaniem, zalewała się łzami i mówiła:

— On mnie nie kocha, a ja, chociażbym stargała własne serce, to i cóż, kochać nie będę nikogo, tyle mojego szczęścia... nie dziwuj się sumienie, że i ja mam serce, które chce roskoszy, to tak małéj roskoszy...

I oboje z samopoznaniem i samowiedzą lecieli w przepaść... jak ćmy lecieli do światła, chociaż wiedzieli, że w niem śmierć znajdą.

Tak przeżyli sześć tygodni nieobecności Józi, nie powiedziawszy sobie ani słowa, nie chcąc czy nie mogąc się rozumiéć, albo raczéj rozumując sobie wedle myśli i woli serca.

Gustaw stracił zupełnie z oka Edwarda i wcale nie dotrzymywał obietnicy, że go „w galopie takim zapędzi aż do egzaminu.“ Poczęści zdawało mu się, że Edward tak gorąco zabrał się do pracy, że kontroli wcale nie potrzebuje; poczęści, nie mając czystego sumienia, nie śmiał jak dawniéj wglądać w czynności drugich.

Nieraz powtarzał sobie Żarnowski:

— Było i zostanie to odwieczną prawdą, że każdy ma rozum i naukę, a nawet karanie dla drugiego, a sam błądzi.

Zresztą ilekroć zapytał panią Kowalską:

— Ciotko, a cóż tam Edward? siedzi on w domu? nie lampartuje się?..

Pani Kowalska zapewniała go, że Edward jest tak porządnym młodym człowiekiem, jakich dzisiaj mało znaleść można; że nie wychodzi prawie nigdy, i co do zamiłowania w pożyciu domowem, chyba on, Gustaw, dorównać mu może.

Gustaw uspokajał się tem zupełnie, pani Kowalska zaś wcale z prawdą się nie rozmijała twierdząc, że Edward siedzi w domu, bo on rzeczywiście domu nie opuszczał. Ale nie egzamin ani nauka, tylko Stefanja w nim go zatrzymywała.

Na gorącéj jego wyobraźni, prawie poetycznéj, istota taka jak Stefanja wrażenie wielkie zrobić musiała... i bez wyrycia się w sercu przejść nie mogła.

Pani Kowalska wiedząc od Gustawa, iż Edwardowi brakował rok tylko do zdobycia niezawisłego stanowiska, a mając dostateczną rękojmię jego charakteru w przyjaźni, którą mu dawał Gustaw, i przyszłem połączeniu się Żarnowskiego z tą rodziną, nie miała nic przeciw temu uczuciu, które budziło się w młodym medyku, i cieszyła się nawet tem, że Stefanja nie jest dla niego obojętną.

Od czasu sprowadzenia fortepianu Stefanja powróciła poczęści do swego humoru, powoli stała się wprawdzie znowu poważniejszą, ale nigdy smutną.

Matka przypisywała to temu, że Stefanja z dziewczynki stała się dziewicą, może poniekąd i wiedziała, że miłość była powodem téj przemiany na dojrzałą kobietę, ale się tem wcale nie martwiła ani nawet nie dziwiła.

I tak się powoli zrobiło, że Edward zamiast siedzieć w pokoju Gustawa i uczyć się, przesiadywał u kobiet i czytał im różne książki, nawet przez Gustawa zakazane.

A czytał tak pięknie, tak porywająco, że nietylko Stefanja, ale i matka jéj z roskoszą go słuchała.

W nagrodę, jak mówiła Stefanja, za piękne czytanie, wieczorami grała Edwardowi na fortepianie, a w grze jéj było tyle uczucia, tyle głębokiéj myśli, tyle ducha i prawdziwego zapału, że Edward słuchając jéj muzyki, porwany ku niebiosom i duchowemu światu ideałów, zapomniał o egzaminie,

o pracy i z lekkomyślnością sobie właściwą przepędzał dnie szczęśliwe.

Nawet gdy Stefanji w domu nie było, gdy wychodziła na lekcje lub za interesami, Edward nie oddawał się pracy realnéj, nie uczył się do egzaminu, ale przypominając sobie dawne czasy szkolne, z takim zapałem i płodnością pisał wiersze, iż niejeden poeta z urzędu mógł medykowi pozazdrościć i zapału, i mnogości wierszy, których kilka setek był w stanie na dzień wypisać.

Często wprawdzie robił sobie wyrzuty, że do pracy się nie zabiera, że nie dotrzymuje uroczyście danego słowa; wtedy burzyła się w nim krew, irytował się i gniewem zapalał, przeciw sobie, swojéj naturze, swojemu usposobieniu, łajał się nawet nie przebierając w wyrażeniu, nazywał siebie nieznośnym, lekkomyślnym, bez czucia, bez honoru i Bóg nie wie jak jeszcze, obiecywał sobie, że od jutra zacznie zupełnie inne prowadzić życie, że porzuci wesołość i przyjemność, a zabierze się do rzetelnéj pracy... że zda egzamin, za rok będzie samoistnym, będzie miał utrzymanie, a wtedy... wtedy ożeni się z tym aniołkiem, z tem szczebiotliwem ptaszęciem; ale gdy usłyszał śpiew Stefci w przyległym pokoju, rzucał nudną i niecierpliwiącą naukę i spieszył do niéj.

Nieraz całe dnie lub wieczory spędzali sami... gdy pani Kowalska wyszła do magazynu z ukończoną robotą, albo do jakiéj znajoméj na gawędkę. Czas zbiegał im szybko, roskosznie... a jak blisko siebie były ich serca... co sobie powiedzieli słowami i ustami... wiedziało tylko ich dwoje, i chyba Bóg trzeci na niebie.

Był śliczny wieczór wrześniowy. W naszym kraju pogoda między latem i jesienią jest najpiękniejszą, a jesień czasami najprzyjemniejszą porą roku.

Gustaw pospieszył jak zwykle do Anny. Pozostawało im jeszcze cztery wieczory do przybycia Józi.

Zastał Annę smutną i zmartwioną.

— Ojciec mój, — rzekła wychodząc naprzeciw niego, jak to dawniéj zawsze Józia robiła, — ma się dziś gorzéj; teraz usnął, — dodała widząc, że Gustaw zmierza do pokoju radcy. — O! — mówiła daléj, — u nas dziś smutno, mama leży chora dzień cały, ma straszną migrenę od rana... siadaj pan.

Usiedli przy otwartem oknie niedaleko drzwi od pokoju radcy.

Zachodzące słońce rzucało pożegnalne promienie na przeciwległy plac i oświecało czerwonym blaskiem studnię i statuę na niéj umieszczoną. Siedzieli długo w milczeniu patrząc na siebie wzajemnie...

Gustaw tonął w jéj oku, chciał się upoić ciszą jéj twarzy na następny dzień. Czem bliższą była chwila powrotu Józi, tem stawał się niespokojniejszym.

Anna z rozpaczą człowieka, który wie chwilę i godzinę swojéj śmierci, poiła się życiem... napawała roskoszą; chciała wszystko życie wyrwać z oka Gustawa, chciała się napaść jego widokiem na resztę dni swoich, w których nie będzie jéj wolno widziéć ani kochać ukochanego człowieka.

Zwolna zmrok zapadał, zaczynały błyszczéć gwiazdy na niebie i na wschodzie zajaśniał księżyc

w pełni, oświecając swojem światłem blade twarze nieszczęśliwych.

— Za cztery dni o tym czasie, — rzekła po dwugodzinnem milczeniu Anna, — będzie tu już twoja narzeczona panie Gustawie.

Gustaw westchnął zamiast odpowiedzieć — i znowu milczeli.

Tymczasem gwar w mieście ucichł prawie zupełnie; na niebie panowała cisza głęboka... księżyc świecił coraz jaśniéj i blaskiem swoim magnetyzował, upajał zapatrzonych w siebie Annę i Gustawa.

Niebo było tak pięknego błękitu, jakby noc odziała się cudownym płaszczem o barwie lazuru, na którym rozsypane było złoto i brylanty w kształcie mrugających gwiazdek...

Do okna, przy którym siedział Gustaw, dochodził jednostajny szmer i plusk toczącéj się opodal w studni wody, która uderzając o płyty kamienne studni, pieniła się i srebrzyła przy blasku księżyca, statua na niéj, wśród wody błyszczącéj i odbijającéj w swéj powierzchni miljony gwiazd, wyglądała majestatycznie, ponuro i podnosiła wrażenie wieczoru.

— Jakaż cichość na tym świecie!.. — rzekł Gustaw przysuwając się do Anny z krzesłem, — jak błogo i spokojnie...

Anna zwróciła na niego oczy, z których kto inny wyczytałby wiele, może całą miłość biedną, tłumioną w sercu.

Ale Gustaw nie chciał widzieć w jéj oczach miłości, tak, jak ona wmawiała w siebie, że on jéj pokochać nie może...

— Lękam się takiéj ciszy, — odparła cichym szeptem Anna, — zdaje mi się, że burza musi po niéj nastąpić... czuję jakieś nieszczęście wiszące nad głową... ja mam czasem dziwne przeczucia...

Znowu milczenie...

Gustaw słyszał bicie swego serca, głośne, wyraźne, jak uderzanie młota o kowadło... może słyszał także bicie serca Anny, ale go słyszéć nie chciał.

Księżyc skrył się za obłoczek.

— Anno, — szepnął Gustaw, — dobra noc ci.

— Już idziesz?.. prawda, już późno... dobra noc... — i podała mu rękę.

Za dotknięciem dłoni drgnęli oboje... dotknięcie to obudziło szybsze krążenie krwi w żyłach...

Skierowali ku sobie oczy i patrzyli na siebie, jakby po raz ostatni w życiu...

Gustaw bezwiednie, machinalnie wziął w obie dłonie rękę Anny i przycisnął ją do ust, jak przywykł całować białą Józi rękę.

Biedna dziewczyna czuła, że to nie jest pocałunek, jakim się darzy siostrę narzeczonéj, zadrżała i dobywając wszystkich sił spojrzała w twarz, w oczy Gustawa... chciała w nich znaleść ratunek, siły, oprzytomnienie, a spojrzenie to było zgubą dla obojga...

Gustaw otoczył ją swem ramieniem i przysunął do siebie...

Anna, jak tonący, rzuciła się raz jeszcze i szepnęła:

— Gustawie!..

Chciała, aby głos jéj oprzytomnił Żarnowskiego, bo sama, czuła, że traci siły i przytomność...

ale głos jéj był właśnie głosem miłości głębokiéj, prawdziwéj, długo tajonéj i zamiast oprzytomniéć, bardziéj oszołomił Gustawa.

Przytulił ją do swéj piersi, do swego boku... z roskoszą słuchał głośnego bicia jéj serca...

Biedna Anna bezprzytomna zamglonemi oczyma szukała ukochanego spojrzenia, główkę sparła na ramieniu Gustawa.

Patrząc tak w księżyc siedzieli znowu niejaką chwilę bez pamięci, bez świadomości otoczenia i samowiedzy nie słysząc, co się wkoło nich dzieje, nic nie widząc i nie wiedząc.

Nie słyszeli téż, jak ktoś gwałtownie i konwulsyjnie prawie pociągnął za drut dzwonka u bramy, aż jęczał w ciszy nocnéj długą chwilę... nie słyszeli potem szybkich i równie gwałtownych kroków po schodach i obudził ich aż łoskot drzwi i śmiech straszny.

— Cha cha cha cha!..

Oboje oprzytomnieli... odskoczyli od siebie przerażeni więcéj sami sobą, jak obecnością czyjąś lub tym śmiechem prawdziwie piekielnym.

Przy świetle księżyca widział Gustaw wyraźnie wyniosłą postać Edwarda.

Edward zbliżył się do kominka, nad którym wisiały pistolety i pałasze, wziął jakąś broń i równie szybko wyszedł zatrzaskując drzwi za sobą.

Zbudzony hałasem ojciec chory i matka zawołali równocześnie Anny, która długo do siebie przyjść nie mogła.

Wreszcie, jeszcze w gorączce, wybiegła do ojca.

Gustaw pochwyciwszy kapelusz wyleciał.

Chwilę błąkał się po ulicach, przytomniejąc i chcąc ochłonąć...

Gotów był na wszystko, i smutny, spokojny, jakby zrezygnowany powrócił do domu i postanowił czekać na wyzwanie Edwarda, którego się niechybnie spodziewał.

Był poważny, smutny, ale spokojny.

Zobaczywszy w oknie swojem światło, pewny był, że Edward już czeka na niego, i przygotowany na śmierć wszedł do pokoju.

— Ach! byłby mnie zabił! — szepnął sobie, — bo ja do niego strzelać nie będę.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast spodziewanego Edwarda zastał Stefanję.

Była w bieli, włosy miała rozpuszczone, twarz niemniéj białą jak kaftanik, usta prawie sine, a oczy biegające jak w gorączce.

Nie słyszała wejścia Gustawa i ocknęła się dopiero wtedy, gdy on przestraszony przypadł do niéj z okrzykiem:

— Stefciu! co ci jest?! co ty tu robisz?.. czy ciotka chora?..

Stefanja uśmiechnęła się boleśnie, zerwała z łóżka, na którem siedziała, spojrzała przed siebie i z jękiem padła napowrót.

— To ty Gustawie?.. czekałam na ciebie...

— Na Boga! Stefanjo! — zawołał młody człowiek podbiegając do niéj i biorąc ją za obie raczki, które zimne, bezwładnie opadłe leżały na jéj łonie. — Co ci jest? czegoś płakała?..

— Ja? płakała?.. a! tak, przypominam sobie... doprawdy sama nie wiem... dziwię się sama...

— Czy można! czy się godzi? jaki powód?.. wszak ci jest tak dobrze na świecie, nieraz sama mi to mówiłaś... takaś szczęśliwa!.. co znaczy twoja obecność tutaj? co się stało?

— Prawda! — zawołała z jakąś ironją, któréj dotychczas nigdy w niéj Żarnowski nie spostrzegał, — tak mi dobrze na świecie! tak mi wesoło... powinnam być tak szczęśliwą... — i zaczęła chodzić po pokoju.

— Co ty mówisz! jakim to strasznym tonem powiedziałaś... Na Boga! Stefanjo, przestraszasz mnie! Co się stało? ciebie, czy ciotkę, czy kogo jakie spotkało nieszczęście?

Stefanja smutno spuściła swą śliczną główkę i dziwnie przejmującym wzrokiem, z pod oka, przez brwi i rzęsy spojrzała na siedzącego Gustawa.

Spojrzenie to długie, przeciągłe, milczące, zrobiło na Żarnowskim wielkie wrażenie, bo boleść ogromna z niego wiała... i objął oczyma całą jéj smutną postać.

— Nieszczęście dotknęło tylko mnie.

— Siostro moja! niepokoisz mnie... powiedz mi całą prawdę... powiedz, co się stało.

A po chwili, widząc, że Stefanja milczy, powstał i rzekł głosem stanowczym, ale prawdziwego uczucia pełnym:

— Znając się przeszło lat dziesięć znamy każdy swój ruch, spojrzenie, uśmiech. I przez tych całych lat dziesięć byliśmy sobie w całem słowa tego znaczeniu przyjaciołmi... Ja przychodziłem do ciebie po pociechę, tyś nieraz białą swą dłonią spędzała chmury z mojego czoła i nieraz szczebiotaniem odpędziła troskę od serca mego... wlała

ufność, nadzieję, wiarę w siebie i drugich... Ty przychodziłaś do mnie niejedenkroć po radę, po zasiłek, pomoc... i nie będę zarozumiałym, jeżeli powiem, że i ja tobie nieraz wypogodziłem życie. Znaliśmy każdą myśl najtajniejszą, każdą najdrobniejszą radość i największy smutek...

Stefanja patrzyła przez łzy na niego i drżéć zaczęła na całem ciele... z rękoma skurczonemi, aż trzeszczały małe jéj paluszki, stała przed nim blada, chwiejąca się, z marmurowem czołem, smutnem spojrzeniem, załzawionemi oczyma niebieskiemi, ze łzą drżącą na rzęsie, w któréj zawisła cała jakaś wielka boleść...

Gustaw mówił daléj miękkim, czułym głosem, który zdawał się z serca w serce płynąć.

— I kochaliśmy się prawdziwie, jak może mało rodzeństwa na świecie. Nie mając siostry kochałem cię, jak mą rodzoną siostrzycę miłością, która w sercu twojem odbijała jak w zwierciedle. Dziś, gdybym miał siostrę, nie potrafiłbym jéj kochać ani więcéj, ani inaczéj, jak ciebie Stefo! czy uprzykrzył ci się węzeł naszéj przyjaźni? czy cięży ci miłość brata, że mnie dziś milczeniem odpychasz? czy dziesięcioletnią przyjaźń zerwać dziś zamyślasz? Czy i ty odwracasz się dziś odemnie, gdym ja odwrócił się od jasności i uczciwości?.. Niegdyś, — ciągnął daléj, zapominając wobec zmartwienia przybranéj siostry o własnym smutku, — niegdyś jam nie pytał siostry mojéj o przyczynę łez, nie potrzebowałem odgadywać powodu jéj smutku... ani téż w odpowiedzi na pytanie nie otrzymywałem nigdy łez, milczenia, lub ironji, nie tak pojmowałaś przyjaźń dawniéj...

Chciał jeszcze mówić, ale Stefanja przerwała mu gwałtownym ruchem, padła przed nim na kolana, długie jéj włosy rozsypały się i jakby płaszczem okryły jéj białe ubranie, złożyła dłonie jak do modlitwy i wyszeptała:

— O! Gustawie, miéj litość nademną!..

Gustaw pochwycił ją za obie ręce i przeląkłszy się ich zimna, porwał w objęcie jak dziecko i posadził na kanapce.

Stefanja płakała, płakała dziwnym jakimś płaczem...

Łzy jak groch biegły z jéj oczu po twarzy, zimne, nieczułe... a oczy miała suche o szklannym połysku, i jakby po szkle zsuwały się po nich łzy, nie załzawiając wcale źrenicy... oczy jéj były suche.

Gustaw ukląkł przed nią na jedno kolano i zapominając o swojéj trosce i swojem zmartwieniu, widział tylko jéj łzy i dziwne jéj zachowanie się; patrzył z braterską miłością w jéj oczy i milczał tem milczeniem wymownem, które tysiąckroć więcéj od słów powiada.

— Masz słuszność Gustawie, — rzekła Stefanja poważnie, a głos jéj nie był wcale podobnym do szczebiotania téj wesołéj sroczki, która smutek odpędzała od oczu i serca matki, — nie mam nad ciebie lepszego przyjaciela i na świecie nie ma nikogo, komubym się prędzéj zwierzyć powinna, jak tobie... i dlatego przyszłam tu do ciebie i czekałam na ciebie...

— Zlitujże się siostro moja, zlituj się nad sobą... Znam cię dobrze, wiem, że nie egzaltujesz się drobiazgami... boleść twoja musi być jakaś wielka, nieszczęście, które cię dotknęło, nie małe,

kiedy łez twoich nic ukoić nie może i usta białe dziwnym konwulsyjnym poruszają się szeptem... Jesteś cała zmieniona, drżysz... i siniejesz co chwila, powiedzże mi już; co ci się stało? jakie cię spotkało nieszczęście? Ty wiesz, że ja dla ciebie znajdę zawsze pomoc, radą... wszak wierzysz, że szczerzéj nademnie nikt z rodzonych ci nie poradzi... a na wszystko zawsze jest i musi być rada...

— Rada? mówisz, rada... jest... jest... dla mnie jedna tylko, „jedna“, straszna rada... dla mnie dwóch dróg nie ma na ziemi... Tego jednakowoż kroku nie chciałam zrobić sama... bez twéj wiedzy, bez twego zezwolenia... nie zezwolenia, bo tybyś na to nigdy nie pozwolił... Słyszałam, iżeś raz mówił, że gardzisz samobójcą; nie chciałam, byś mną pogardzał!..

— Stefanjo! — krzyknął Gustaw z takiem przerażeniem w głosie, że dziewczę spojrzało nań, lecz wcale nieprzestraszone i jakby przygotowane na ten wykrzyk.

— Pozwól mi skończyć Gustawie, — rzekła spokojnie. — Gdy ciebie nie było i siedziałam tu samotnie, nie wiem, ile strasznych godzin, w których liczyłam długie minuty, nie mogąc się ich dorachować, i jednostajne uderzenia zegara, w których byłam tak sama i opuszczona, że mi się zdało, iż Bóg nawet odwrócił odemnie swe oczy... myślałam tylko o tobie. Sądziłam, że skoro ty nadejdziesz, powiem ci wszystko, wszystko i ufałam w twój szlachetny dobry a surowy i sprawiedliwy charakter... byłam pewną, że jakbyś nie miał przebaczenia dla innéj kobiety w mojem położeniu, i dla mnie nie znalazłbyś pobłażania, i powiedział-

byś mi całą, całą straszną prawdę, chociażby ona mnie życie kosztować miała. Ale teraz, gdym widziała twoje przywiązanie dla mnie, twoje zakłopotanie mojemi łzami... teraz lękam się przemówić do ciebie, aby brat nie zwyciężył człowieka. Dlatego przyrzeknij mi, że odpędzisz od siebie słabość na tę chwilę, usuniesz z serca miłość, wysłuchasz mnie, jakbyś obcéj, nieznanéj słuchał kobiety... że nie będziesz się kierował litością, bo na litość nie zasługuje taka jak ja kobieta...

— Stefanjo! licz się ze słowami!..

— Nie cofam tego, com powiedziała... Daj mi słowo, że mi odpowiesz jak ci honor a nie serce każe... daj mi słowo, a przysięgam ci, że uczynię co każesz i jak każesz, chociażby mi się czoło spalić miało ze wstydu... chociażby... chociażby... a! ja nie wiem już sama, co mówię.

— Ależ Stefciu droga, uspokój się, jesteś zirytowaną...

— Nie bądź moim bratem, bądź moim sędzią! — rzekła ostro, ale łagodniéj dodała patrząc w jego oczy, — skoro wydasz wyrok, nie przebaczenie, ale pobłażanie, litość niech się znajdzie w twem sercu dla nieszczęśliwéj.

— Stefanjo! ty przesadzasz, egzaltujesz się... potrzeba o wszystkiem pomyśléć zimno, a nadewszystko spokojnie.

Stefanja słuchała go z półlitośnym, półironicznym uśmiechem.

— Dobry bracie, ty wierzysz we mnie?..

— Jak będziemy oboje w gorączce, ja nie będę mógł być sprawiedliwym sędzią, a moja siostra nie będzie mogła być dobrym adwokatem Stefanji.

Ale mów, mów już! bo wszelka niepewność straszniejsza od najgorszéj pewności.

— Twoje słowo?

— Przysięgnij mi, że uczynisz wedle méj rady.

— Przysięgam.

— A ja ci daję słowo, że ile możności sądzić będę zimno, obojętnie, jak obcą kobietę, albo raczéj jak przyjaciółkę, od któréj tylko dobrego oczekiwać zwykłem... ja będę sądził moją siostrę surowo, sprawiedliwie... o! jestem przekonany, że to przywidzenia...

— O! jak mnie twarz pali... jak mi płonie czoło i głowa pęka... jak mi głośno serce bije...

Twarz Gustawa zmieniła się nagle... zbladł i zachwiał się; usłyszał gwałtowne kroki na schodach, na ganku... po chodzie poznał Edwarda.

— Stefciu! ktoś nadchodzi!.. — zawołał do niéj, — słyszysz?.. zamówiłem do siebie kilku kolegów... mamy robić wycieczkę za miasto... już świta, odejdź ztąd!..

— To on! — krzyknęła Stefanja.

-- Gdy Edward tu przyjdzie i przy niéj zacznie tę rozmowę... o Boże!.. — mruknął do siebie i dodał głośno: — Stefanjo, proszę cię, odejdź... co powiedzą, jeżeli cię tu zastaną?..

— Jeżeli ci teraz nie powiem, kto wie, czy jutro będę miała dość siły...

Kroki słychać już było podedrzwiami. Gustaw nie widział tylko jeden sposób zatrzymania Edwarda, dopokąd Stefanja nie wyjdzie, a pod żadnym warunkiem nie chciał dopuścić, aby Kaliński w jéj obecności dopominał się o jego życie... przyskoczył do drzwi i kluczem dwa razy obrócił.

W téj chwili Edward pocisnął gwałtownie za klamkę, drzwi się nie otworzyły.

Było głuche milczenie.

— Gustawie! — odezwał się głos Edwarda z za drzwi, ale tak zmieniony, że Żarnowski zaledwie go poznał, — wiem, że nie jestem godzien przekroczyć progu domu tego... że jestem podły zdrajca, oszust, żem złamał dane ci uroczyście słowo honoru, żem łotr, który uwiódł ci skarb twój niewinny... i niegodzien żyć... przyszedłem umrzéć jak pies pod progiem domu twego...

Każde słowo wymówione było wyraźnie i dobitnie, chociaż głosem chropawym i drżącym jakby od gorączki.

Gustaw nie miał czasu poskoczyć, aby drzwi otworzyć, gdy wśród ciszy nocnéj rozległ się straszny odgłos wystrzału.... a Żarnowski otwierając drzwi, uderzył o trupa Edwarda.

V.

Gdy 12 sierpnia pociąg z dworca kolei żelaznéj w N. ruszył, Józia po wielu pożegnaniach i zapewnieniach miłości i wiary rozstała się z matką i narzeczonym, którzy ją na dworzec odprowadzili.

Pierwsza to była jéj w świat wycieczka; znalazłszy się więc w wagonie wśród obcych ludzi, zaczęła od tego, od czegoby każda na jéj miejscu zaczęła kobieta, od poprawienia włosów i kapelusza.

A potem zrobiła przegląd między towarzystwem swéj podróży.

W przeciwległym kącie siedziała jakaś dama. Twarz miała aż do obrzydliwości pudrem ryżowym gęsto obsypaną, oczy bezbarwne i bez wyrazu, ale

biegające nader żywo, tak, że robiły wrażenie jakby wszystko objąć i odgadnąć chciały, figurkę miała bardzo proporcjonalną. Szkoda tylko, że ci kupcy nasi są tak niedyskretni, iż wystawiają różne części ubrania damskiego za okna swoich sklepów, przez co zdradzają nam profanom, że niezawsze kibicie damskie są z natury tak kształtne i zgrabne.

Daléj siedział jakiś siwy jegomość, dość otyły, koło którego z wielkiem uszanowaniem, wyłącznie i jedynie nim zajętych, siedziało dwóch młodych chłopaków, którzy sprawiali wrażenie konkurowania o sukcesję stryjowską.

Józia po téj obserwacji zasunęła się w głąb wagonu i patrzyła przez okno na szybko migające pola i drzewa.

Całe towarzystwo w głębokiem pogrążone było milczeniu, z którego tylko jedna wypudrowana dama niezadowolona się zdawała.

Minęli tak pierwszą stację, na któréj wysiadł ów siwy jegomość z chłopcami, Józia została sama z ową damą.

Gdy pociąg znowu ruszył, pani Liwall, któréj widocznie ciężyło to milczenie, przysunęła się do Józi i odpiąwszy parasolkę wiszącą na łańcuszku u paska, zaczęła rozmowę stereotypową formułką:

— Pani daleko jedzie?

— Nie, pani, — odrzekła Józia, któréj żywe usposobienie rade było rozmowie, — jeszcze trzy stacje.

— Do Ronicy?

— Tak jest, tam mieszka mój wuj. Bardzo się cieszę na pobyt na wsi; ojciec mój od trzech lat chory, więc nie wyjeżdżałam nigdzie... ale że

teraz i ja przebyłam tyfus, więc dla nabrania sił wysyła mnie na wieś dr. Baniewski.

— O! wierzę, że się pani cieszy... Ronica tak ślicznie leży, jak mało wsi na świecie; ma lasy, rzeki, góry i równiny, bo leży w podgórzu karpackiem... a przytem tam tak ślicznie!.. pan Ronicki tak upiększył ten majątek... a jak tam wesoło... zawsze towarzystwo, pełno gości, zawsze się bawią... tańczą...

— Ach, to dobrze! — zawołała Józia z prawdziwym zapałem, — ja tak lubię się bawić i tańczyć!.. a czy uwierzy pani, jeszcze ani razu w życiu mojem nie tańczyłam; nasz dom, to klasztor... nie mam téż nikogo... prawie nikogo!..

— Dobrze, żeś pani dodała prawie, — zawołała ze śmiechem pani Liwall, — bo ten młody człowiek, który odprowadzał panią, nie wyglądał na brata pani.

— Jak pani to zaraz poznała! — wykrzyknęła Józia, — to mój narzeczony, — i pokazała swój pierścionek z turkusem.

— O! ja mam na to oczko... już to oczko mam! — odrzekła pani Liwall z uśmiechem, który wykrzywił jéj usta i zmrużyła oczy niby figlarnie, przez co zdradziła wiele podobieństwa do zwykłéj, pospolitéj ropuchy albo żaby; ale tak wiele podobieństwa, że ateiści i inni złośliwi darwiniści znaleźliby jeden więcéj egzemplarz na poparcie swéj teorji.

— Ja, — rzekła po chwili pani Liwall, — jestem osoba doświadczona, żyłam już dużo na świecie i znam dobrze ludzi. Dlatego pozwól pani sobie zrobić jednę uwagę. Jeżeli masz rzeczywisty

zamiar bawić się w Ronicy i używać w całem tego słowa znaczeniu, nie przyznawaj się wcale, że jesteś narzeczoną.

— A to dlaczego? — zagadła Józia, któréj właśnie miło było pochwalić się wszystkim, że ma narzeczonego.

Pani Liwall uśmiechnęła się, chociaż mogę zaręczyć czytelniczkom, że gdyby była wiedziała, jak jéj jest brzydko z tym niby uśmiechem figlarnym, który miał powiadać: „już wiem wszystko“, a mówił właśnie przeciwnie, pani Liwall byłaby się nigdy nie śmiała.

— Czyż pani nie wie, że gdy na dziewczynę zawołają żono...

— O wiem!

— A narzeczona to jak pół żony...

— Tegoby nawet nie można utrzymywać w tajemnicy.

— Dlaczego! nic łatwiejszego...

— Mam przecież pierścionek, z którymbym się za nic nie rozłączyła.

— Więc pani tak kochasz swego narzeczonego?

— O! bardzo, bardzo kocham mego Gustawa, — zawołała Józia z rumieńcem.

— Jak się nazywa? — pochwyciła towarzyszka podróży o wydatnéj kibici.

— Gustaw Żarnowski, — odparła Józia czerwieniąc się jeszcze bardziéj.

— Ale powróćmy do tamtego przedmiotu... pierścionek mówić nie umie, więc wcale nie zdradzi, czy jest od narzeczonego, czy od mamy...

— Ależ on będzie do mnie pisać... i często będzie pisał... i ja do niego także!

— To również nic nie przeszkadza, owszem, tem lepiéj, nie potrzebujesz pani mówić, że nie masz narzeczonego, ale poco się nim chwalić?.. tajemniczość i zagadkowość jest zawsze najlepszą... Naprzykład, pani pisze list do pana Gustawa... będą się domyślać ciekawi, zazdrośni... zazdrośni nadewszystko; nie daj nigdy ani jednéj literki z listu... otwartość wobec mężczyzn jest najgorszą rzeczą... ale jak będziesz skrytą, będą za panią przepadać, szukać, dochodzić rozbijać się, wątpliwości ich podjudzają; z najmniejszéj rzeczy, najprostszéj, z drobiazgu zrobią coś takiego, coby ich w największą ciekawość wprowadziło... to sztuka nie tak bardzo trudna, a kobieta, która ją posiada, może być pewna powodzenia i szczęścia do mężczyzn, — i uśmiechnęła się znowu i poprawiła na sprężynowem siedzeniu.

Ktoś złośliwy byłby w niéj w téj chwili upatrzył podobieństwo do pawiego ogona, ale że Józia wcale złośliwą nie była i pawia nigdy nie widziała, więc téż nie zrobiła takiéj uwagi.

Jechały sobie tak daléj. Pani Liwall dawała Józi różne inne jeszcze arcywyborne nauki, zaleciła jéj także puder „veloutine“ i blansz, jako najdoskonalsze i najpewniejsze lekarstwo na piegi i pryszcze, jako rzecz zachowującą płeć i doskonale chłodzącą w czasie letnich upałów, i nauczyła ją używać tego wybornego środka przeciw wszystkim dolegliwościom kobiecym.

— Puder, — mówiła, — to wynalazek boski... nie może z nim wytrzymać porównania żaden inny wynalazek. Ludzie wychwalają Guttenberga i Schwarca... a nikt nawet nie wspomni o największym z lu-

dzi, wynalazcy pudru; nawet nieznane jego imię ludzkości; prawdziwa zasługa kryje się zawsze w cieniu.

A gdy przyjechały do Ronicy, były już z sobą jakby najdawniejsze znajome.

Pani Liwall zachwycona była Józią, która tak dobrze pojmowała wszystkie jéj nauki; na tak urodzajną niwę jeszcze nigdy ziarna nie rzucała. Żywy temperament Józi chwytał gorąco każde słowo, które chociaż czasem jéj się nie podobało i wydało dziwne, czasem sobie przypomniała, że w domu rodziców to ganiono, ale pani Liwall umiała mówić tak przekonywająco, takim jakimś sobie tylko właściwym tonem, że Józi wkrótce wszystko, co mówiła nowa przyjaciółka, bardzo do serca przypadało, a wszystko, co było w domu, wydało jéj się staroświecką, nudną, śmieszną parafjańszczyzną.

Słońce właśnie zaczynało kryć się za góry, gdy pociąg stanął i konduktor otwierając wagon zawołał:

— Ronica! dwie minuty!

Józia pożegnała się z panią Liwall, która jako sąsiadka państwa Ronickich, obiecała wkrótce w Ronicy odwiedzić nową przyjaciółkę, i rozstały się.

Na dworcu oczekiwali na Józię oboje wujostwo i kilka jeszcze osób, które jéj wprawdzie zaraz przedstawiono, ale ona nikogo nie widziała i nie pamiętała.

Pani Liwall wcale nie przesadziła mówiąc, że Ronica była cudownie położoną, i Józia, która tu była po raz pierwszy, nie mogła oczu oderwać od cudownego widoku, jaki się przed nią roztaczał.

Na pytania zaledwie odpowiadać mogła, a osłabiona chorobą chwytała z zachwytem pełną piersią świeże wiejskie powietrze.

Pan Ronicki był to człowiek poważny i bardzo wyrozumiały; widząc więc ten zachwyt na twarzy dziewczęcia, zaproponował, aby odesłano konie i całe towarzystwo powróciło pieszo do domu.

Dom mieszkalny w Ronicy stał na wyniosłem wzgórzu, zkąd widok był na mil kilka otwarty; z jednéj tylko strony wznosiły się góry, na których gęsty zielenił las.

Były to najdalsze stoki Karpat, które góry nasze ku równinom wysłały.

Dom był wielki i wygodny, a Józię, która tak mało w życiu swojem widziała, wszystko w zachwyt wprawiało.

Widząc to wuj, otworzył drzwi do werandy i rzekł do swego gościa:

— Widzę, że ci się tu u nas podoba, muszę ci więc pokazać coś, co rzeczywiście jest bardzo pięknem, a u nas najpiękniejszem.

Józia ze zwykłą sobie żywością wybiegła na werandę i stanęła zdumiona, nie wiedząc, na co pierwéj patrzyć...

Widok téż był rzeczywiście cudowny.

Wzdłuż całego domu ciągnęła się weranda, na któréj właśnie Józia stała. Weranda ta była wielkiéj długości, bo powała jéj wspierała się na osiemnastu okrągłych żelaznych słupach, podłoga jéj była układana w gwiazdy z marmuru czarnego i białego, z każdego pokoju przyległego werandzie zamiast okien prowadziły szklanne drzwi, co tworzyło prześliczną amfiladę.

Między drzwiami na ścianie domu wspinały się drzewa pomarańczowe, brzoskwiniowe i tym podobne, a na każdym słupie żelaznym wił się dziki winograd, który doprowadzony aż do stropu werandy, zdawał się spływać zielonemi wstęgami do ziemi.

Ten kapiący z góry winograd, ta zieloność wszędzie panująca dodawały wiele piękności i uroku. Ale wzrok Józi nie zatrzymywał się wcale na piękności ręką ludzką wyrobionéj.

Po kamiennych schodach zbiegły jéj oczy do ogrodu, nie zatrzymały się na prześlicznéj ścianie żywego płotu, któréj każdy róg kończył się sążniowym żywym filarem, ani nie widziała tych kunsztownie wyprowadzonych a łukowato wygiętych bram, które z takiego samego płotu żywego utworzone, łączyły jednę aleję z drugą i zarazem były łapką na kapelusze i włosy słusznych, którzy pod łukiem przechodzili.

Ogród kończył się z téj strony prawie przy saméj werandzie, bo za ścieszką i żywym płotem, w kilkosążniowéj głębokości rozkoszowała rzeka, za którą ciągnęła się równina nieobjęta i niezmierzona okiem.

Słońce zachodzące promieniami złocistemi oświecało całą okolicę, wokoło zieloności drzew, trawy i liści była jakby złota aureola różowego światła.

Wieczór był cudowny.

Józia stała w niemym zachwycie i słowa wydobyć z piersi nie mogła.

— Jakże, — zapytał Ronicki, — jakże ci się tu podoba?

— Bardzo! ach bardzo wujciu! cudownie tu jest!..

I przesiedziała tak pierwszy wieczór, zachwycając się letnim wieczorem, wonią kwiatów i powietrza, świegotem ptasząt i brzękiem owadów i muszek, widokiem wsi, którą tylko z opisów znała.

Cisza zalegająca zwolna dokoła, zwiastunka nocy, zastała ją na téj werandzie. Wszyscy bawili się w salonie jasno oświeconym.

Wreszcie umilkło ptastwo, zasnęły drzewa i krzewy... czuwała tylko szumiąca po kamieniach hulaszcza rzeka; wypłynął księżyc, zajaśniały gwiazdy.

Józia siedziała ciągle na werandzie.

A gdy pan Ronicki, widząc jéj zachwycenie i chcąc ją uraczyć, kazał pozapalać na wszystkich słupach lampjony, zachwyt jéj zmienił się w podziwienie.

Powódź światła, którem zajaśniała weranda, kapiący od stropu zielonym deszczem winograd, milczące, poważne, na barkach swych dom dźwigające żelazne słupy, wreszcie promienie światła padające aż na żywy płot, mogły w zachwyt wprowadzić i więcéj wymagających, jak Józia.

Drugiego dnia byli w Ronicy goście, trzeciego goście, czwartego znowu goście... i tak daléj, że Józia zaledwie znalazła chwilę czasu, aby napisać list do rodziców i narzeczonego.

Otoczona rojem młodzieży pierwszego dnia nie umiała ich wcale rozróżnić, ale nie byłaby kobietą, gdyby się nie uporała z poznaniem wszystkich do kilku godzin.

W kilka dni przyjechała pani Liwall i przekonała się, że wszystkie jéj nauki czas wydoskonalił i ulepszył.

Była zachwycona Józią, a Józia niemniéj nią.

Sympatje i antypatje są prawie zawsze wzajemne.

Żywemu temperamentowi dziewczęcia przypadła bardzo do gustu taka osoba, jak pani Liwall.

Ona wiedziała zawsze wszystko; czego nie wiedziała, odgadła, choćby co przytem skomponować.

Z jednego rzutu oka poznawała w towarzystwie najliczniejszem, kto się w kim kocha, i która pani na którego pana „poluje“.

A była to rzecz najważniejsza, na którą pani Liwall najpierwéj uwagę zwracała.

Znała wszystkich, pamięć miała ogromną, raz widząc kogo lub słysząc nawet o kim, pamiętała go na zawsze.

Miała trochę dowcipu, wiele zarozumiałości, i zdawało jéj się, że równie pięknéj, mądréj i bystréj kobiety nie ma na świecie.

Miała także pretensję do naśladownictwa cudzego głosu, ruchów, sposobu mówienia, ale pod tym względem kończyło się na pretensji.

Dziwną téż czuła satysfakcję w godzeniu poważnionych, ale nie mniejszą w różnieniu żyjących w zgodzie.

Gdy widziała ludzi w spokoju życie prowadzących, tak długo chodziła, nudziła, szukała, plotkowała, dopokąd nie narobiła zamięszania i zamętu; w spokoju ani chwili żyć nie mogła.

Jak sama utrzymywała, nie cierpiała plotek, obmowy, brzydziła się kłamstwem, ale nikt nad

nią zgrabniéj nie kłamał (bo jéj nigdy na gorącym uczynku złapać nie było można), nikt z większą przyjemnością nie obmawiał i w całéj okolicy nie było lepszéj plotkarki.

Pani Liwall nadewszystko lubiała tych, co dla niéj byli z głębokiem uszanowaniem, którzy zaszczycali ją zaufaniem i okazywali wielkie uwielbienie dla jéj rozumu, taktu towarzyskiego, bystrości, mądrości, wykształcenia i tak daléj.

Co atoli wcale nie pociągało za sobą, aby zaufania nie zdradzała i powierzonych tajemnic przy pierwszéj sposobności w świat nie puściła.

Nie wiem, czy dla zyskania popularności, czy okazania ważności stanowiska, jakie w okolicy zajmować chciała, czy dla innéj przyczyny nie dopuściła nigdy, aby bez jéj wiedzy i swatów przyszło jakie małżeństwo do skutku; póty intrygowała, póki narzeczonych nie poróżniła, sama atoli swatała tak zawzięcie, iż najmniéj pięćdziesiąt par w swojem życiu skojarzyła, i pomimo, że unieszczęśliwiła około sta ludzi, pasyjki swéj wcale nie zaniechała.

Nadzwyczaj wielką satysfakcję miała w tem, jak ją „ciocią“ tytułowano; wszystkie téż jéj wychowanice, którym dawała nauki w rodzaju udzielonych Józi, i kilku niedorosłych scyzoryków, którym imponowała jéj bystrość umysłu i dowcip, najczęściéj pożyczony, nazywali ją „ciocią“, chociaż nie byli z nią wcale spokrewnieni.

Pani Liwall była wdową, jak sama twierdziła, czy atoli kiedy była mężatką, nikt w sąsiedztwie nie wiedział.

Kilka mil od Ronicy miała wioskę, któréj dochody jak najzupełniéj na wydatki jéj wystarczały;

wiodła życie przyzwoite, na stopie równéj wszystkim sąsiadom, a długu nie miała nigdy ani grosza.

Zapomnieliśmy dodać, że rozpowiadała nader wiele o swoich licznych wielbicielach, i w duchu była przekonaną, że byle zechciała, poszalałby jeszcze niejeden dla niéj...

Dowodziło to, że najrozumniéj i najtrzeźwiéj na świat patrzący, jak ona o sobie się wyrażała, ma taki jeden względzik w swojéj główce, pod którym jest co najmniéj, głupim, jest więcéj prawdy w podaniu o pięcie Achillesowéj, niżby się na pozór wydawać mogło.

Z tem wszystkiem, to jest z temi wszystkiemi zaletami i przywarami, była pani Liwall nader miłą w towarzystwie, i dlatego przyjmowano ją wszędzie, a chociaż niejeden lękał się, że go po za oczy wyśmieje, wyszydzi i wydrwi, żadna zabawa, wesele, imieniny, lub nawet większe zebranie bez „cioci Liwall“ obejść się nie mogło, bo ona była duszą całego towarzystwa, kierowała zabawą, a w największym szale tańcu zachowała zawsze krew zimną, stała niejako na podwyższeniu, z którego dominując nad wszystkimi wiedziała, co kto zrobił, z kim mówił, z kim tańczył, z kim się pokłócił.

Wszyscy bali się jéj jako intrygantki i plotkarki, ale wszyscy lubieli się z nią bawić cudzym kosztem, chociaż wiedzieli, że jutro tak samo inni ich kosztem bawić się z nią będą.

Taką już jest natura ludzka.

Przybycie pani Liwall do Ronicy ożywiło bardzo zabawę (bo u państwa Ronickich zawsze pełno było gości i krewnych dalszych i bliższych).

Towarzystwo zaczęło się grupować około niéj i jak zwykle, ona objęła ster zabawy i zaczęła urządzać różne wycieczki, a przyznać potrzeba, że zabawy urządzać umiała, i miała takie szczęście, że każda jéj zabawa udała się zawsze; ani wiatr, ani deszcz, ani żaden wypadek nigdy jéj nie przeszkodził, jakby z żywiołami i przypadkami ugodę zawarła.

Bawiono się więc wesoło i ochoczo, a Józia lecąc z szału w szał, z tańca w taniec, zapomniała o konającym ojcu, o narzeczonym, o wszystkiem.

Widziała teraz tyle młodzieży, tylu mężczyzn, każdy do niéj się zbliżał, rozmawiał, zachwycał jéj porywającemi oczyma i kładł w ucho, że równie pięknéj, dowcipnéj i przyjemnéj kobiety w życiu swojem nie widział.

Józia rosła; każdy komplement, każdą grzecznostkę brała za dosłowną prawdę, a przez nieobycie z ludźmi była często tak naiwną i tak naturalną, że wszyscy się nią zachwycali.

Od czasu, jak przybyła pani Liwall, Józia stała się jeszcze pewniejszą siebie, jeszcze zarozumialszą.

We wieczornych pogadaniach (pani Liwall bawiła tym razem cały tydzień w Ronicy), gdy Józia „cioci“, bo ją już także tak nazywała, spowiadała się z czynności całego dnia, co jéj kto powiedział, kto szal podał, krzesło przysunął, kto tańczył, przez kładkę przeprowadził i tak daléj, wybierała ciocia Liwall męża dla swojéj z ukochanych najukochańszéj siostrzeniczki.

— Ależ ciociu, — wołała Józia, — jam już narzeczona!

— Pst! ciszéj! ściany usłyszéć mogą! co ci szkodzi, że się pobawię, wszak planować zawsze można.

I przerzucała nastepnie całą okoliczną młodzież, całą kawalerję i wdowców, i nie uznawała nikogo godnym ręki Józinéj.

Józia śmiała się i żartowała, szydziła wraz z ciotką z młodych ludzi i wierzyła, że skoro zechce, każdy u nóg jéj klęknie na rozkaz, pobiegnie jak najspieszniéj do ołtarza, a co najbardziéj dziwne, ta skromna, bogobojna Józia wierzyła, że nikt niegodzien jéj ręki.

Szóstego dnia po przybyciu pani Liwall do Ronicy, po większéj jakiéjś zabawie, rozeszły się panie późniéj niż zwykle, bo o godzinie trzeciéj rano.

Obok pokoju panien Ronickich był pokój Józi, w którym także pani Liwall mieszkała.

Józia, chociaż już zupełnie zdrowa i lepiéj wyglądała, jak kiedykolwiek w mieście, zmęczona była bardzo całonocnym tańcem i padłszy na krzesło, siedziała nieruchomie, gdy jéj panna służąca włosy upinała.

Józia na wsi zrobiła się bardzo wygodną, nawet sama czesać się zapomniała, ale natomiast z rzęsą nasuniętą i przysłaniającą śliczne oczy, bardzo cierpliwie siedziała czy téż drzemała.

Pani Liwall z wielką niecierpliwością czekała na odejście służącéj, aby zacząć zwykłą rozmówkę.

— Józiu, jakże ci się podobał pan Feliks, który wzbogacił dziś zbiór twoich znajomych?

— Pan Feliks?.. a prawda, widziałam go dziś zbliska po raz pierwszy.

— To „zbliska“ jest wyborne, udało ci się...

— Chociaż uważałam tego grubaska już kilka razy w kościele... — ciągnęła daléj Józia, — słuchał kazania i wąchał chłopskie kożuchy aż miło... — mówiła powoli Józia, jakby ją męczyła nawet prędka mowa, — ot szlaga!.. — dodała po chwilce.

— Pst!.. sza! — rzekła pani Liwall z minką tajemniczą, wskazując pokój sąsiedni, — zdaje mi się, że wujaszek dobrodziéj ma niejakie zamiary na tego panicza, chociaż ty twierdzisz, że grubasek.

Józia roześmiała się leniwie; pani Liwall lubiała, aby się śmiano z każdego jéj pseudo-dowcipu.

— Ale i kieszeń ma niemniéj grubą... dwie śliczne wioski...

— *Moi!* zawołała Józia z arcykomicznym grymasem, którego do niedawna wcale nie znała, — *moi je mourrai dans deux jours, si ou me disai de vivre toute ma vie avec un pareil...*

— *Au nom de dieu taisez vous* do drugiego pokoju wszystko słychać, a powiadam ci, że mają zamiary na niego!.. Wiesz ty, — mówiła po krótkiéj chwilce, jakie on mi wiersze do albumu wpisał?

— On! wiersze!.. to musi być coś ciekawego.

— Posądzam go, że się we mnie wtenczas kochał.

— A! więc wypisane z jakiegoś średniowiecznego romansu... afekt strzelisty, gorący, przebijający niebo i serce... — i śmiała się.

— Nie zgadłaś, nie zgadłaś. Właśnie krótki i węzłowaty, ale aluzja do mnie. Słuchaj i odgadnij uchem tę znakomitą ortografję... albo lepiéj pokażę ci je kiedy w oryginale; z tem wszystkiem mają na niego zamiary, za to ręczę... a i on nie od tego.

— Winszuję.

— E! to może i nie tak złe; wiosek dwie, człowiek dobry, porządny, uczciwy, familja zacna, imię ładne... toby może i dla ciebie było...

Józia się rozśmiała.

— A! jaki z niego mąż będzie!.. da ze sobą wszystko zrobić, z otwartemi oczyma będzie grał w ślepą babkę.

— Być może, ale to nie dla mnie; zresztą jam już narzeczona... — i powstawszy zaczęła się rozbierać.

— Moja kochana, — zmieniając nagle ton, przerwała surowo i ostro przybrana ciocia, — dosyć już tego... Przecież nie sądzę, abyś tamto głupstwo na serjo brała... a jeżeli się bawisz, to już czas przestać, bo po pierwsze, trzeba mieć sumienie i nie zwodzić biednego Gustawa, a powtóre, dłuższe odwlekanie téj sprawy może cię skompromitować w oczach całéj okolicy. Panna może się kochać, może grzeczności przyjmować, może je sobie dawać robić, o tyle, o ile to od kogo uzna za stosowne, to są wszystko tylko domysły, to jest pieprzyk i sól, a jedno i drugie zaostrza apetyt i dodaje smaku. Budzi to zazdrostkę, chętkę ubiegania się u mężczyzn; tem lepiéj! oni lubią wyścigi, każdy zresztą widzi, że panna ma w czem wybierać... ale niechże ten wybór będzie coś wart. Bo skoro raz jest związana, skoro niejako pokazała, ile warta i niewiele się taksuje, powinna pójść koniecznie za wybranego i *finir la comedie,* bo jéj karjera skończona. Panny mają swój kurs na giełdzie jak anglosy, baubanki, westbany i tak daléj, skoro któréj akcje spadać raz już

zaczną, w górę już nie pójdą, albo bardzo rzadko, a która raz jest narzeczoną oficjalnie, już jéj kursu nie notują na giełdzie!.. Spodziewam się zaś, że ty masz nadto wiele rozumu, abyś rzecz z panem Żarnowskim brała na serjo... taka miłość jest bardzo piękną... w latach młodości konieczną, jako piękne i wzniosłe wspomnienie na starość. Każda kobieta musi miéć takie wspomnienie; tu wypróbowuje swych sił, poznaje swe serce i słabą albo raczéj silną stronę swych wdzięków, ale tylko dzieci biorą to na serjo... Przyznaj sama, że na więcéj się cenisz, żeś więcéj warta, jak takiego jednego Gustawa...

— Tak... ale słowo się dało...

— Lepiéj dziś zerwać słowo, niż całe życie ciężko pokutować!.. unieszczęśliwisz siebie i jego... On... on jest sobie maleńki człowieczek, maleńkiego ducha... pieczeń w niedzielę, sztuka mięsa...

— On! taki wzniosły...

— Każdy z nich wzniosły, gdy się nastraja do twego serca, a po ślubie całkiem inaczéj będzie śpiewać, każe ci bułki misić, sztrudel wyciągać, aby jemu smakowało i dobrze było. Zresztą proszę cię, ty jesteś stworzona na to, aby cię pokojówka rozbierała, lokaj w liberji obsługiwał... abyś miała konie, ekwipaż... nie zaprzeczaj, bo uważałam dobrze i zachwycałam się właśnie, z jaką minką dajesz się czesać i ubierać, a rozkazywać umiesz jak księżniczka, jesteś stworzona na panią... i basta!.. No! a przyznaj moja droga, że Gustaw choćby cię trzy razy tak kochał jak kocha, z miłości nie wytrzaśnie ekwipaża... prędzéj jedno dziecisko po drugiem... i cóż, zamiast być czesaną, będziesz

czesać... dzieci. Poproś mnie ładnie, a ciebie bogato wyswatam, i jego bogato ożenię... i dobrze!..

— Sprzedać się!..

— Kto mówi o sprzedaniu!? ręczę ci, że prędzéj sprzedasz się idąc za niego, bo sprzedasz się namiętności, która cię nie uszczęśliwi, sprzedasz się w niewolę... *Dailleurs ma petite* rozważ to sobie dokładnie, a jak w wielu rzeczach zastanowiwszy się, tak i w tem przyznasz mi słuszność. Nic tu i tak nie ma pilnego, on zdaje się być człowiekiem rozsądnym, nie zasypuje cię listami, nie kompromituje zbyt częstą korespondencją, ani domaga się twego powrotu... ta rzecz może zostać w tym stanie, dopokąd ci nie wyszukam *quelqu'un, qui nous convienne,* wtedy i rozumek u méj Józi się znajdzie... Dobréj nocy, *ma petite.*

Na drugi dzień przybył gość nowy; był nim pan Bonawentura Rydyng. Jak utrzymywał, pochodził on z Litwy, zkąd z powodu „zajść politycznych“ musiał emigrować. Kupił kilka mil od Ronicy trzy prześliczne wsie i tworzył klucz, który w najbliższym czasie miał się nazywać Rydynżczyzną, w któréj skład wchodziłby Rydyngów z przyległościami Wolą Rydyngowską, Rydyngówką i Rydyngowicami. Tymczasem zaś wsie te nazywały się: Niskie, Szpilkówka i Nożyczki.

Pan Bonawentura każdemu, ktoby tylko słuchać chciał, mógł dwie godziny opowiadać o swoich folwarkach, o ich administracji, glebie więcéj lub mniéj przepuszczalnéj, o budującéj się gorzelni, browarze piwnym i t. d. Zresztą był nadzwyczajnie miłym w towarzystwie, i jeżeli kto tylko potrafił

nie puścić go na temat „własnego śmiecia“, nie było przyjemniejszego człowieka.

Wieku jego nikt dokładnie podać nie mógł, pamiętano go już w okolicy lat dziesięć, a od tego czasu wcale się nie zmienił. Wszyscy utrzymywali, że musi miéć przynajmniéj lat czterdzieści, niektórzy zaś robili uwagę, że mu już od dziesięciu lat czterdzieści liczą, a on sam wręcz o lata zagadnięty, zbywał zawsze pytających dowcipem.

Miał duże piwne oczy, żywo biegające, nos orli, usta nierażące, ale zacięte z wyrazem uporu, wąs nie nadto wielki, ale zawsze ostro zakręcony, włosy czarne, gęste i świecące. Trzymał się prosto, był rzeźwym jak młodzieniec, tańczył jak mało kto, jeździł na koniu kilkanaście godzin bez zmęczenia, wszystko jadł, pił tem bardziéj i był w stanie wypić beczkę, jak utrzymywali złośliwi, i nie zmienić humoru.

Zawsze wesół, należał do każdéj zabawy, pannom grzeczności robił, bukiety woził i umizgał się, ale chociaż pani Liwall tysiąc razy domyślała się, a raczéj, jak ona mówiła, pewna była, w kim jest zakochany, zawsze ją zwiódł, co ją z początku do rozpaczy, a z czasem do takiego gniewu przyprowadziło, że uważała go za swego osobistego wroga i utrzymywała, że się na nią gniewa, że ma do niéj pretensje, żal i t. d. Pan Bonawentura śmiał się i najnaturalniejszym głosem zapewniał, że mu się nigdy nie śniło gniewać na jaką kobietę kiedykolwiek, a tembardziéj na „ciocię powiatową“.

To znowu jeszcze w większy gniew wprowadzało panią Liwall i nazywała go wtedy „dziaduniem powiatowym“.

Pewnego razu, przyprowadzona jego zimną krwią do najwyższéj pasji, przysięgła mu, „że go do dwóch lat ożeni, albo metryką dowiedzie, jaki on już stary.“

Pan Rydyng śmiał się jeszcze głośniéj jak zwykle i odpowiedział, że umyślnie, będąc dzieckiem w pieluszkach jeszcze, podpalił kościół w Wilnie, aby odebrać cioci powiatowéj możność sekowania go latami, i chociaż tym sposobem dowieść jéj, że nie zawsze musi być tak, jak ona chce.

Dom w Niskiem, tam bowiem mieszkał pan Bonawentura, urządzony był z przepychem, obliczonym jedynie na rozrywkę, zabawę i wygodę. Służby była niezliczona ilość; zwykle pokazywał się sam kamerdyner w czarnym fraku i białym krawacie, a w miarę potrzeby wysuwała się z oficyn niezliczona falanga lokajów różnego wieku i wzrostu, tak, że pani Liwall utrzymywała, iż Rydyng całą męską ludność swojéj Rydynżczyzny wytresował na lokajów.

Bonawentura śmiał się i nie zaprzeczał, nawet potakująco kiwał głową.

Była w Niskiem strzelnica, zbrojownia, kręgielnia, sala bilardowa, łazienki, parnia i wszystko, czego tylko grymas kawalerski mógł zapragnąć i kaprys wymyśléć.

Kuchnię, a raczéj kucharza miał takiego, że przyjęcie udzielnego księcia nie zrobiłoby mu subjekcji; ogrodnika jak nikt, miał poziomki w zimie, kartofle w marcu, jabłka w czerwcu. Jednem sło-

wem, cały dom urządzony był na stopę pańską, a wszystko obliczone dla imponowania sąsiadom komfortem, wykwintnością i zamożnością.

Łatwowierni utrzymywali, że pan Rydyng ma kilka miljonów, inni temu nie wierzyli, ale wszyscy mieli go za bardzo majętnego człowieka i przyznawali, że był jednym z najlepszych agronomów w okolicy, a najrzutniejszym i najenergiczniejszym przemysłowcem ze wszystkich obywateli.

Kobiety psuły go bardzo, raz, że był rzeczywiście miłym i gładkim, co u córek Ewy jest najważniejszem, a chociaż się nie chwalił, wszyscy wiedzieli, że zwiedził świat cały i znał doskonale nawet Amerykę (jak o nim mówił w sąsiedztwie zamieszkały panek Dyski), a powtóre, że nie jedna, ale wszystkie z okolicy równocześnie chętnieby za niego były poszły, gdyby tylko tego zażądał, a aby zażądał, starały się o to wszystkie wszystkiemi siłami.

Pan Bonawentura przywykł tedy do tego, że co powiedział, było dobre, co zrobił, dobrze przyjęte, chociaż przyznać mu potrzeba, znał życie arcywybornie i prawie nigdy nie wykraczał przeciw regułom przez świat przyjętym.

Nudziło go wprawdzie trochę to wieczne staranie się o niego, ale z czasem przywykł do tego tak, jak ludzie dumni zwykli przywykać do tego, co im pochlebia.

Józia nie znała wcale Rydynga, i gdy go jéj przedstawiono, nie dawszy żadnych objaśnień co do stanu jego majątku, a ciocia Liwall zadaleko była, aby podszepnąć, traktowała go z góry, jak się nauczyła traktować wszystkich mężczyzn.

To z początku dziwiło, potem gniewać zaczęło dumnego litwina, około którego jak wokoło słońca wszystko się obracało.

Józia była nadto kobietą, aby tego nie widziała, i jak każda młoda kobieta nadto podobną do kotki, aby jéj nie sprawiało satysfakcji takie drażnienie i droczenie Rydynga, który z każdą chwilą zdawał się być więcéj zirytowanym.

Pani Liwall widziała to także równie doskonale jak wszystko inne, a chociaż irytacja Rydynga radość jéj sprawiała, z początku przestraszyła się Józinéj taktyki, która jakkolwiek wobec wszystkich wydała jéj się dobrą, wobec miljonów była podług jéj zdania, co najmniéj, zdradzającą „złe wychowanie“; lecz zobaczywszy, jak dumny litwin się wije, jaki niekontent i pomimo wielkiéj władzy panowania nad sobą widocznie się irytuje, ale od niéj nie odstąpił, powiedziała sobie:

— To genjusz nie dziewczyna, ona ma w małym palcu więcéj rozumu, jak sto innych w głowie.

Pomimo to jednak zbliżyła się do Józi i potrafiła jéj szepnąć, kto jest ten człowiek, z którego sobie igraszkę robi.

Pobyt na wsi posłużył bardzo Józi, bo w krótkim stosunkowo czasie odzyskała znowu siły i piękność.

Na słowa pani Liwall uśmiechnęła się uśmiechnęła się, wydęła dumnie usta i jakby na przekonanie cioci Liwall, jakąby miała władzę nad tym człowiekiem, gdyby chciała, posłała mu takie spojrzenie czarnych oczu, takie nęcące, wabiące i przyciągające, że Bonawentura urwawszy w drugim końcu pokoju rozmowę z panną Ronicką, przeszedł

kilka razy nieznacznie po salonie i zbliżył się do Józi.

Józia uśmiechała się tryumfująco, jakoś szyderczo i bezmiłosiernie.

Rydyng drażnił się coraz bardziéj, ale zamiast ustąpić i porzucić kapryśne dziewczę, coraz bardziéj się zbliżał i widocznie dokładał wszystkich starań, aby być miłym, wesołym i dowcipnym.

Józia natomiast, jakby czując swą władzę nad tym człowiekiem, mówiła mu nieraz rzeczy, których pani Liwall z przerażeniem słuchała, oczekując, rychło litwin obrażony odwróci się i odejdzie.

Po krótkiéj chwili Józia nie dokończywszy odpowiedzi na jakieś jego pytanie, jakby sobie coś przypomniała, żywo odbiegła.

Ciocia Liwall spojrzała za nią, ruszyła ramionami i zaczęła obojętną rozmowę z Rydyngiem, który zły na Józię, starą kokietkę i cały ród niewieści, skoro się wyrwał od rozmowy z panią Liwall, kazał zaprzęgać i chciał odjechać.

Zatrzymany jednak na kolację, został na noc, tańczył za dwóch, pił za dziesięciu, podczas herbaty siedział przy Józi, a przy owocach znalazła szalona dziewczyna sposobność powiedzenia mu, że brzydzi się ludźmi, którzy wiele piją.

Pan Bonawentura odsunął od siebie kieliszek.

Niebawem wszyscy od stołu ruszać zaczęli i zagrano mazura. Rydyng podał ramię swéj sąsiadce, która oddała mu rękę z takim uśmiechem i takiem spojrzeniem, że je miljoner jeszcze w dwie godziny późniéj pamiętał.

W kilka dni potem przyjechał znowu Rydyng do Ronicy na objad, ale nie zastawszy Józi, którą

pani Liwall dla staranniejszego obrobienia myśli zerwania z Gustawem na kilka dni do siebie zabrała, niewiele się namyślając, zaraz po objedzie poleciał do Plotnik, wioski pani Liwall.

Plotniki leżały cztery mile od Ronicy, a chociaż od Niskiego tylko półtoréj oddalone były, Rydyng dla niewielkiéj sympatji, którą miał dla „cioci powiatowéj“, rzadkim był jéj gościem.

Pani Liwall siedziała w altanie ze swą przybrana siostrzenicą, grając jak pianista na fortepianie, na sercu i uczuciach swéj pupilki ze świadomością psychologa, starając się wszelkiemi możliwemi sposobami nakłonić ją do zerwania z Gustawem; używała do tego namowy i pochlebstwa, perswazji i szyderstwa, aby tylko nie dopuścić małżeństwa bez niéj ułożonego.

— Ktoś do nas jedzie, — rzekła Józia patrząc w długą aleę kasztanową.

— Za tobą i goście do staréj się ciągną...

Józia patrzyła ciągle na drogę.

— Cztery konie kare, wózek żółty na wysokich kołach...

— Rydyng! — wykrzyknęła pani Liwall i aż się zerwała z kanapki, — Józiu! leć się ubierać.

— Ubierać?.. ani myślę... nawet mu się nie pokażę.

— Pomijam, że téj niegrzeczności nie zrobisz w moim domu, czy masz pójść za niego czy nie, ale on do ciebie przyjechał, u mnie nigdy nie bywa.

— Tem gorzéj dla niego...

Wtem wózek zaturkotał przy saméj altanie.

— Pędzi jak szalony... — rzekła Józia.

— On zawsze tak jeździ.

I powtórzyła się w Plotnikach ta sama scena, co w Ronicy, z tą różnicą, że gdy ich dwoje tylko w salonie było, Józia miała więcéj sposobności droczenia roznamiętniającego się litwina; wzrokiem i uśmiechem przyciągała go i nęciła; potęgi tych oczu doświadczał już niejeden, a słowami często tak odpychała, że Rydyng nieraz nie wiedział, co się z nim dzieje.

Pani Liwall zatrzymała rzadkiego gościa na noc, na obiad; była miłą, grzeczną, słodziutką, co tem bardziéj odbijało od kociego usposobienia Józi.

Na drugi dzień dopiero oświadczył Rydyng, że przyjechał do pani Liwall z propozycją urządzenia dalszéj wycieczki w góry.

— Udaję się z tem najpierw do pani, — mówił, — aby oddać należny hołd jéj talentowi w urządzaniu takich wycieczek. Zresztą wiadomo wszystkim, iż pani zrobiła układ z żywiołami, które panią wspierają w wykonywaniu planów, no, a wreszcie skoro pani skinie, zbiegną się wszystkie siostrzenice i siostrzeńcy jak po „ukazu“ i wycieczka udać się musi.

Zaprosił potem panią Liwall na gospodynię, siebie zrobił gospodarzem wycieczki i tak ułożono plan cały.

W kilka dni potem Rydyng sprosił całą okolicę i zrobiono wycieczkę, która jak najdoskonaléj się udała.

Na szczycie góry zastało towarzystwo rozpięte namioty, kosze z winem, jadłem i chłodniki; sławna służba pana Bonawentury w migdałowéj liberji, w liczbie okazałéj dwunastu, usługiwała jak przy królewskiéj uczcie; a że o nikim nie zapomniano,

każdego nakarmiono, napojono i obsłużono jak należy, więc wszyscy byli zadowoleni.

Józia zachwycała się górskiemi widokami i nie miała wiele czasu na dokuczanie gospodarzowi, który dla téj swojéj roli więcéj ogółem niż nią zajmować się musiał.

Wieczorem rozpoczęto powrót do domu przy powodzi ogni bengalskich, a gdy się zbliżono do rzeki, nagle pogasły pochodnie i buchnęło morze światła na wodzie. Zapalono beczki ze smołą, a stojącym na wzgórzu wydało się, że rzeka płomieniami płynie.

Dla wszystkich było to niespodzianką, a Rydyng stojący koło Józi widząc jéj zachwycenie, był ze siebie i wszystkiego tak zadowolonym, jak tylko mogą być zadowoleni tacy szalejący młodzi starce.

Józia powróciła do domu z rozpaloną głową... Zaczarowane pałace, świat i życie w jakiemś dziwnem świetle, rzeki ogniem płynące, lasy z różowemi liśćmi... złote i srebrne półmiski, służba w złotych galonach snuły się po rozgorączkowanéj główce...

— Szaleje za tobą! — zawołała pani Liwall padając na kanapkę znużona. — Maryniu, podaj mi pudełko z pudrem. Ach! jakże mi gorąco... od drugiéj godziny nie miałam czasu odpocząć, ani się pudrem obsypać... ale nam się wycieczka udała. Józiu, czy wierzysz w moją przyjaźń?

— Nie mam nikogo życzliwszego.

— I wierzysz, że znam się trochę na ludziach i rzeczach?

— O! wierzę!!

— Ja ci więc powiadam, dziś czas, abyś odesłała pierścionek Gustawowi i jutro była wolną.

— Jutro wolną! — powtórzyła jak przez sen Józia, — dlaczego?

— Bo jutro oświadczy ci się Rydyng... i spodziewam się, że nie będziesz tak dziecinną, abyś przez jakiegoś tam Żarnowskiego nie chciała być panią Rydynżyną...

Józi przesunęły przed oczyma konie, karety, sługi... słyszała jak ją tytułowano „jaśnie wielmożną Rydynżyną“, widziała się panią starożytnego domu w Rydyngowie, rozpierała się na aksamitach i jedwabiach, stąpała po pysznych kobiercach perskich i dywanach...

— A zresztą któż cię tam wie, — mówiła daléj ciocia Liwall, postanowiwszy sobie dzisiaj ostatecznie uporać się z Gustawem, — może wolisz być panią adjunktową przy „kreisgerichcie“... co komu smakuje i do czego stworzony... O! jeżeli się nie czujesz na siłach robić honory domu w zamku rydyngowskim, to z pewnością lepiéj zrobisz, idąc za pana Żarnowskiego; przynajmniéj będziesz w swoim żywiole...

— Niepotrzebnie mnie ciocia ironją kłuje i podjudza, jak leniwego konia ostrogami. Pan Rydyng podobał mi się i konwenuje mi bardzo; idzie tylko o życie Gustawa, bo go doprawdy bardzo lubiłam i dziś, — dodała żywo, aby ją o zmienność nie posądzono, — bardzo mu sprzyjam... bardzo!.. Ale on mnie tak strasznie kocha! gotów zrobić coś okropnego!.. jakie szaleństwo!..

Z tonu Józi, z głosu jéj słychać było, że nauki pani Liwall zaczęły owoce wydawać... wiało z niego

zarozumienie, cynizm, nieposzanowanie dla niczego i nikogo.

— Bądź spokojna, nie tak szybko robią się szaleństwa, jak się o nich mówi; ręczę ci, chociaż nie wątpię, że twój Gustaw kochać cię musi, widząc, jak stary Rydyng szaleje. Kobiety czasem rodzą się już z takiem szczęściem; mój mąż ś. p. był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy, bo był bardzo zazdrosny. Raz mi nawet powiedział: „Jak widzę, że cię ktoś przy walcu w pół obejmuje i wiruje po sali, to mam ochotę go zasiekać, chociaż wiem, że jesteś uczciwą osobą.“ Ale wróćmy do rzeczy. Czy ty zrobiłabyś jaką awanturę, gdyby ci Gustaw zwrócił słowo?

Józia gorzko się roześmiała, jakby nad czemś najnieprawdopodobniejszem pod słońcem.

— A widzisz!.. on wprawdzie może nie będzie zadowolony z tego tak jak ty, ale ręczę ci, że się nie zabije; zresztą daję ci słowo, że go do sześciu miesięcy wyswatam bogato... już mam napiętą dla niego partyjkę. A potem możecie się kochać ile wam się podoba, spokojnie, nie narażając się na niebezpieczeństwo nędzy.

Długo jeszcze rozmawiały obie panie; ciocia wykładała o korzyściach poślubnéj miłości i przekonywała to słowami to ruchami; Józia przeczyła takiemi argumentami, jakby tylko dla obowiązku przeczenia, dla usprawiedliwienia się wobec własnego sumienia: Przekonano mnie, broniłam się...

Nietrudno téż szło przekonanie o tem, o czem dziewczyna sama przekonaną być chciała. Grunt przygotowany był oddawna, ziarno rzucone wzeszło ob-

ficie i wydało plon bujny; pani Liwall udało się to z większą łatwością niż się sama spodziewała.

Na drugi dzień wieczorny pociąg powiózł do N. list pod adresem Gustawa Żarnowskiego.

List był bardzo misternie zredagowany przez obie przyjaciółki; jako alegat towarzyszył mu pierścionek z turkusem, a wewnątrz wyrażona była jasno i dobitnie prośba o zwrot listów poprzednich.

W godzinę po odejściu listu telegram powołał Józię na pogrzeb brata.

Józia chciała zaraz jechać, ale pan Ronicki obiecał jéj sam z nią nazajutrz jechać i odwiedzić siostrę w zmartwieniu. Nie chciał jéj wypuszczać na pierwszy żal do domu.

W lewem skrzydle pałacu w Niskiem był pokój sypialny pana Bonawentury Rydynga.

Sypialnia jego umeblowana była podobnie do wszystkich pokoi.

Wysłana dużym perskim dywanem, po którym się stąpało jak po aksamicie. Nad łóżkiem wisiała skóra łosia, którego pan Bonawentura ubił własnoręcznie jeszcze na Litwie. Na niéj wisiał rewolwer i wenecki sztylet.

Przed łóżkiem na ziemi rozciągniony leżał niedźwiedź, a długi włos jego zdradzał, że padł w czasie ostrych mrozów.

Na ścianach nie było ani jednego obrazu, na oknach ani jednego kwiatka.

Ściany obite dokoła dywanami, które rozchodziły się zaledwie w miejscach, gdzie były drzwi i okna.

Bonawentura siedział właśnie w miękkiem karle przed biurkiem.

Przed nim rozłożona była jakaś książka, obok rachunki i raporta gospodarskie; ale Rydyng nie zdawał się niemi wcale zajęty.

Siedział z oczyma utkwionemi w mozaikę dywanu; na szerokiem czole zebrało się kilka grubych fałdów i żyły swemi sinemi pręgami zdradzały, że krwią mocno nabiegły. Wąs miał przeciw zwyczajowi rozsypany i nie zakręcony, a włosy zczesane od czoła przypruszone były gęsto siwizną, czego dotychczas nikt z sąsiadów nie widział.

Po chwili zadumania Rydyng jakby się ocknął, przetarł dłonią czoło i potrząsł ręką włosy:

— Ta siwizna!.. gdyby nie ta siwizna!.. Och! żebym ja miał przynajmniéj dwadzieścia lat mniéj... o nie! jeszczebym był zastarym dla niéj!.. a przecież... przecież jakie dziwne wrażenie ta kobieta na mnie robi, bo i dlaczego jest tak podobną do niéj! szatan się w to wmięszał... A gdyby!.. Jestem jeszcze taki zdrów i silny... nie przykuję jéj do siebie... nie każę gotować rumianków... Ludzie mojego rodzaju umierają nagle, jak podcięci kosą, nie chorują i nie męczą otoczenia swego. Ale któż mi zaręczy, że i ja tak umrę? że nie unieszczęśliwię téj kobiety?.. o! ta starość, ta przeklęta starość... A jeżeli ona zechce pójść za mnie dla mojego majątku... jeżeli ja mam sobie ją kupić?.. Nie! nie! kobiety takie, jak ona, nie sprzedają się!! Wystarcza przypomnieć sobie, jak ze mną z początku postępowała, jak wyraźnie dawała poznać: inne biją czołem przed twojemi pieniędzmi, ja nigdy nie oddam hołdu groszowi! — a potem powoli, jak się ze mną oswajała, jak się przyzwyczajała do mnie... jakby się przekonała, że nie jestem zły...

o! widocznie dla mnie, dla mojéj osoby stała się inną. Poznała mnie, może dała trochę szacunku... polubiła... może pokochała...

Z tem słowem zerwał się z karła.

— Ty stary głupcze o siwych włosach!.. — zawołał do siebie, — co ci się marzy, o czem śnisz? mógłbyś być jéj ojcem... Ależ tego po mnie nikt nie pozna, — wołało serce, — jestem rzeźki, zdrów i silny, że niejeden młody mógłby mi pozazdrościć, mam przecież wykształcenie nie ostatnie... A jakby tu słodko było w tym domu miéć taką szczebiotkę i usłać sobie gniazdko na stare lata... Nie! ja nie będę egoistą sprowadzając ją do siebie... dołożę wszelkich starań, aby ona była szczęśliwą, wszystko jéj tu będzie słuchało, odemnie zacząwszy; ja chcę i mogę dać jéj wszystko, czego kaprys zapragnie, mogę ją uszczęśliwić...

Przeszedł kilka razy po pokoju, i jakby nowe przyszły mu myśli, otworzył okno i zaczerpnął powietrza.

— To niepodobna, żeby ona mnie pokochała... jam już zastary!.. nie potrafię nastroić serca do pieśni młodości... a gdyby potem pokochała innego... o! nie! nie przez Boga nie! Popatrzę na nią jak na obrazek cudowny, napoję się jéj widokiem, ale zabawa sercem już nie dla mnie... Że téż my zimni starcy tak czasem dziwnie szalejemy...

Zbliżył się w róg pokoju w miejscu, gdzie się fałdowały dywany.

Rozsunął makaty, otworzył małe parapetowe drzwiczki i wszedł do drugiego pokoju.

Komnata ta prostotą i skromnością swoją odbijała bardzo od przyległéj sypialni.

Na środku stał duży stół dębowy niczem nie przykryty, w około niego kilka pięknie lecz pojedynczo wyrabianych krzeseł.

Na największéj ścianie wisiał ogromny portret ślicznéj kobiety.

Twarz na portrecie była więcéj jak naturalnéj wielkości.

Czoło wysokie, dumne, oko czarne jaśniejące blaskiem natchnienia, a usta barwy korala uśmiechały się cudownym uśmiechem. Na gorsie obnażonym zawieszone były perły i djamenty.

Niedaleko tego portretu na niewielkim stoliku stało pudełko szklanne, w którem zwinięte leżały śliczne włosy o połysku piór kruka, zasuszony bukiecik niezapominajek i biała róża. Obok stała oparta stara zardzewiała strzelba.

Rydyng wszedłszy do tego pokoju był widocznie głęboko wzruszony, patrzył w portret pięknéj kobiety jakby z oka jéj wyczytać chciał wolę, życzenie, radę; patrzył na pamiątki dni młodości i szczęścia. Nagle chwycił się obiema rękami za głowę i chciał uciekać z tego miejsca wspomnień, wzrok jego padł na obraz... i ze słowami:

— Ach! jak ona podobna! jak bardzo podobna!! — wybiegł z pokoju.

Rzeczywiście Józia miała oczy i uśmiech tak podobne do kobiety na portrecie, iż można było sądzić w pierwszéj chwili, że to jéj portret.

Rydyng starannie zasunął dywany i uspokojony kazał się ubierać i zaprzęgać.

Konie już stały przed gankiem, czekając na pana Bonawenturę.

— Dokąd pojedziemy? — pytał woźnica służącego, który wynosił burkę i parasol na wypadek deszczu.

— A dokądżeby! do Ronicy!

— Oj, podobno dostaniemy panią do pałacu, — rzekł pierwszy wskazując na nowe szory na koniach i swój nowy cylinder ze świecącym galonem, w który mu się ubrać kazano.

W téj chwili wyszedł Rydyng.

Wyglądał młodziéj jeszcze jak zwykle; włosy czarne świeciły połyskiem świeżości, wąs zakręcony, a ruchy mające wiele żywości, która pochodziła z rozdrażnienia i gorączki, czyniły go jeszcze młodszym.

Dał znak słudze, że się chce sam powozić i lekko jak dwudziestokilkoletni młodzieniec wskoczył na kozioł.

Pan Rydyng przybył właśnie do Ronicy w najstraszniejszą chwilę, bo w kilka minut po nadejściu wiadomości o śmierci Edwarda.

Józia była tem głęboko przerażona i uciekłszy ze smutkiem od cioci Liwall i całego towarzystwa do swego pokoju, siedziała z załamanemi rękoma i zbolałem sercem.

Bonawentura zapytał zaraz o Józię, zanim jeszcze miano czas opowiedzieć mu o strasznym wypadku.

— Zastrzelił się jéj brat, — rzekła pani Liwall, a po chwili dodała: — teraz w nieszczęściu pokaże się, kto jest jéj prawdziwym przyjacielem...

Rydyng drgnął przy pierwszych słowach i twarz jego przebiegło konwulsyjne drganie, ale nie

chcąc wobec plotkarki zdradzać wzruszenia, siłą woli zapanował nad sobą, powtórzył tylko zcicha:

— Zastrzelił się!

Po niejakim czasie zbliżył się do pana Ronickiego i zapytał, czyby nie mógł kilka słów pomówić z panną Józią.

Pan Ronicki popatrzył na niego mocno zdziwiony i przeprosił go, że Józia jest zbyt wzruszona, aby mogła wyjść do niego.

— Ale zapewne jutro wyjedzie do N., — rzekł z niejaką żywą gorączkowością pan Bonawentura, — a ja właśnie chciałbym z nią przed wyjazdem pomówić. Wierzaj mi pan, rzecz jest bardzo ważna... bardzo ważna, — dodał z przyciskiem.

Ronicki patrzył chwilę na niego; nigdy nie widział litwina tak wzburzonego.

— Czyby Liwall miała słuszność? — mruknął do siebie, — ha! daj Boże... — i poszedł do Józi.

Za nim jeszcze rzucił Rydyng:

— Ale proś ją pan bardzo! bardzo!..

Po chwili powrócił Ronicki i zaprosił pana Bonawenturę do Józi.

— Przepraszam panią jak najmocniéj, — rzekł wzruszony głęboko widokiem jéj smutku, z którym niemniéj piękną mu się wydała, — że w tak ciężkiéj chwili śmiałem narzucić się z moją osobą; i gdyby nie ważność przedmiotu, nie uczyniłbym tego nigdy. Być może, że dziwną wyda się pani ta rozmowa, dziwniejszym w teraźniejszem położeniu wstęp do niéj, ale jedno bez drugiego obejść się nie może, a to, co powiedziéć chcę, jest rzeczą tak ważną, że powiedziéć muszę.

Odetchnąwszy głęboko Rydyng patrzył chwilę z gorącem uczuciem na Józię, a potem zaczął tak mówić:

— Przed laty dwudziestu pięciu żył na głębokiéj Litwie, objąwszy dziadowski, książęcy prawie majątek, młodzieniec dorodny, jak wszyscy mówili.

Obaczywszy się panem wielkiéj fortuny i dziedzicem licznych włości, gdy mu do szczęścia już nic nie brakło, prócz istoty, któraby je z nim dzieliła, oglądnął się ów młody człowiek za towarzyszką życia.

O kilka mil od majątku jego mieszkał w starym dworze swoim, który kilkanaście pokoleń wychował w swych ścianach, szlachcic, wywodzący pochodzenie swe od wojewodów i kasztelanów, a drzewo genealogiczne rozpięte w komnacie jego sięgało czasów unji lubelskiéj.

W bogactwa i pieniądze nie obfitował bardzo, ale miał córkę, któréj krasna uroda słynną była na całéj szerokiéj Litwie.

O! bo cudneż to było dziewczę, gdy młody bogacz zajechał pod strzechę szlachecką.

Włos miała czarny o połysku piór kruka, oczy jak twoje pani, z takim blaskiem, z takim połyskiem i wyrazem takim, że jak w bezdennéj morza głębinie tonąć w nich było można. Czoło wyniosłe, dumne, jak czoło królowéj, usta jakby rzeźbiarza dłutem wykute z korala... a gdy się uśmiechnęły, nie było rzeczy, któréjby odmówić mógł ten, do kogo się śmiała.

Młodzieńcowi, miał on wtedy lat dwadzieścia pięć, wkradło się do serca siedemnastoletnie dziew-

czę, a widząc, że i jéj nie jest obojętnym, ożenił się z nią.

O! i kochało się tych dwoje ludzi, kochało jak tylko kochać można, mając czar młodości, piękności, majątek, zacność, imię i wszystko, czego tylko dusza zapragnąć może... i szczęśliwi téż byli, jak mało ludzi na ziemi.

W kilka tygodni po ślubie nowożeniec wybierał się na łowy. Wózek stał przed gankiem, słońce właśnie wschodzić zaczynało i witając ziemię promieniami różowemi oblało cudownem światłem cały świat. Młody człowiek zachwycony stał chwilę w ganku. Strzelbę trzymał w ręku i zamyślając wskoczyć na wózek, patrzył na cudowny krajobraz, gdy zbudzona hałasem służby i koni wyszła na ganek młoda żona jego, zaszedłszy cicho zarzuciła mu białe dłonie na szyję... i zdziwionego obdarzyła gorącym pocałunkiem.

Ach! jak śliczną była owego poranku w białéj sukience z rozpuszczonym czarnym włosem... jakie miała usta, gdy całowała ukochanego męża... i oblana różowem światłem wschodzącego słońca, uwisła na szyi...

O! tego pani opowiedziéć ani umiem ani mogę.

Zakrywszy twarz rękami, siedział chwilę w milczeniu, jakby się chciał uspokoić; nagle odjął dłonie od twarzy.

Lica miał bielsze od chusty, usta sine, oczy żywo biegające.

— Wtem... jak piorun z jasnego nieba... huknął strzał...

Zofja pochyliła mi się na ramię bezwładna...

Oto taki, taki maleńki sznureczek krwi płynął jéj od skroni po twarzy, taki cieniutki, ledwie się krew sączyła... spojrzała na mnie zamglonemi oczyma... po raz ostatni... szepnęła moje imię i już nie żyje, — dodał ponuro spuszczając głowę na piersi.

Upłynęło lat trzydzieści od tego dnia; przeżyłem dużo, przebolałem niejedno i niejedno pożegnałem, ale wspomnienia tego poranku z duszy wyrwać nie mogę.

Co szkodziło Bogu moje szczęście? co ono mu zawadzało i przeszkadzało?.. jam się nie mięszał do spraw jego, do świata, do ludzi, żyłem taki cichy i nie miałem nic droższego na świecie nad moją Zochnę!..

Po długiéj chwili ciągnął daléj znacznie uspokojony, ale widocznie opowiadanie to kosztowało go bardzo wiele.

— Wyrzutów mojego sumienia, boleści mojéj nie będę pani opisywał i nie byłbym cię nigdy nudził smutną moją historją, zwłaszcza dzisiaj: opowiadałem ją pani dzisiaj po raz pierwszy w życiu, ale słyszałem, że jutro odjeżdżasz pani do domu, a chciałem z panią przed tem o tem pomówić.

Jesteś pani tak podobna do mojéj Zochny, szczególnie gdy się uśmiechniesz, że nie dziwuj się, iżem ja stary oszalał patrząc na ciebie, i po latach trzydziestu pokochał tak, jak myślałem, że już nigdy nikogo na ziemi kochać nie potrafię. Zdało mi się, że Bóg czując krzywdę, jaką mi wyrządził, stworzył ciebie, abyś mi tamtę zastąpiła kobietę. Chcąc cię dziś prosić, abyś resztę dni moich ze mną podzielić raczyła, czułem się obowią-

zanym opowiedzieć ci ten straszny epizod z mojego życia. Wydaję się wprawdzie niestarym, ale mam już lat przeszło piędziesiąt, mógłbym być ojcem twoim i kochać cię tak, jak kochałem po raz pierwszy w życiu, nie potrafię!.. nie sądziłem się nawet zdolnym do takiéj miłości, jaką mam dla ciebie...

Powiedziałem pani to wszystko, byś zajechawszy do rodziców powiedziała im o tem mojem uczuciu... i jeżeli nie czujesz wstrętu do mnie, abyś przyjęła imię moje.

Spodziewam się i jestem nawet przekonanym, że gdybyś dziś przenosiła kogo nademnie... gdybym ja był ci wstrętnym, postąpiłabyś otwarcie, rzetelnie...

Józia milczała.

— Widzę, że żal nie daje się pani zastanowić nad moją propozycją, cieszę się jednak, żeś mojéj ręki wręcz nie odrzuciła. Gdy pierwszy ból się ukoi, pospieszę do N. po odpowiedź.

Skłonił się, chciał wyjść.

Józia powstała; dobre wkorzeniane od urodzenia w jéj sercu na proste opowiadanie tego człowieka odżyło; nieszczęście, jakie ją świeżo spotkało, dawało jéj miarę tego bólu, który on miał w sercu... podbiegła ku niemu i wyciągnęła obie ręce.

— Panie! cokolwiek będzie z nami, bądź pewien, że los twój obudził we mnie głębokie współczucie dla twojego nieszczęścia i patrząc na twój ból, czuję mój o wiele lżejszym... Za szczerość powinnam panu szczerością odpłacić... Byłam narzeczoną... i do dziś związaną słowem z człowiekiem zacnym, uczciwym, którego, jak mi się zda-

wało, kochałam prawdziwie... Ojciec mój długi czas jest chory... nie znałam żadnego innego człowieka, któryby z nim mógł rywalizować... Gdym tu przybyła, poznałam pana; serce moje było od owéj chwili w dziwnem zaprzątnieniu, głowa jak szałem otumaniona... Zdawało mi się, żem przestała albo raczéj jego nie kochała nigdy; dziś zwróciłam mu słowo... i odesłałam pierścionek. Pan żądasz miłości, czy ją mam dla pana? pozwól, że w téj chwili nie odpowiem stanowczo, abym potem nie była znowu w takiéj kolizji obowiązków... Jestem dziś zmartwiona, przygnębiona... to pewna, że mam dla pana wiele szacunku i współczucia... Chciéj mnie wytłómaczyć... o! bo bylibyśmy oboje bardzo nieszczęśliwi, gdybym przysiągłszy tobie, pokochała innego człowieka...

— O! jesteś szlachetną! — zawołał biedny Rydyng, — ona także taką była!.. do widzenia w N.

Ucałował jéj ręce i wybiegłszy pożegnał Ronickich, a nie pokazując się do salonu wskoczył na wózek i zaciąwszy konie popędził do Niskiego.

Pani Liwall spostrzegłszy, że Rydyng znikł z salonu wybiegła wkrótce także chcąc się dowiedzieć o czem szeptał z gospodarzem.

Ale p. Ronicki, który jéj trochę nie lubił, a bał się przytem strasznego jéj języka i obmowy, zbył ją niczem. Chcąc jednak zapobiedz, aby nie wpadła do pokoju Józi powiedział jéj, że Józia się położyła i że on, wuj jéj, cieszyłby się bardzo, gdyby sobie swobodnie chwilkę odpocząć mogła, nieprzeszkodzona; bo chciałby, aby rodzice poznali, że pobyt u niego w domu nie zaszkodził ich córce.

Pani Liwall, nie byłaby panią Liwall, gdyby zaraz nie odgadła co się dzieje, nie powracała więc wcale do salonu ale w przyległym pokoju oczekiwała końca rozmowy z p. Bonawenturą.

Że z ciekawości i niecierpliwości nie umarła albo nie oszalała, zawdzięczała swojéj bujnéj fantazji, która w różnych zarysach przedstawiała jéj w jaki sposób Rydyng oświadczył się Józi i jakiemi słowy został przyjęty, bo, że zostanie przyjęty, nawet wątpliwości nie przypuszczała; „a od czegóż były moje nauki i mój wpływ!“

Rozmowa trwała wprawdzie dosyć długo, jednakowoż jak wszystko na świecie i ona się wreszcie skończyła i Liwall nie dając nawet odetchnąć Józi, wpadła na nią w téj chwili.

— I cóż? I jakże! oświadczył się?—zawołała jeszcze w progu porywając z toalety kwacz od pudru i obsypując twarz swoją ukochoną „veloutine“.

— Oświadczył — odparła spokojnie Józia odejmując chustkę od oczu.

— Więc mogę uściskać panią... Rydynżynę!— wykrzykła przyskakując do niéj i pchając jéj swoją zamączoną twarz.

Józi po raz pierwszy w życiu wydała się obrzydliwą.

— Niekoniecznie jeszcze — odrzekła uchylając się.

— Jakto!! niekoniecznie!! niekoniecznie! a to szczególne — wołała ciocia Liwall odskakując od Józi, jakby od wyrodnéj siostrzenicy postawił jakie warunki?

— On? żadnych.

— Więc ty? dziewczyno uważaj! z takimi jak on ekscentrykami tylko do pierwszego stopnia da się struna naciągnąć, na co ci się narażać na zerwanie? Czekaj! po ślubie! po ślubie! będziesz wyrabiać co ci się podoba, ale przedtem do czego to? na co? ja odradzam; zresztą, rób jak ci się podoba!! nie namawiam nigdy nikogo, zawsze zostawiam wolną wolę, ale jeżeli mnie ktoś o zdanie pyta jak ty, muszę mu poradzić wedle mojego widzenia rzeczy tak jakbym sama uczyniła, to rzecz sumienia! Jakieżeś mu warunki postawiła?

— Ja? żadnych.

— Ja się zaraz domyśliła, żeś ty rozumną osobą.

Usiadła sobie na kanapce, wzięła do rąk robotę i udawała obojętność, ale kto ją dobrze znał, poznał łatwo ile ją ten udany spokój kosztował.

Józia siedziała zadumana ocierając od czasu do oczy z łez, była tak głęboko przejęta swoją boleścią i na wrażliwem jéj usposobieniu taki wpływ wywarło opowiadanie Rydynga, że wcale nie zwracała uwgi na ciocię Liwall, która wreszcie zniecierpliwiona zawołała:

— A co? widzisz? może się nie znam na ludziach? nie mówiłam, że ci się dzisiaj oświadczy! prawda, jak dobrze żeś wolna?

Józia siedziała jakoś zadumana, milcząca.

— Jakżeście się rozeszli, na czem stanęło?— dodała pani Liwall chcąc się koniecznie czegoś dowiedzieć.

— Powiedziałam mu, że nie chcąc być drugi raz w kolizji niedotrzymania danego słowa, proszę, aby nalegał, bym mu dziś stanowczą dała odpowiedź; zresztą jestem doprawdy zbyt przygnębioną,

abym mogła myśléć o szczęściu i weselu, gdy pomyślę nad boleścią mojéj matki... i nieszczęściem całéj rodziny...

— A, przyznam ci się, że nie rozumiem i nie pojmuję téj deklamacji o miłości rodzinnéj, bez dowodów w czynach.

— Czegóż ciocia chce? że dzisiaj nie jadę?.. wuj chciał i musiałam zostać... zresztą pociąg już dzisiaj nie odchodzi do N.

— Broń Boże! tu idzie wcale o co innego... Pomyśl, gdybyś ty dziś była miljonową panią... czy ojciec twój jęczałby na łożu boleści? czyż nie miałabyś środków do ulżenia jego cierpieniom?.. wywiezienia go do wód, do cieplejszegklimatu? sprowadzenia mu lekarzy, którzyby go do zdrowia przyprowadzili?.. Czyż nie dałabyo rodzicom cichéj bez trosk starości, bez pracyś spokojnéj, niekłopocącéj się o dni ostatnie, an, o jadło, ani o pragnienie?.. Ale na to potrzebai miłości prawdziwéj, potrzeba aż poświęcenia!..

— O! zaprzeczam,— zawołała gorąco Józia,— kto idzie za takiego człowieka jak Rydyng, nie poświęca się wcale.

— Ja ci to codzień powtarzam; czyżem ci nieraz nie mówiła: „idź za niego.“

— Nie przeczę.

— Więc dlaczegóż nie idziesz? Lękasz się, abyś innego nie pokochała! śmiéj się z tego!! *une femme raisonnable*, za jaką mam ciebie, nie kocha nigdy jeśli nie chce. Zresztą, po ślubie, możesz się kochać w kim ci się podoba i ile ci się podoba, nie ma już obawy, chociaż jak się spodziewam, *Rydyng te suffira* jak najzupełniéj, jest

bardzo rzeźwy, tęgi... no! i wcale nie stary, dobrze zakonserwowany, nie ma więcéj jak lat czterdzieści, to u mężczyzny właśnie siła wieku.

— Wiek jego jest mi wcale obojętny, ale dla sprostowania cioci opinji muszę powiedzieć...

— Ty się lepiéj odemnie znasz na tem?..

— Nie znam się wcale... ale mi powiedział...

— Powiedział ci ile ma lat?

— Tak, powiedział...

— Ileż! ile na miłość Boga!?.. pisałam już do Wilna, do Grodna, do Mińska... do wszystkich części Polski, bo wszędzie mam znajomych, i ja, znikąd się dowiedzieć nie mogłam! nikt go tam nawet nie znał; myślałam, że zmienił nazwisko... zlitujże się, zlituj! gadaj prędzéj...

— Mógłby kto pomyśléć, że ciocia w nim zakochana...

— Rób jakie chcesz przypuszczenia, tylko na Boga, mów prędzéj... ile ma lat?

— Piędziesiąt kilka.

— Kto! on piędziesiąt!? być nie może! nie ma ich, z pewnością cię oszukał!.. Może... pewnie chciał się dowiedzieć, czy ty za niego pójdziesz, chociażby był starym...

— Jakoś to takim głosem mówił, że przypuszczenie cioci wydaje mi się zupełnie mylnem, i opowiadał to przy takim wypadku, że wątpię, aby mu żarty i figle mogły przyjść na myśl... zresztą podobno i ze mną wątpię, czyby był chciał dzisiaj żartować...

— O! jakże ty mało znasz ludzi! dziś prędzéj jeszcze, bo łatwiéj temu uwierzysz... ale przy jakim wypadku ci to opowiadał?

— Opowiadał mi jeden ustęp ze swego życia, dotyczący pierwszéj jego żony...

— Co mówisz! on był żonaty?!

— Tak, i że to było przed trzydziestu laty, i że miał wtedy przeszło dwadzieścia lat, więc wnoszę, że teraz ma piędziesiąt.

— Żonaty... Rydyng żonaty... i... wdowiec... żona jego umarła.

— Nie, zastrzelił ją...

To już było nad siły pani Liwall; tyle nowin starych, zastarzałych, o których ona dotąd nie wiedziała.

— Zastrzelił!! — wykrzyknęła chodząc żywo po pokoju, — zastrzelił... o! ja wiem, że to człowiek gwałtowny... strasznych namiętności, a spokój jego jest tylko udanym... Pewnie był zazdrosny... *d'ailleurs* kto wie... może był zdradzony... może... ją gdzieś w ogrodzie z kochankiem przydybał... ci kochankowie są tacy nieostrożni, powinni sobie brać zawsze kogoś doświadczonego do opieki, aby uniknąć nieprzyjemności; ten trzeci, albo lepiéj trzecia, to jak lekarz przy pojedynku niezbędne. O! ręczę ci, że się nie mylę.

— Co za przypuszczenia!.. co téż ciocia mówi... wyjeżdżał na polowanie, żegnał się z nią i przypadkiem strzelba wypaliła...

— No proszę, ktoby się spodziewał, że ten na pozór taki spokojny pan Bonawentura, rozprawiający o Rydyngowie wielkim i małym, miał tak tragiczny, tak poetyczny moment w życiu... I dotąd się nie ożenił, a przecież niejedna była, któraby się chętnie była przeszła za niego... no proszę!.. A jak wiem z pewnego źródła, podróżo-

wał po całym świecie, widział kobiet nie mało... zdaje się, że potem z Litwy uciekł i dlatego nikt go tam nie znał, bo mi doniesiono, że ogólnie znana i bogata familja Rydyngów dawno już wymarła... sądziłam, że to przybrane nazwisko. Tak długo się nie ożenił, jakby czekał na ciebie!!.. Jakie to szczęście dla ciebie, żem cię poznała... nauczyła... powiedzże sama, czy ja zawsze nie mam racji, czy się kiedy mylę, czy nie zawdzięczasz mnie...

— Wcale temu nie przeczę, — przerwała Józia, — ale w tym wypadku, ciociu, działał jedynie traf i przypadek... Pomimo rad i nauk, pomimo wszystkiego, Rydyng byłby się nie popatrzył na mnie, nie zwrócił nawet może uwagi, nie widział wcale, gdyby nie traf, przypadek, któremu zachciało się twarz moją zrobić podobną do jego Zosi.

— Byłaś podobną... Zosia się nazywała? powiedział ci także nazwisko jéj?..

— Nie.

— I nie zapytałaś?

— A cóż mnie to obchodzić mogło?..

I tak daléj trwały badania i nauki w niewyczerpany nigdy sposób.

VII.

Doba upłynęła od strasznéj śmierci Edwarda Kalińskiego, a formalności, które taki wypadek za sobą pociąga, gdyż ciało Edwarda pomimo opozycji zawieziono do szpitala, zresztą obecność

u Kalińskich, zajęły tak dzień cały Gustowowi, że dopiero wieczorem miał wolną chwilę zostać sam, ze swojemi myślami, i teraz dopiero mógł sobie zdać sprawę z rozmowy wczorajszéj ze Stefanją, z ostatnich słów Edwarda i jego strasznego postępku.

Powróciwszy późno wieczór do domu, rzucił się na kanapę, na któréj były jeszcze świeże ślady krwi Edwarda i popadł w głęboką zadumę.

W przyległych pokojach słychać było jeszcze ruch wielki; Stefanja dzień cały leżała osłabiona i chora w łóżku, wieczorem wstała, a matka, myśląc, że przyczyną jéj smutku i zgnębienia jest jedynie śmierć ukochanego Edwarda, szanowała jéj boleść i ani słowem nie przerywała milczenia, krzątając się wyłącznie około zwykłych swych zatrudnień.

Gustaw długo siedział z twarzą bladą i pozieleniałemi ustami, a dolna warga drgała mu czasem konwulsyjnie, jakby w niéj władzę utracił.

Siedział ze wzrokiem wlepionym w plamę krwi na ziemi przy kanapie, a oczy w słup obrócone zdradzały, że nie myśli o niczem.

Ocknąwszy się po chwili popatrzył po całym pokoju, gdzie niemal co krok był ślad troskliwości Stefanji.

— To nieprawda! to nie może być prawdą! — jęknął do siebie, — to sen straszny, okropny! Stefo! moja dobra, kochana, anielska siostro! jaką ty mi krzywdę, jaką wielką zrobiłaś boleść... Przepadły moje rojenia i cudowne marzenia o tobie, wszystko jak cień złudny pierzchnęło odemnie... widziałem w tobie anioła, a anioł mój jest śmierci,

upadku aniołem! Jam ciebie sam wychował, wypiastował, wyniańczył, tchem i umysłem żywiłem własnym, własnem życiem... Zaszczepiałem najczystsze, najszczytniejsze zasady, nazwałem siostrą moją, umysł twój i serce sam wyhuśtałem i wykołysałem, budząc odrazę do podłości i plugastwa... Nie! to nieprawda, ona jest szaloną! to nieprawda, nieprawda!!.. O! jakiéjże strasznéj dożyłem chwili, jakiéj ciężkiéj chwili!.. Gdybyś była umarła, — mówił do siebie miękkim głosem, opierając głowę na rękach wspartych łokciami na obu kolanach, otarłszy łzę, która mu na rzęsie zawisła, — gdybyś umarła, biegałbym na mogiłkę twoją, nosił w sercu miłość bratnią i uczucie świętéj czci dla ciebie, nosiłbym ci kwiaty na grób i kołysał w sercu obraz Stefci mojéj, czysty, nieskalany.

Gustaw siedząc ze spuszczoną głową i mówiąc to głośno do siebie, nie słyszał, że przed chwilą już wsunęła się do jego pokoju cicha postać w bieli, i spostrzegł Stefanję dopiero w chwili, gdy przyczołgawszy się na kolanach do nóg jego, wzięła go łagodnie za obie ręce i okrywając pocałunkami i łzami, szepnęła łkając, jakby obietnicę:

— O! ja umrę... umrę z pewnością!..

— Stefanja! — zawołał Gustaw.

— Gustawie, — odrzekła łagodnie i wstawszy z ziemi, przysunęła sobie niewielki podnóżek, usiadła koło Żarnowskiego, wsparła główkę na jego kolanach i patrzyła mu w oczy. — Pozwól mi usiąść tak przy sobie, chociaż niegodna jestem oprzéć się na tobie i patrzéć w twoje oczy;

pomnij, że na śmierć skazanym pozwala się wszystko. Ja wiem, czuję, żem tego nie warta, że zawiodłam twą przyjaźń, zdradziłam braterstwo, skalałam wszystkie świętości, zdeptałam nauki i zasady, któreś mi lat tyle w sercu wszczepiał... Straszny anioł upadku i zniszczenia rozpiął skrzydła nad nami... i zatrzepotał niemi złowrogo nad głową... jakiś szał namiętności, zapomnienie świata i ludzi i siebie, mnie ogarnęło... on nie żyje, ja bez twojego potwierdzenia uczynić tego nie śmiałam, ale wiem, co mam uczynić, i uczynię to, co mi dziś jedynie pozostało; chwilkę, małą chwilkę tylko, tylko się pomodlę...

— Egoistko, samolubna! — odrzekł z goryczą Gustaw, — chciałabyś zakończyć swoje cierpienia, zapominasz, że w chwili, gdy się skończą twoje katusze, rozpoczną się cierpienia twojéj staréj matki, która na dni starości swojej i pociechę swych siwych włosów wychowała ciebie, ale nie na to, abyś używała rozkoszy i szczęścia jéj kosztem, a zostawiała ją samą na świecie na czas smutku i boleści... Zapomniałaś, że jesteś jedynaczką, że całą swą miłość rodzicielską, całe przywiązanie tobie oddała, i że ty jesteś obowiązana odpłacić jéj wzajemnością i takiem samem uczuciem. Tylko zły żołnierz opuszcza posterunek, gdy nieprzyjaciel nadciąga... O! łatwo żyć, gdy uśmiecha się młodość i szczęście, gdy życie płynie bez troski, ale walczyć, zwyciężać, „żyć“, gdy z boleści tchu w piersi brakuje i sił nie staje do zrobienia kroku z ciężkim wozem życia, to jest właśnie, co odróżnia człowieka wyższego duchem od pospolitego motłochu. Droga, którą wybierzesz w téj kolizji

obowiązków, pokaże dopiero, czem jesteś i czem twój duch. Czy jesteś małoduszną i małego serca tchórzliwą kobietą, która tylko w szale błądzić umie, tchórzem, jak tamten człowiek, który życiem zapłacił, nie umiejąc innéj wybrać drogi, czy niewiastą, która zna swe obowiązki wobec Boga, religji i rodziców, wobec świata i społeczeństwa. To jest moja rada i moja odpowiedź na twoje pytanie. Ty Stefanjo żyć powinnaś, musisz i żyć będziesz!.. aby życiem bez skazy i cierpieniami pełnemi poświęceń naprawić swój postępek; prawdziwie i niewinnie cierpiącym Bóg doda sił do zniesienia takich katuszy; są grzechy, za które uczciwi ludzie zaczynają na ziemi pokutować...

— Gustawie, obiecałeś mnie sądzić bezstronnie... nie jak mój brat i przyjaciel mojéj matki... sam mówiłeś, gdyś mniemał, że cię nie słyszę... „gdybyś była umarła“... myślałeś o mnie; w pierwszéj chwili wypoczynku myśl twoja dla mnie była, i powiedziałeś: „gdyby umarła“...

— Mówiłem... gdybyś była dawniéj umarła... o! dzisiaj nie mogłem tak mówić. Zresztą dotrzymałem ci słowa, bo gdybym potwierdził myśl twoją, może właśnie byłbym twym większym przyjacielem... Dla ciebie jest dziś łatwiéj umrzéć jak żyć; życie nie ma powabu ani uroku, umierając zakończysz wszystkie katusze, żyjąc rozpoczynasz nowe cierpienia z każdym wschodem i zachodem słońca, które się nie kończą, ale innemi zastępują...

— Gustawie! nie sądziłam, że będziesz tak bezlitośnym... ja! żyć!.. aby na mnie ludzie bło-

tem bryzgali, aby wokoło mnie szeptano na ucho różne rzeczy... mruczano i wskazywano palcami, to nad moje siły. Gdy umrę, nie będziesz mną bardziéj pogardzał...

— O! nie myśl, abym ja cię narażał na rzeczy, których ludzkie siły znieść nie są w stanie; znajdę i na to sposób, hańbie na pastwę, językom ludzkim nie wydałbym cię nigdy... Zostaw mi czasu trochę, tydzień, pięć, cztery dni, a ułożę wszystko tak, że się załatwi, jak obowiązki nakazują; jeżeli ci nie dotrzymam objetnicy, uczynisz co zechcesz; pamiętaj jednak, że za twoją winę nie powinna matka pokutować, i że ona ma prawo żądać ofiary i poświęcenia.

Stefanja zerwała się z miejsca i błysnęła okiem:

— Chcesz mnie za mąż wydać? Czy sądzisz, że byłabym zdolną oszukać człowieka, który mi daje swoje imię i wnieść hańbę do jego domu?..

— Nie narażę cię na to wcale, bądź spokojna. Dziś nic ci jeszcze powiedzieć nie mogę, ale spuść się na mnie; pamiętaj, że szlachetność jest mi droższa nad wszystko i nie zrobię nic, coby jéj ujmę czyniło. Pamiętaj o danem mi przyrzeczeniu, jak ja o mojem słowie pamiętałem... Matka czeka na ciebie... dobranoc ci Stefanjo.

Stefanja nie śmiała mu ręki podać.

— Dobranoc Gustawie, — szepnęła zcicha, — zrobię zawsze jak ty każesz, wszak wiesz o tem dobrze, ale bądź dla mnie litościwym... — i wyszła cicho bez szelestu.

— Biedne, biedne dziecko, tyś nic nie winna... ale on! on! on!.. ha! Boże, przebacz mu, ja dziś nie jestem w stanie!..

Zwróciwszy oko na biurko wzrok jego padł na paczkę z pieczęciami pocztowemi.

Był to list i pierścionek od Józi.

— Od Józi! — rzekł patrząc na napis. — Boże! jakie zesłałeś na nas opętanie! Anna, oni, i ja... Co ja im powiem? Co ja pocznę, co zrobię w tym dziwnym zbiegu okoliczności. Jakie wyjście dla mnie!.. Obowiązki dla Józi... jest moją narzeczoną. Dla Anny... dziś czuję, że ją kochałem i kocham prawdziwie; ona jest tą wybraną kobietą, którą serce ukochało... a dla biednéj Stefanji czyżem nic zrobić nie powinien? Przez pamięć dla zmarłego przyjaciela młodości, przez miłość braterską, przez litość samą. A i ja jestem tu niemało winien, bo ja wprowadziłem go do tego domu, i nie pilnowałem jego ani jéj serca. Przezemnie on dziś nie żyje, przezemnie unieszczęśliwiona tamta rodzina i biedna moja siostra!.. Jam winien, jam bardzo winien!!..

Po chwili otworzył list i prawie z radością odczytał go do końca.

— Wolny! jestem wolny!.. i ona mnie nie kochała równie jak ja jéj; teraz mogę zaręczyć Stefanji, że jéj palcami wskazywać nie będą... A moje szczęście? moje ciche szczęście przy ognisku domowem, któreby Anna rozłożyła? moje własne szczęście... musi być ofiarą na ołtarzu miłości siostrzanéj i poczucia winy.

Chwycił się za serce, które biło gwałtownie.

— O! Anno! moja Anno!..

I głośnym wybuchnął płaczem, a łzy gorące płynęły mu po twarzy ukrytéj w dłoniach.

— Stało się! — rzekł stanowczym głosem po chwili, jakby nie dopuszczał przed sobą samym myśli powątpiewania, — tak być musi.

Z taką pracą dobijałem się życie całe, walczyłem z nędzą, losem i głodem, i dziś kołysać będą pod moim dachem...

Precz ty myśli przeklęta, która jak robak mózg mi toczysz i jadem zatruwasz serce; jam winien, ja naprawię tę winę, którą popełniłem przez nierozsądek i nierozwagę...

Jakie przekleństwo ciężyło nad naszemi głowami? Za jakie pokutujemy winy?.. O! straszna jest dłoń losu... straszne fatum... którego spełnieniu dopomaga człowiek i namiętności jego, okoliczności i duchy wszystkie piekielne i niebieskie.

Stało się, szczęściem życia całego zapłacę za moje winy, za dualizm mego serca.

Bo gdybym był od początku poznał i zrozumiał siebie, byłbym z krwią zimną patrzył na tych dwoje biedaków, z których jedno dziś w grobie, a drugie ze starganem sercem... alem ja był sam jak oszalały, ja sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, i za mnie pokutuje tylu ludzi!.. ja to muszę naprawić, ile sił starczy.

Gustaw był nadto szlachetny, aby miał o swój szał posądzić kogoś trzeciego; wedle niego nikt inny nie był przyczyną dualizmu jego serca, tylko on sam. Nie przeszło mu przez myśl, że gdyby nie kokieterja Józi, gdyby nie jéj wystąpienie energiczne, które wywołało stanowczy krok z jego strony, kto wie, czyby był powiedział sobie i jéj: „ciebie kocham“? czyby nie milczał tak jak milczał do owego czasu, a potem po wy-

jeździe Józi, gdyby ustał straszny wpływ jéj oczu i potęga kokieterji, czyby nie poznał swego serca i nie uszczęśliwił siebie i Anny.

Gustaw dalekim był od posądzania Józi o kokieterję i właściwa sprawczyni całego „fatum“, jak się wyrażał Gustaw, była dotąd wolną od wyrzutów sumienia, wolną od trosk, które dotknęły ją tylko o tyle, o ile całą jéj rodzinę; i owszem, nawet uśmiechało się do niéj szczęście, miała wnet zostać miljonową panią i żoną człowieka, którego charakter pod każdym względem nic do życzenia nie pozostawiał, a który kochał ją aż do szaleństwa przez pamięć na dni swojéj młodości.

Czy jest na świecie sprawiedliwość, która nie zasądza pozornie winnych, ale dosięga przestępców pod maską niewinności?

Czy kara dosięga zawsze tylko prawdziwie winnych, a nie dotyka ich narzędzi dobrowolnych czy mimowolnych?

Czy za występek pokutują tylko winni? Cnota, szlachetność, prawość, czy jest zawsze nagrodzona tak, jak na to zasługuje?

O! zaiste tak! ludzie szlachetni nie oglądają się na siebie, nie patrzą, co im szkodę lub korzyść przynieść może, a przeświadczenie dopełnienia obowiązku, lub spełnienia szlachetnego czynu, wewnętrzne moralne przekonanie, jakiem nastraja ducha i serce człowieka przeświadczenie o własnéj wartości, podniesienie ducha, godności człowieczej przez spełnienie czynu szlachetnego, daje zaiste więcéj zadowolenia i spokoju wewnętrznego, namaszcza i wywyższa tak

umysł i serce, że to nagradza wszystkie może ze szlachetnego postępku wynikające szkody materjalne.

Gustaw owego strasznego wieczora, który tyle pociągnął za sobą następstw, nie widział wcale Anny.

Przepędził prawie dzień cały na usługach Kalińskich, ale Anna, gdy przyszedł do nich, wysłała służącą przepraszając go, że jest nieubrana, cierpiąca i wcale z nim mówić nie może, prosi go jednak, aby sam się zajął pogrzebem brata, a z matką późniéj rachunek załatwi.

Gustaw poznał się zaraz na prawdziwéj przyczynie tego postępowania. Wiadomość o śmierci syna tak przeraziła panią Kalińską, iż nabawiła ją groźnéj choroby, Anna zatem będąc sama, nie chciała go przyjmować, a że Gustaw co do pogrzebu Edwarda pomimo wezwania sam rządzić się nie chciał, więc porozumiewał się z Anną listownie.

Na drugi dzień, w dzień pogrzebu brata, wyszła do Gustawa Anna, spokojna, poważniejsza niż zwykle.

Gustaw skłonił jéj się głęboko, nie pytał o zdrowie, ani cierpienie, bo boleść czytał w jéj twarzy.

Anna oddała mu ukłon.

— Proszę, siadaj pan, — rzekła suchym głosem, unikając jego spojrzenia.

Gustaw nie gonił za jéj wzrokiem, usiadł w milczeniu.

— Czy już wszystko załatwione?..

— Zdaje mi się, że wszystko.

— Czy pan obliczył już koszta pogrzebu?

Gustawa bolał strasznie ton, jakim Anna po raz pierwszy w życiu do niego przemawiała, i kurczyło, wiło mu się serce z bólu, tak, że w pierwszéj chwili słowa przemówić nie mógł; dobywając wreszcie sił wszystkich odrzekł:

— Nie liczyłem ich wcale.

— Spodziewam się, że zechcesz je pan policzyć jak najrychléj, — i patrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

Spokój, który, jak jéj się zdawało, panował w twarzy i duszy tego człowieka, drażnił ją, gniewał, a nawet bolał.

— On taki spokojny, — mówiła sobie patrząc w jego twarz bladą, na któréj nie było żadnego wyrzutu sumienia, żadnéj myśli upokorzonéj, — a! ten człowiek nie ma serca!.. jest narzeczonym mojéj siostry... zabił brata mego... dla mnie jest więcéj jak nieobojętnym... A przecież ja kochałam... i może dziś jeszcze kocham tego człowieka...

— Chciałabym, — rzekła Anna do Gustawa jeszcze surowszym głosem, na którego dźwięk wszystka krew zbiegła mu się w serce, — abyśmy wyrównali nasze rachunki, abym wiedziała, ile panu ogółem dłużną jestem.

Gustaw milczał; nie dlatego, że nie chciał przemówić, ale dlatego, że mu słowa zamierały w gardle.

Milczenie jego coraz bardziéj drażniło Annę; opuszczał ją zwyczajny spokój, rumieniec wypieczony wybiegł na lice, a oczyma błysnęła gniewnie.

— Panie Gustawie! — zawołała zimna napozór kobieta z gorączką podrażnionéj dumy i godności, — czy myślisz ubliżać nam dlatego, że nie mamy brata, któryby się ujął za nami, ani ojca! Co znaczy pańskie milczenie!?

Gustaw powstał blady z krzesła i wziął obiema rękami za poręcz fotelu, z oczu trysły mu dwa gromy piorunujące, ale w téj chwili się uspokoił i rzekł ile mógł łagodnym tonem.

— Nie mogłem dobyć słów, by pani zaraz odpowiedzieć na obelgę. Teraz zaś mówię, że ból z pani przemawia i wydziera z serca słowa, którychbyś może późniéj żałowała; pamiętaj pani, że ja jestem spokojny, i ani słowem jednem nie podrażniłem cię pani... nie jestem przyczyną słów twoich, nie pojmuję wcale ich znaczenia, jestem pewien, że je pani cofniesz, skoro ochłoniesz.

Annę jeszcze bardziéj podrażnił ton spokojnéj jego mowy; wpadła z rozdrażnienia w gniew, który nią całą tak zawładnął, że zapanować nad nim nie mogła.

— Kiedy mnie pan nie zrozumiałeś, a raczéj zrozumieć nie chciałeś, — mówiła tonem kąsającym, który umieją przybrać wszystkie kobiety, gdy się chcą gniewać, — więc muszę się jaśniéj wytłómaczyć, byś mnie pan łaskawie zrozumieć raczył.

Na chwilę umilkła, z oczu jéj znikł zwykły wyraz łagodności i spokoju, a zajaśniały blaskiem gniewu; przybrała ton pogardliwy i dumnie wznosząc głowę do góry, mówiła:

— Uważasz pan nas, mnie i moją siostrę za pokojówki... i pod pozorem pożyczki chcesz...

— Panno Anno! — krzyknął Gustaw, ściskając krzesło w swych dłoniach, a z oczu jego strzeliły dwa pioruny.

— A! przecież pan straciłeś swój spokój! — zawołała rozgniewana kobieta prawie z tryumfem.

— Com ja pani zrobił, — odrzekł z wielką boleścią Gustaw, — że mi targasz serce? Czy myślisz pani, że ja sam mało cierpię i że potrzeba aż rozdarcia ran, aby obudzić we mnie czucie?..

— Mówię to, cō myślę, — odparła Anna, podnosząc jeszcze dumniéj głowę. — Wczoraj Józia, jutro ja... a zabiwszy mego brata, chcesz kupić śmierć jego i pochować własnym kosztem.

— Twój brat, pani, zabił się sam, zabił go jego charakter gwałtowny, namiętny... zabiła go lekkomyślność... zabiło sumienie!..

— Dawno już miałam sposobność przekonać się, że pan masz wiele deklamacyjnego talentu i że umiesz znakomicie pozować na szlachetność; szkoda tylko, że „ja“ znam już pana nadto dobrze i w moich oczach jesteś już zdemaskowany... Więcéj nie mam mu nic do powiedzenia.

Gustaw drżał na całem ciele jak w febrze.

— Ale ja mam pani jeszcze bardzo wiele do powiedzenia. Sądzisz, jak prawdziwa kobieta, nie słuchając i nie chcąc słyszéć drugiéj strony.

— Ponieważ nie mam na zawołanie nikogo, coby mnie od niemiłych gości uwalniał, a dłużéj słuchać pana nie chcę, więc nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić go. Żegnam; a spodziewam się, że teraz już nie zechcesz płacić nam za śmierć Edwarda.

Wyszła.

Gustaw oniemiały stał w saloniku; straszne słowa dzwoniły mu w uszach i w sercu, którego uderzenia głośne mógł liczyć, w głowie jego powstał szum, pulsa biły jak młoty, patrzył po pokoju oczyma krwią nabiegłemi...

— W tym domu, którym ja tak kochał!.. każdy sprzęt jest tu dla mnie wspomnieniem, o te ściany obiły się takie słowa z ust Anny! téj spokojnéj, cichéj Anny!.. Nie! nie! ona nie była przy zmysłach, boleść odebrała jéj przytomność, nie chciała mnie słyszéć, ani rozumiéć; o Boże! czegom ja dożył!..

Siły i serce ludzkie są w stanie więcéj przenieść i wytrzymać, niż się nawet samemu sercu wydaje. Gustaw téż wyszedł chwiejącym się krokiem z tego domu, w którym został tak zelżony i z sercem złamanem powrócił do siebie.

Niemniéj prawdziwie dadzą się te słowa zastosować do biednéj matki Edwarda, która widziała w swym synu półboga, albo raczéj miała w nim „syna“.

Cios straszny rzucił ją na łoże boleści i złamał chorobą, ale chociaż serce wołało śmierci, chociaż jéj saméj wydało się, że ciosu tego nie przeżyje, choroba się przesiliła i po kilku tygodniach wstała biedna staruszka o lat dziesięć zmieniona, wychudła, pożółkła, zrobiła się jeszcze cichszą, jeszcze mniéj mówiła i tylko szeptała ustami pacierze.

VIII.

Upłynęło kilka miesięcy.

W tym czasie zaszła niejedna zmiana.

Najważniejszym wypadkiem, który zrobił niemałe wrażenie w kole naszych znajomych, był ślub Gustawa ze Stefanją.

Biedne dziewczę daremnie opierało się temu postanowieniu Gustawa, daremnie chciało uciéc przed tą ofiarą jego i poświęceniem, musiała uledz jego woli i uczynić zadość życzeniu.

Niemniéj kłopotu miał Gustaw z panią Kowalską, przed którą taił właściwy powód swego postanowienia; biedna wdowa płakała na weselu córki tak, jak może żadna matka; serce jéj przeczuło, że to nie ślub, nie wesele, ale jakaś wielka ofiara dwojga ludzi; nie pojmowała, dlaczego ona i w jakim celu? nie wiedziała, co skłaniało Gustawa i jéj Stefanję do tego kroku, sercem matki ją tylko odgadła.

Dziwne bo téż to było małżeństwo.

Zaraz wyprowadzili się od matki, a raczéj Kowalska wyprowadziła się od nowożeńców, nie chcąc ich żenować swoją obecnością.

Stefanja stała się poważną, cichą panią domu, albo raczéj pierwszą sługą domu.

Uważała się za niewolnicę człowieka, któremu dawała prawie cześć i uwielbienie.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że Gustaw był tyranem téj biednéj istoty; owszem był dla niéj tak łagodnym, tak dobrym, jak być może najczulszy małżonek.

Ale Stefanja była znowu tak delikatną, tak mu chciała zejść z drogi, że gdy jéj się zdawało, że mąż jéj nie potrzebuje, że mu może zawadzać, tak cicho potrafiła się ułożyć w rogu ka-

napki, że jéj ani widać, ani słychać nie było, i Gustaw nieraz wołać lub szukać jéj musiał.

Nigdy nie zbliżyła się do niego sama z pocałunkiem, z uściskiem, nie zaczynała rozmowy; gdy ją pocałował, całowała jego ręce i śmiała się takim uśmiechem, jakby już większego szczęścia na ziemi nie znała.

Największą rozkosz miała w tem, jeżeli coś dla Gustawa mogła zrobić, jeżeli on na zrobione zwrócił uwagę, jeżeli pochwalił i kontent był.

Raz powiedział jéj, że lubi jéj grę na fortepianie o szaréj godzinie.

Stefanja odtąd dni całe spędzała przy fortepianie. Wszystkich sztuk uczyła się na pamięć, aby mogła grać w szaréj godzinie ciągle coś nowego, aby go nie znudzić jednostajną muzyką.

Skoro zmrok zapadać zaczął, a Gustaw był w domu, co się najczęściéj zdarzało, Stefanja siadała do fortepianu i zaczynała grać tak cicho, że ją zaledwie słychać było. Było to niejako zapytanie, czy Gustaw już chce słyszéć jéj muzykę.

Gustaw otwierał drzwi od swego pokoju i chodząc po nim przysłuchiwał się jéj grze, która na niego zawsze ogromny wpływ wywierała.

Przy herbacie pytał nieraz, jaki tytuł ma nowa sztuka, którą grała, a Stefanja była szczęśliwą, że podobał mu się jéj wybór i jéj gra.

Po herbacie całował ją w czoło, pytał, czy nie potrzebuje jakiéj książki do czytania, ona całowała go pokornie w rękę i rozchodzili się każde do swego pokoju.

Pomimo tego pozornego spokoju ile Gustawowa łez wylała, ile oboje spędzili nocy bezsen-

nych, oddaleni od siebie jednym pustym pokojem i jak mur chiński nieprzebytą przegrodą, tegoby nikt nie zliczył.

Wieść o ożenieniu Gustawa zrobiła wielkie wrażenie na mieszkańcach przy placu św. Krzyża.

Pani Liwall, która właśnie tę nowinę przyniosła, powiedziała zaraz tryumfująco do Józi:

— A co, nie mówiłam ci? ot widzisz!..

Annie zadrżało serce i przejęta była do głębi; może po przejściu pierwszego żalu i bólu przykro jéj było, iż w tak bezlitośny sposób obeszła się z człowiekiem, który przez lat tyle dawał jéj wiele dowodów przyjaźni; serce sercem jest zawsze. Kochała Gustawa, wiedziała, że on ją kochał i wierzyła temu, ale duma nie dała jéj się zbliżyć do niego umyślnie, a przypadek jest czasem tak niedomyślnym i niedobrym. Jéj szczególnie trudniéj jeszcze mógł był dopomódz, bo siedziała dzień cały przy łóżku dogorywającego ojca.

Józia na wiadomość ową wydęła usta i z grymasikiem, którego się od cioci Liwall nauczyła, rzekła z pogardą:

— *Bête qu'il est!* chciał mi pokazać, że się pierwéj ożeni, niżeli ja za mąż wyjdę... i ożenił się, ale jak! jak!.. dobrze się zemścił na mnie!!

— A widzisz! tyś go żałowała.

— Byłam dziecinna!

— A on jeszcze jako twój narzeczony trzymał sobie kochanki!..

— Przepraszam panią, to była uboga krewna jego, którą on utrzymywał! — przerwała Anna.

— Śmiéj się pani z tego! każda u nich jest krewną...

— Ale nie u Gustawa Żarnowskiego; znam go lepiéj jak pani, nie był nigdy krewnym całego świata.

Ostatnie słowa wymówiła jakoś dziwnie, a słowa: „jak pani“ można było równie do słów poprzedzających jak do następnych odnieść.

Anna z panią Liwall żyły od chwili poznania na wojennéj stopie; oba te wręcz przeciwne charaktery jak dwa wrogie żywioły nigdy się z sobą zgodzić nie mogły.

— *Laissez, ma tante,* — odezwała się Józia chcąc zapobiedz sprzeczce, — moja siostra jest gorliwą zwolenniczką Gustawa.

Pani Liwall przybyła do N. w chęci pomagania do złożenia dla Józi chociaż jakiéj takiéj wyprawy; bo jeszcze przed adwentem miało się odbyć jéj wesele z Rydyngiem.

Bonawentura był także w N., napawał się widokiem narzeczonéj, obsypywał ją prezentami, złotem i djamentami, całował po rękach i prawie szalał.

Józia zajadając cukry lub ananasy, które znoszono na rozkaz Rydynga i strojąc się w najcudniejsze kwiaty, któremi ją codzień zarzucał, śmiała się wraz z kochaną ciocią Liwall z tych szaleństw starca i jego miłości.

W tych kilku tygodniach z mimowolnie zalotnéj zrobiła z niéj Liwall wyrafinowaną kokietę, bez serca, bez uczucia, bez miłości.

Umiała rozprawiać o pięknych uczuciach i szlachetności równie jak jéj mistrzyni, ale serce

i umysł zatrute były śmiertelnym jadem, który w każdem słowie wsączała w nią zacna nauczycielka. Resztkę uczucia, zamiłowania prawdy, rzetelności, a obrzydzenia fałszu i brudu, wykorzeniła stara intrygantka, która sama zepsuta tylko zepsucie w koło siebie widzieć chciała, a owa rozmowa z Rydyngiem była ostatnią chwilą, w któréj z dna serca dobyło się uczucie i dobre przymioty wyssane z mlekiem matki pod zacną strzechą ojca, był to jak błysk lampy gasnącéj, płomień jaśniejszy, wybuch silniejszy, ale po nim zagasła lampa nazawsze, a w sercu powstała ciemność i próżnia.

Duma i hołdy, pieniądze i błyskotki — oto wszystko, co panowało w jéj sercu, a co wyrugowało wszystkie od młodości wszczepione cnoty i zalety.

Józia cieszyła się nadzieją, że gdy zostanie panią Rydynżyną i wystąpi w świat, będzie mogła deptać po sercach, rzucać wszystko pod swoje nogi i ze wszystkiego robić sobie igraszkę.

Roiła godzinami całemi, jak tłumy wielbicieli przykutych do jéj rydwanu w milczeniu pokornie ciągnąć go będą, czekając z upragnieniem na jéj uśmiech, skinienie, spojrzenie. Jak ten naród wielbicieli ubóstwiających ją, będzie biegł za jéj karetą, oblegał jéj lożę w teatrze... a ona wszystkich będzie traktowała jak niewolników, jak sługi, zacząwszy od najpokorniejszego męża pana Bonawentury Rydynga.

Takie były marzenia téj niegdyś ubóstwianéj, czystéj narzeczonéj Gustawa. Czyby ją był poznał zobaczywszy dzisiaj?

Czy nie załamałby rąk i nie zapłakał nad tym pięknym pączkiem, który w poranku dni swoich obiecywał być najcudniejszą różą, a został, tylko pustym, próżnym tulipanem?

Bonawentura unikał bardzo spotkania z panią Liwall; dwoje tych ludzi instynktownie nawzajem się nienawidziłi.

Skoro Rydyng wchodził do Kalińskich, ona wychodziła, skoro ona weszła, on wychodził; ustępowali sobie nawzajem, jakby się spotkania oko w oko lękali oboje.

Bonawentura przestrzegał nieraz narzeczoną przed tą kobietą; czuł, jakie ona straszne robi zniszczenie w jéj sercu i nieraz na kolanach błagał, aby z nią wszelkie stosunki zerwała.

Ale Józia naturalnie śmiała się i robiła co sama chciała.

Pewnego dnia dowiedział się Rydyng, iż historja jego, którą opowiadał Józi przy oświadczynach, z różnemi dodatkami i ubarwieniami krąży po świecie.

Oburzenie jego było wielkie i poniekąd słuszne. Te dzieje były dla starego litwina nadto drogą pamiątką, nadto świętym zabytkiem i nadto długo chował je w sercu, aby go nie zabolało ich profanowanie; już samo podawanie ich z ust do ust przez nieczułych i nierozumiejących boleści, było dla niego upokarzającem, a przekręcenie tego wprawiło go w gniew i prawie we wściekłość.

Znał doskonale źródło tych pogłosek; wpadł téż wprost do Józi i w słowach, których wcale nie dobierał, ale spokojnie i naturalnie, robił jéj

wyrzuty, że drogą tajemnicę jego serca, którą on powierzył jéj tylko, wybranéj na całéj kuli ziemskiéj kobiecie, jedynéj, którą wybrało jego serce, wydała na pastwę staréj plotkarce; karcił jéj przyjaźń z Liwall i postawił wreszcie do wyboru siebie, albo ciocię Liwall.

Józia wybuchła na to oczywiście okropnym płaczem, i odbyła się scena, na jaką Rydyng wcale przygotowany nie był.

W téj scenie dowiedział się jéj narzeczony, że ją tyranizuje, że chce wywrzéć na nią presję, oddalić od niéj dla jakiegoś przywidzenia i grymasu jéj ukochaną przyjaciółkę, że pozbawia ją jedynéj pod słońcem osoby, która ją zrozumiéć i pojąć jest w stanie. Że chce ją osamotnić i zrobić nieszczęśliwą...

Ale Rydyng nie lękał się tak bardzo płaczów i fochów chociażby ukochanéj kobiety.

Całował jéj ręce, starał się wszelkiemi siłami uspokoić i na każdy zarzut miał gotową odpowiedź.

Mówił jéj, że nietylko pani Liwall ją pojmuje i rozumie, ale on sam ma także do tego niejakie pretensje.

Józia przerwała mu, że jest zazdrosnym o kobietę.

— Być może, — odparł Rydyng, — ale jestem pewien, że mi pani ustąpisz. Gdybyś ty zażądała odemnie czegoś podobnego, uczyniłbym bez wahania. Ja téj kobiety nienawidzę... widząc ją czuję odór śmierci, zgnilizny i zniszczenia; zdaje mi się, jakby dotknięcie jéj dłoni sprowadzało rozkład chemiczny i zarazę, butwienie. W miej-

scu, gdzie leżała jéj dłoń, musi się wylęgnąć robactwo. Być może, że robię jéj krzywdę, ale to uczucie instynktowne jest we mnie tak silnem, że ustąpić nie mogę i nie ustąpię. Żądam słowa od pani, że jéj więcéj widzieć nie będziesz.

— Ależ jakże ja to mam zrobić?.. osoba, przed którą nie mam żadnéj tajemnicy.

— Nie mów mi pani o tem. Dosyć się ona sama tem już chwali, że ani do matki, ani do siostry, ani do mnie nie masz tyle zaufania, co do niéj... nie wiesz, czy wiedzieć nie chcesz, że po za oczami wyśmiewa cię tak, jak wszystkich, a chociaż zacznie i zakończy słowami: „ja wiem, że Józię bardzo lubię, niech będzie jak chce!“ nitki całéj na tobie nie zostawi.

Józia widząc, że stary jest niezachwiany i że nie ustąpi pod żadnym warunkiem, obiecała mu, że w ciągu tygodnia z ciocią Liwall zerwie zupełnie wszystkie stosunki i relacje.

Zrobiła zaś to przyrzeczenie zupełnie tak jak żydzi wykonywają swe przysięgi, zastrzegając sobie wewnątrz, że danego słowa wcale dotrzymać nie myśli.

W kilka dni potem odbyło się wesele Józi z Bonawenturą Rydyngiem, a niebawem po niem dokonał swego smutnego żywota radca Kaliński.

Śmierć jego była jakby szyderstwem, naigrawaniem się ze słów pani Liwall, która namawiając Józię do wyjścia za Rydynga, odwołała się do jéj poświęcenia i twierdziła, że dla życia i zdrowia ojca za niego wyjść powinna.

Jaśnie wielmożna z Kalińskich Rydynżyna przyjechała trzema poczwórnemi zaprzęgami na

pogrzeb ojca. Proszę jednak nie myśléć, że Józia pamiętała o siostrze lub matce wybierając się z domu we trzy ekwipaże; jechała tylko jéj służba i kufry.

Pogrzeb biednego radcy był bardzo wspaniały, bo Rydyng żadnych kosztów nie szczędził do podniesienia jego świetności.

A zważywszy, że na pogrzeb ojca pani Rydynżyny przybyła cała okolica, to jest wszyscy, którym Józia już z Niskiego wizyty porobiła, stary radca miał taki pogrzeb, jakiego jego cichy żywot i cichsza jeszcze śmierć nigdy się nie spodziewały.

W całym jednak orszaku pogrzebowym, tak bardzo licznym, bo i dawni koledzy przypomnieli go sobie po śmierci, było tylko dwie osoby, które boleśnie czuły jego stratę i które bolał prawdziwie zgon jego; a chociaż na pozór obie szły spokojnie, bez spazmów i szlochów, każdy poznał, że więcéj bolały od płaczących.

Anna szła za trumną odważnie i poważnie, nie sparta na niczyjem ramieniu, jakby wiedziała, że po śmierci ojca sama pójdzie o własnych siłach przez życie, ale wyraz jéj twarzy zdradzał boleść niewysłowioną, któréj ani łzy, ani wyrazy równie wymownie wysłowićby nie potrafiły. Szła za trumną jak osoba, dla któréj się wszystko na ziemi skończyło.

Drugą osobą, która prawdziwie żałowała zmarłego radcy, był mężczyzna z twarzą gładko ogoloną, którą jednak zmarszczki już niegładką robić zaczynały.

Owinięty był w duży płaszcz fałdzisty, w ręku niósł kapelusz o wielkich kresach, a odkrycie czoła zdradzało wielką łysinę.

Gustaw, bo po zwykłym stroju jego łatwo go poznać, szedł ostatni za gronem postępującem za trumną, zwolna, z głową spuszczoną, okiem posępnie zadumanem.

Gdy ziemię zaczęto na trumnę sypać, nie było tego rzetelnego przyjaciela przy grobie; schował się za grobowce i krzyże, nie chcąc na widok wysunąć się Annie, aby jéj sobą nie zrobić przykrości.

Dawno już przebaczył jéj wszystko, ale czuł do niéj jeszcze jakiś ukryty żal.

Jak zwykł był czynić, złożył znowu winę na siebie i usprawiedliwiał ją zupełnie, a wobec dzisiejszego jéj smutku i boleści pogodził się z nią całkowicie i sądząc, że widok jego może jéj sprawić przykrość, schował się i nie pokazywał, a zbliżył się dopiero w chwili, gdy wszyscy z nowego grobu się oddalili.

Piękną Józię, bo śliczną była w żałobnym stroju, troskliwy mąż i znajomi tuląc w żalu, zapłakaną i spazmującą, wsadzili do herbownéj karety i konie ruszyły z kopyta...

Rydyng niemniéj był troskliwy dla świekry i Anny, obie milczące jak automaty, bez łzy, bez czucia, dały ze sobą robić wszystko bez oporu.

Na świeżéj mogile został tylko Żarnowski.

Na drugi dzień Rydyngowie odjeżdżali do domu.

Józia przyszła z pożegnaniem do matki i siostry w czarnéj sukni z długim ogonem.

Szwagier nalegał koniecznie, aby Anna z matką chociaż na kilka dni do nich wyjechała, ale Anna oparła się temu.

— Tu będzie dla was obu tak straszno, przyzwyczajone jesteście do tych miejsc, tu czuć jeszcze żywe wspomnienie ojca.

— Przywykniemy, — odrzekła Anna, — gorzéjby nam było, gdybyśmy potem tutaj powróciły.

Ale gdy Rydyng koniecznie nalegał, odrzekła:

— Dziękuję panu serdecznie, umiem ocenić jego dobroć, dla mnie jest to niemożebne, muszę uporządkować nasze interesa, to wymaga koniecznie mojéj obecności w N.

Rydyng nic na to nie odpowiedział, ale po chwili zaczął cichą rozmowę z Anną, nalegając uparcie, aby mu odkryła swe położenie majątkowe.

— I tak wiele pan dla nas zrobiłeś...

— Czyż nie jestem waszym krewnym, nie należę do familji? Zresztą to nie ja, to Józia.

I dopóty nalegał i prosił, dopóki mu nie powiedziała wszystkich długów, które za sobą pociągnęła choroba ojca.

Zataiła przed nim tylko jeden dług, zaciągnięty u Gustawa na pogrzeb brata.

Odtąd zaczęło się dla Anny i matki jéj życie jeszcze cichsze i jeszcze skromniejsze.

Staruszka stała się prawie bezwładną rozumem; straciła pamięć, myśl i wszystkie władze umysłowe. Anna musiała ją pielęgnować jak dziecko, od którego się tylko tem różniła, że sobie nic złego zrobić nie mogła, bo dzień cały siedząc w kąciku szeptała pacierze.

Anna objęła teraz już otwarcie i wyłącznie ster domu.

Przedewszystkiem uporządkowała długi i rachunki w sklepach, pieniędzmi, które jéj Rydyng zostawił i jak bankier przesłała szwagrowi rachunek wraz z pokwitowaniami wierzycieli i pozostałą resztę pieniędzy.

Zaprowadziła w domu jeszcze większą oszczędność, wynajęła i drugi pokój panu Pelawie, który właśnie obszerniejszego potrzebował pomieszkania, i inne zaprowadziła uszczuplenia.

Wszystko jednak zawsze tak urządzała, aby matce na niczem nie zbywało i całą jéj wdowią pensyjkę obracała wyłącznie na jéj potrzeby.

Sama nic prawie nie potrzebowała.

W jednéj sukience chodziła rok cały, a suchy kawałek chleba mógł jéj wystarczyć za całe pożywienie.

Byłyby tak obie mogły prowadzić cichy żywot, przeplatany łzami i modlitwą, dopókiby się śmierć nie ulitowała, gdyby nie dług za pogrzeb Edwarda, który Anna własną pracą i z własnych funduszów spłacić koniecznie chciała.

A że Bóg prawdziwie potrzebującym zawsze pomaga, Anna dostała wkrótce kilka lekcji francuskiego języka i literatury, i pracując dzień cały albo na lekcji, albo czytając i ucząc się literatury, bo była bardzo sumienną, zarabiała tyle, że spodziewała się w ciągu ośmiu miesięcy dług ten spłacić.

Codzień wieczorem widzieli mieszkańcy ulicy cmentarnéj słuszną postać czarno ubranéj kobiety śpieszącéj na cmentarz.

Niosła zawsze kwiaty, wieńce lub światło na grób ojca i brata; czasem szła sama, czasem z małą, wyschłą, przygarbioną staruszką, dla któréj okazywała szczególną troskliwość.

Pani Kalińska bowiem, pomimo ponownych zaprosin i nalegań Rydyngów i namowy Anny, z N. wyjechać nie chciała.

Starzy często tak przyrosną do miejsca nieszczęścia, że wyruszyć ich z niego niepodobna.

Pewnego wieczora, a było już zimno, wiatr dął jesienny i wieczór robił się wcześnie, gdy Anna jak zwykle zbliżała się na grób ojca, zobaczyła zdala nad mogiłą słuszną postać mężczyzny w czarnym płaszczu.

Wiatr igrał z jego włosami i wdzierał się do fałdów jego płaszcza.

Anna chociaż nie widziała twarzy, poznała, albo raczéj przeczuła natychmiast Gustawa.

Serce uderzyło jéj gwałtownie i przyśpieszyła kroku, jakby się lękała, aby jéj nie uszedł.

Gdy się jednak już do grobu zbliżyła, zatrzymała się o dwa kroki za stojącym, jakby nie chciała przerwać modlitwy za duszę ojca.

Ale Gustaw usłyszał kroki za sobą, obrócił się i drgnął; Anna pomimo zmroku dojrzała żywy rumieniec na jego twarzy.

Gustaw skłonił się jéj i chciał odejść.

— Proszę, — odrzekła spokojnie Anna, — chciéj pan pozostać... niechaj córka nie zabiera ojcu modlitwy.

I zeszła na przyległy grób, nad którym wznosił się krzyż z napisem „Edward Kaliński.“

Wiatr kołysał drzewami obdzierając gałęzie z pożółkłych liści i pomiatał odartemi po ziemi z głuchym szelestem.

Na cmentarzu cisza panowała głęboka.

Nagrobki stały milczące, strzegąc powierzonych ich pieczy grobów, drzewa szumiały, słońce skryło się za góry i gwiazdy zaczynały zwolna wybiegać na sklepienie niebios.

Chmurki i obłoki goniły się po niebie pędzone powiewem wiatru, tworząc różne fantastyczne obrazy, a sen śpiących snem wiecznym przerywał tylko zdala dolatujący odgłos głosów ludzkich, zakończających dzienne sprawy.

Cisza grobowa, panująca na cmentarzu, zdawała się naigrawać i szydzić z ruchu panującego za jego murami, a dziwić środkom i zabiegom o codzienne życie.

— Tu się wszystko kończy! — szeptały krzyże do drzew, wyciągając swoje ramiona po nad ziemią, a drzewa potakująco kiwały poważnemi głowami.

Zdala odezwał się monotonnym głosem dzwonek, wzywający na „Anioł pański“.

Anna zbudziła się z zadumania i zbliżyła do Gustawa. Wyciągnęła do niego obie ręce i głosem dźwięcznym jak za dawnych dni, ze spojrzeniem, które prosto z pod jéj rzęs gęstych z siwéj źrenicy przebijało się do serca, rzekła spokojnie:

— Obraziłam pana ciężko w dniu pogrzebu mego brata. Byłabym cię już dawniéj przeprosiła, alem cię nie widziała nigdzie; przy pierwszéj sposobności to czynię tem chętniéj, że to jest na grobie ojca mego. Grób godzi wszystko i przeba-

cza wszystko. I ja przebaczam panu... obojeśmy równo zawinili i pogrzebali tamtego biedaka.

Gustaw położył swoje dłonie na wyciągniętych ku sobie rękach i rzekł spokojnie:

— Przebaczenie przyjmuję; cieszę się bardzo, że pani to na myśl przyszło, cieszę tem bardziéj, żeś zaczęła o tem mówić, bo ja byłbym nigdy nie naruszył tego tematu. Jeżeli jestem, albo raczéj byłem co winien, to tylko wobec pani...

— Pójdźmy ztąd, — przerwała Anna, — nie zamącajmy spoczynku drogich naszym sercom temi poziomemi sprawami... chodźmy ztąd.

I szli w górę cmentarza; Anna szła naprzód, w milczeniu postępował za nią Gustaw.

Szli po grobach zarosłych i nieogrodzonych, po krzewach i zielach, rozsuwając gęste gałęzie drzew.

Spotykali niejeden krzyż spruchniały, przechylony nad grobem ku ziemi, przechodzili przez groby bez znaku i napisu, nawet bez krzyża drewnianego, zapadnięte w ziemię mogiły, grobowce zaniedbane, opuszczone, rozwalone nagrobki kamienne...

Gustawowi i tkliwszéj jeszcze Annie dziwnie smutno zrobiło się na ten widok spustoszenia i zniszczenia. Rozrzewniał ich oboje smutny stan mieszkania zmarłych. Więc nie ma komu zmówić za nich pacierza? nie ma komu poprawić krzyża, wykorzenić chwastu i pokrzywy, zasiać kwiatka? Czy ci biedni zmarli byli tak sami na świecie, że nie było komu rzucić napisu na ich grobie i wydrzéć zielska? Czy może z czasem zapomnieni i opuszczeni od tych, którzy zostali na świecie

i w zajęciach swoich codziennych nie mieli czasu pamiętać o zmarłych, których może za życia, gdy mieli stanowisko i znaczenie, kochali i o których dbali?

Bo też dziwnie odbijały te smutne groby od pysznych marmurowych grobowców, które odgrodziwszy się od reszty sztachetami, jak niejeden z żyjących przesądem kastowości, cieszyły się staraniem kupionem za grosz.

— Oto grób pani Bilskiéj, — rzekła Anna do Gustawa, wskazując na grób zaniedbany. — Gdyśmy tu były w kilka tygodni po jéj pogrzebie, jeszcze w czasie, gdy zdrowym był mój ojciec nieboszczyk, było na nim dziwnie serdecznie! Świeciła się zawsze lampa, zawsze pełno było kwiatów, znać było wszędzie staranną dłoń kochającą, dziś jakże tu smutno... Spodziewam się, że Bóg nie dopuści, aby na grobie mego ojca lub brata znać było kiedy takie zapomnienie lub zaniedbanie.

I szli znowu daléj.

Weszli wreszcie na szerszą ulicę i Gustaw smutny, rozrzewniony, zrównawszy się z Anną zaczął mówić:

— Po wracam do naszego tematu. Jeżeli zawiniłem co, to tylko wobec pani, a zresztą wobec nikogo.

— A Edward w grobie...

— Jam pani już raz mówił, że Edzio zabił się sam... bez „mojéj“ winy i przeciw mojéj woli, aleś pani mnie słuchać nie chciała.

— Jakto, bez „naszéj“ winy? — poprawiła Anna, zwracając od ziemi oczy ku Gustawowi,—

przecież wyzwał pana... O! ile nocy bezsennych spędziłam... widziałam go ciągle ze zranioną piersią, wskazującego mnie jako sprawczynię swéj śmierci.

— Jesteś pani w błędzie, ja się nie biłem z Edwardem.

— O! wiem, bo przecież takie zeznanie zrobili wszyscy w sądzie, on sam sobie życie odebrał, był to pojedynek amerykański.

— Mylisz się pani! ja z nim owéj nocy ani jednego nie mówiłem słowa... między nami nie było żadnego pojedynku.

Anna patrzyła mu przez chwilę w oczy.

— O! dzięki ci! dzięki!.. — zawołała, — przepraszam cię tysiąckrotnie, przepraszam tembardziéj...

— Wszystko zapomniane.

— O! ileż ja panu boleści sprawić musiałam moim sądem niesprawiedliwym; już nikogo, nie wysłuchawszy, sądzić nie będę. Przebacz mi pan.

Gustaw wyciągnął do niéj rękę.

— A teraz na znak zgody, na dowód, żeś mi powrócił swą przyjazń i... — chciała powiedzieć „miłość“, przypomniała sobie, że Gustaw żonaty, zmięszała się i nie mogąc znaleść naprędce innego słowa, dodała znowu: — przyjaźń... Wszak pan musisz znać powód tego czynu strasznego.

— I owszem, dziś pani powiem; bo chociaż dałem słowo nieboszczykowi, że o tem nikomu z jego rodziny nie powiem, pani zawsze powiedzieć mogę, zwłaszcza dziś... śmierć rozwiązuje wszystko.

— Słucham pana, i zaręczam, że to przy mnie zostanie, kiedy Edzio tak sobie życzył.

Gustaw tedy opowiedział Annie całe niepowodzenie Edwarda w egzaminach; dodał, że nieboszczyk dał mu słowo honoru, iż przez czas pobytu swego w N. do egzaminu uczyć się będzie, tymczasem słowo złamał i tak to wziął do serca, że sobie życie odebrał.

— Był to dobry, szlachetny, ambitny charakter, — kończył Gustaw, — ale natura zbyt gwałtowna, wrażliwa, prędka i słaba... nie chciał dożyć, bym mu robił drugi raz wyrzuty, że krzywdzi swą rodzinę. O! ja byłem winien, ja byłem wiele winien! Ale i jam był w owym czasie tak biedny i wyłącznie tylko sobą zajęty... tyle nieszczęść spadało na mnie i tyle moralnych wrażeń, że nie mogłem, bo nie miałem ani sił, ani głowy, ani serca do pilnowania go.

Szli daléj w milczeniu, a zaszedłszy ku kaplicy cmentarnéj, zaczęli się spuszczać z powrotem na dół drugą stroną cmentarza.

Cisza załegła już zupełna, księżyc na nowiu wybiegł na niebo, a krzyże i nagrobki jeszcze poważniéj i więcéj ponuro wyglądały.

Przy niektórych grobach płonęły kolorowe lampy, które światłem swojem różowem lub niebieskiem jeszcze podnosiły wrażenie tego wieczoru.

Gustawa ogarniało coraz większe rozczulenie i coraz bardziéj miękło mu serce. Szedł tuż przy Annie, słyszał bicie jéj serca; tak było cicho, nie było nikogo dokoła... raz tylko spotkali grabarza, który podlewał kwiaty na grobach.

Był wśród mieszkania zmarłych, cichych i milczących grobów, wśród szumu drzew, sam z ukochaną w poranku dni swoich kobietą, gdy szczęście do niego się uśmiechało. Od tego czasu tak niedawno, a on o tyle starszy! o całą przecierpianą boleść, o całą myśl, na którą niekażdy zdobyłby się człowiek. Starszy o całą ofiarę, którą zrobił ze swego szczęścia, ze swéj miłości.

O! takie dzieje wiele dodają lat.

Dziś było już dla niego wszystko tylko wspomnieniem, miłość dla Anny wraz z obelgą wykorzenioną z serca, które przysięgło innéj kobiecie. Ale zależało mu na jéj szacunku.

Człowiek jest dziwnie słabem co do tego punktu stworzeniem; można stracić wszystko i przeboléć wiele, ale najwyższym stopniem zobojętnienia jest niedbałość i nieczułość na szacunek ludzi. Potrzeba być ostatnim z łotrów, albo nie przywiązywać już do życia żadnéj wartości, aby stracić ambicję, dumę człowieczą i wrażliwość na sądy i opinję ludzi.

To też Gustaw rzekł do Anny drżącym głosem:

— Kiedy już dzisiaj jest taki dzień spowiedzi i usprawiedliwiań, pozwól mi pani, że powiem jeszcze rzecz jednę i wytłómaczę ci jeszcze jeden mój krok. Nie chciałbym, aby cień niechęci ciężył przeciwko mnie w twojéj pamięci, abyś mi dała znowu ty napowrót twoją przyjaźń.

— Masz ją pan, — odrzekła Anna, odgadując z drżenia głosu jego, o czem chce mówić, — i jeżeli zrobi ci to różnicę, rozrani serce, nie potrzebujesz mówić.

— Owszem, będzie mi to ulgą, a sądzę, że przyjmiesz pani chętnie moje słowa, które ci wiele wytłómaczą. Przyjaźń i miłość przebaczają ślepo urazy, winy, nawet krzywdy, ale z chęcią chwytają tłómaczenia, podawane przez prawdę i rozum. Że jednak to jest nietylko moja sprawa i nie wyłącznie mnie dotyczy, daj mi pani słowo, że o tem nikomu wspominać nie będziesz, a jeżeli ci będzie co niejasnem, nie zapytasz o wytłómaczenie, bo powiem sam wszystko, co powiedzieć będę mógł, ani nie będziesz się pani domyślała na niczyją niekorzyść, na niczyją krzywdę, bo poruszyłabyś w grobie prochy swojego biednego brata, któremu już przebaczono.

Anna podała Gustawowi rękę i rzekła poważnie i łagodnie, jak mówiła tamta dawna Anna, któréj łagodność i spokój budziły takie błogości uczucie w duszy Żarnowskiego.

— Słucham cię, Gustawie.

— Kochałem cię, Anno! — zawołał Gustaw.

Anna drgnęła.

— I nie wiem, jaki szał mnie ogarnął, — ciągnął daléj nie zważając na jéj ruch, — gdy mi się zdawało, że kocham twą siostrę, i gdym jéj miłość moją wyznał. Oczy jéj zapalały mi krew płomieniem w żyłach, burzyły cały organizm i wstrząsały jestestwem całem. I ją także ogarnął szał taki, bo mnie nigdy nie kochała. Gdy wyjechała i zostawiła mnie na pastwę prawdziwéj miłości, która przytłumiona namiętnością, jak nieśmiertelna roślina pod kamieniem żyła i od czasu do czasu znaki życia wydawała, gdy ona wyje-

chała i my zostaliśmy sami dwoje spędzając przy sobie rozkoszne wieczory...

— O! nie mów, nie poruszaj tych wspomnień... bom i ja tam winną była...

— Kochałaś mnie pani, — rzekł spokojnie Gustaw, — jak ja ciebie; dziś to wszystko już jest popieliskiem, możemy o tem oboje mówić bez obawy.

Nie znał serca téj biednéj Anny, takie serce pokochawszy raz, kocha na wieki, a miłość, chociaż się przypruszy pozornym popiołem obojętności, jak iskra żyje zawsze pod popiołem.

Po raz drugi już w życiu ten człowiek, sam biedny także, ranił jéj serce i w duszy poruszał wspomnienia i burzył grobowce.

— Kochałaś mnie, — powtórzył Gustaw, — a owego pamiętnego wieczoru, gdym po raz pierwszy i ostatni w życiu jak kochanek całował twe ręce i słuchał uderzeń serca twojego, gdyśmy zapomnieli oboje o świecie, o ludziach, o wszystkiem ziemskiem, i żyli tylko sobą, gdyś utonęła w zapomnieniu, sparła głowę na mojéj piersi... o! czemuż nie umarłem owego wieczoru!..

— O! i ja!

— Gdyśmy wtedy tak siedzieli, ja byłem już wolny, bo pierścionek twéj siostry był już wtedy przeznaczony do zwrotu, albo może i odesłany... Byłem wolny... i mogłem, a nawet napozór powinienem był wonczas przyjść i powiedzieć ci wtedy, com powiedział dziś: „Kocham cię Anno!“ I rzeczywiście z tą myślą przyszedłem...

— Wiem już, — przerwała Anna, chcąc koniecznie zakończyć to opowiadanie, bo jéj wielką

boleść sprawiało i najdroższych dotykało wspomnień, — odtrącony i niewinnie zelżony, uciekłeś i ożeniłeś się z inną.

Ale Gustaw, nie czując tego sam, był dla niéj bezwiednie nielitościwym.

— Nie, pani,— odrzekł,— nie mogłem ci tylko powiedzieć, że chociaż kocham cię jak się kocha miłością pierwszą raz jeden w życiu, opartą na szacunku i przyjaźni, chociaż cię pożądam, jak się pragnie róży pięknéj z cudzego ogrodu, ty nie możesz być moją, chyba po trupie tamtéj biednéj dziewczyny.

— Ona cię kochała...

— Nie, ona była tylko siostrą moją. Daruj, że ci tego nie wytłómaczę, wszak panią uprzedziłem... Wtedy chciałem cię także prosić, abyś mnie zwolniła od niemego przyrzeczenia miłości, które ci zrobiłem w tym uścisku niebiańskim i błagać, abyś przez litość, przez pamięć brata swego, zrobiła taką ofiarę ze swego szczęścia i serca, jaką ja zrobić postanowiłem, a gdyś mnie wypędziła i nie dała tego wszystkiego wypowiedzieć, ani cię prosić, byś mi pobłogosławiła na drogę ofiary, wytłómaczyłem sobie, że z ciebie żal przemawia i rozporządziłem twojem szczęściem i mojem.

— Dobrześ pan zrobił, — odrzekła spokojnie, — jeżeli tego obowiązek wymagał...

— I cześć, — dodał Gustaw.

W milczeniu szli daléj.

Zbliżyli się do bramy cmentarnéj; było już prawie ciemno, w ulicy tylko, która się przed

niemi otwierała, świecił długi szereg lamp, który się już w bramie zaczynał.

Pod lampą kłóciła się gromada napół pijanych dziadów w łachmanach; kłócili się o krajcara i łajali nie przebierając w wyrazach.

Kilka kroków daléj psy ujadały na śmiecisku i gryzły się o kawał kości.

Za zbliżeniem się niespodzianych o téj porze przechodniów hałas dziadów ustał, szwargot kłótni zmienił się w szept a raczéj szmer i klepanie pacierzy.

Anna odwróciła od nich z obrzydzeniem oczy.

— Ta różnica jest między zbydlęciałymi ludźmi i psami, — rzekł Gustaw niemniéj oburzony, — że psy żrą się daléj o kość, a ludzie za zbliżeniem się ludzi biorą maskę, są hipokrytami i nawet płaszczyka pobożności nie wahają się przywdziać, gdy jest nadzieja korzyści.

Uszedłszy kilka kroków, rzekła Anna:

— Mam jeszcze jedną kwestję do załatwienia z panem, która mi także cięży oddawna; jest to kwestja pieniężna; jestem panu bardzo wiele dłużna...

— Nie mówmy o tem.

— Owszem, mówmy o tem. Co się tyczy pogrzebu mego brata, to dług ten należy wyłącznie do mnie; więc kilka miesięcy jeszcze musisz pan...

— Ależ nie ja...

— Więc żyd, musi być cierpliwym, ale dług mego ojca, to jest ten, który zaciągnęłam na opłacenie lekarzy, mogę dziś już spłacić.

Dług ten wynosił pierwotnie pięćdziesiąt złotych, które Gustaw pożyczył na koszta rady lekarskiéj nad ś. p. Kalińskim.

Gdy jednak w dniu terminu zapłaty wekslu Żarnowski nie miał funduszów, bo zapasik, o którym wspomniał raz przed Anną, posłał Edwardowi do stolicy, więc wekslu nie wykupił, ale owszem jeszcze wkrótce potem zaciągnął nową pożyczkę na pokrycie kosztów pogrzebu Edwarda.

Żydzi jakby się zmówili, jakby przeczuli, że Edward musi miéć pieniądze, chociażby ich na miljonowy procent dostać przyszło, stawiali ogromne żądania. A on był tak młody, niedoświadczony, tak nieoględnie i niepraktycznie robił takie interesa, prawie sam się wygadał z tem, w jakich znajduje się koniecznościach finansowych, lichwiarze téż korzystali i coraz większe stawiali żądania.

Żarnowski zżymał się, targował i kłócił, ale tem wcale stanu interesu nie poprawił, bo im więcéj mówił, tem otwarciéj odkrywał żydom konieczność dostania pieniędzy.

Kilka razy odchodził nawet, chcąc nastraszyć lichwiarzy, ale ci za każdym jego powrotem coraz byli twardsi, coraz uporczywiéj obstawali przy swoich żądaniach.

A ciało biednego samobójcy, przyjaciela lat młodości, brata ukochanéj kobiety, syna ukochanéj przezeń rodziny, leżało w trupiarni cmentarnéj na gołym tapczanie z lichą świeczką w głowach, postawioną jakąś litośną dłonią; a ksiądz, trumna, katafalk, grób, światła, kondukt pogrzebowy, na wszystko potrzeba było pieniędzy.

Ciało nie mogło czekać, zresztą znikąd nie spodziewał się pomocy ani materjalnéj, ani nawet w zajęciu się pogrzebem.

A gdy Anna rzuciła mu w twarz obelgę, tem bardziéj chciał im być pomocnym, nie zmienić swego postępowania ani na odrobinę, aby nie dać nawet pozorów do jakichś uwag ze strony ludzi, lub nawet saméj Anny.

Pobiegł wprost do żyda, podpisał weksel na żądaną sumę i wziął pieniądze.

Właśnie zbliżał się dzień wypłaty wekslu; Gustaw drżał na myśl tego dnia, ale pomimo wysilenia nie mógł wynaleźć sposobu do wyjścia ze strasznego położenia.

Sądził, gdy Anna zaczęła mówić o tem, że odgadła jego kłopot, ale nie widział nań wcale rady ani wyjścia.

Ani nawet mógł się spodziewać, aby Anna miała pieniądze chociażby tylko na zapłacenie procentów.

— Cały mój dług, — mówiła Anna, — to jest obydwa razem długi wynoszą, jeżeli się nie mylę, stopiędziesiąt złotych. Sto jest wyłącznie moim długiem, który postanowiłam spłacić z własnych funduszów, zapracowanych przezemnie. Pożyczka zaś zaciągnięta na lekarzy dla ojca, jest pożyczką familijną, i Józia, albo raczéj zacny Rydyng, spłacając wszystkie długi po ojcu, i ten spłaca także. Zostawił mi nawet na to pieniądze, tak, że już jutro będę je panu mogła wręczyć albo i dzisiaj. Jest to ostatni dług po moim ojcu; cieszę się, że będę mogła jutro odesłać szwagrowi rachunki.

— Ach! czemuż pani i pogrzebu Edwarda nie chciała w to wliczyć! — wykrzyknął Gustaw, ale pomiarkowawszy się zaraz dodał: — czyżby potrzeba było, abyś się pani zapracowywała?.. czyż potrzeba nadwerężania zdrowia i uszczuplania się?.. Rydyngowie tacy majętni!

— Zrobiłam sobie takie wotum, — odrzekła Anna. — W naszym kraju, zacofanym co najmniéj pod tym względem, pracę nauczycielską, zawód nauczycielski kobiet uważają za coś upośledzającego. Jest to tak głęboko zżyte z naszemi pojęciami, wdrożone w nasz umysł, przeszło nam prawie w krew, że i najwyżsi pod względem umysłowym ludzie nie są wolni od tego przesądu i zacofania. Każdy potrafi rozprawiać, że praca uszlachetnia, ale gdyby naprzykład pańskiéj żonie, siostrze, matce, zaproponowano lekcje lub nauczycielstwo, rozgniewałbyś się pan i nie pozwolił. Tak już jest. Otóż ja, chcąc sobie poniekąd zrobić umartwienie, czując, że jestem zadumną, wybrałam właśnie upokorzenie; nazywam rzeczy zawsze po imieniu. Dla mnie, nieprzywykłéj pracować, jest to upokorzeniem. Chciałam sama zarobić na te koszta ostatniéj usługi oddanéj memu biednemu bratu; sądziłam, że i ja byłam jego zabójczynią, a dzisiaj, gdy wiem, że tak nie jest, uczynię to tem chętniéj.

Gdy domawiali słów ostatnich, stali właśnie przy placu św. Krzyża w bramie kamienicy, gdzie mieszkała.

— Odpocznij pan u nas, — dodała, widząc że Gustaw zabiera się do pożegnania.

— Dziękuję pani, zmęczony nie jestem wcale, a żona czeka na mnie z herbatą.

— Oddałabym panu pieniądze.

— Nie mam przy sobie wekslu pani, zrobimy to innym razem... jutro...

— Dobrze więc, — odparła Anna, widząc że Gustaw nie chce wejść do jéj domu, czy też śpieszy się do żony, — chociaż nie myśl pan, bym mu bez wekslu nie dała pieniędzy. Pamiętaj tylko, że chcę odesłać rachunki i kwity szwagrowi. Dobra noc.

— Dobra noc.

Podali sobie ręce i rozeszli się ci dwoje, którzy się niegdyś tak prawdziwie kochali. Jego miłość była już rzeczywistem popieliskiem... czy o jéj sercu takżeby to powiedzieć można?..

Zostawiam rozwiązanie tego pytania lepiéj znającym serce kobiece; ja wiem tylko, że Anna miała noc niespokojną i bezsenną.

Na drugi dzień powstała do pracy z oczyma w sinéj opasce, z zaczerwienioną powieką, ale była spokojną, cichą, na pozór niezmienioną i niktby nie poznał, że noc ta rozstrzygnęła jéj przyszłość.

Stefanja siedziała przy fortepianie przez szarą godzinę, która w listopadzie już jest dosyć długą, i oczekiwała daremnie męża, aby mu zagrać nową dumkę ukraińską, któréj się dla niego nauczyła.

Zmrok usposabia bardzo do marzeń. Stefanja też przebiegając jedną ręką po klawiaturze fortepianu, dumała sobie o przeszłości i przyszłości.

Że marzenia jéj i jéj myśli smutne były i w czarną odziane sukienkę, nikt wątpić nie może.

A gdy się zupełnie ściemniło, biedna Stefanja wybuchła płaczem, uciekłszy od fortepianu wsunęła się w kącik kanapki i gorącemi zalewała się łzami. Gustaw, który po długiéj przyszedł chwili, zastał ją jeszcze w tem samem położeniu.

Odłożywszy kapelusz i laskę i dojrzawszy żonę w rogu kanapki, zwiniętą jakby w maleńki kłębuszek i ciche łzy wylewającą, żal mu się zrobiło biednéj męczennicy. Przywitał ją czuléj jak zwykle i usiadłszy obok zaczął z nią rozmawiać i łagodnemi słowy potrafił uspokoić. Wieczór ten spędzili jak wszystkie inne, Gustaw tylko dłużéj patrzył za oddalającą się i szepnął do siebie:

— Przecież nie godzi się, by ona mnie jak niewolnica całowała w rękę.

W kilka dni późniéj był Żarnowski znowu na cmentarzu, a spędziwszy tam samotnie wieczór, powrócił bardzo wzruszony; zastał znowu Stefcię płaczącą w rogu małéj kanapki; a że był człowiekiem miękkiego serca i łzy kobiece robiły na nim wielkie wrażenie, zbliżył się do niéj cicho i ukląkłszy przed nią po raz pierwszy w życiu, wziął ją łagodnie za ręce. Odjął dłonie od oczu i patrząc na jéj zaczerwienione powieki i załzawione niebieskie oczy, które już tyle łez wylały, rzekł swoim łagodnym głosem:

— Dlaczego płacze moja żona? Czy ci było tęskno, żeś nie miała grać komu szarą godziną?..

Nazwał ją po raz pierwszy „żoną“; od czasu ślubu albo raczéj owéj strasznéj nocy nie mówił

nigdy takim miękkim, za serce porywającym głosem.

Biedna Stefanja wybuchła téż nowym płaczem, a Gustaw zakładając ręce jéj na szyi, objął ramionami jéj kibić i patrząc na nią ciągle, mówił:

— Powiedzże mi Stefciu, czegoś płakała? Czy przezemnie?.. Obiecuję poprawę i już nigdy o téj godzinie z domu nie wyjdę, będę codzień słuchał twéj muzyki, a jeżeli wyjdę, wyjdziemy razem.

— O! proszę cię! bardzo proszę... nie rób sobie różnicy dla mnie!.. Ja chciałabym często, abyś już raz mógł zapomnieć, że ja istnieję na świecie, że jestem kłodą u twojéj nogi...

— Czy ci tak zawadzam? — zapytał Gustaw.

— O! nie! ja zawadzam tobie; zrobiłeś ofiarę ze swego serca, ze swéj miłości...

— Bababa! — zawołał Gustaw siadając obok niéj.

Chciała zdjąć swe ręce z jego szyi, zatrzymał je lewą dłonią, splatając na swéj szyi jéj paluszki, a prawem ramieniem obejmując ją w pół.

— Strasznie się rozżaliło dziś moje dziecko; widać, że ktoś mu zrobił krzywdę w mojéj nieobecności, ale że mi z pewnością nie powiesz kto, więc proszę, byś i o krzywdzie zapomniała, a teraz pocałuj mnie serdecznie i nagródź stracony czas szaréj godziny; jeszcze wcześnie na herbatę.

Pierwszy to raz żądał Gustaw, aby go żona pocałowała, to téż biednéj kobiecie puściły się dwa sznurki łez po twarzy... i oniemiała.

— Nie chcesz mnie pocałować? znowu łzy!..— zawołał Gustaw.

— O! daruj te łzy szczęścia!.. — i wzięła go za rękę, chcąc jak zwykle pocałować.

Ale Gustaw usunął rękę.

— Widocznie, — rzekł serjo, — chcesz mnie ojcem zrobić i całujesz w rękę.

Stefanja spojrzała na niego, a zobaczywszy żartobliwy uśmiech na ustach, uśmiechnęła się do niego przez łzy i pocałowała go w czoło.

— Teraz proszę mi co zagrać, a nadewszystko łzy otrzéć i nie płakać nigdy, bo jak potrzeba, ja pan domu stanowczo zakazuję; ani tajonych, ani nietajonych łez w moim domu nie znoszę.

Stefanja poskoczyła do fortepianu i prawie szczęśliwa uderzyła w klawisze.

Gustaw zwykle podczas jéj grania chodził po swoim pokoju, dziś jednak wcale mu to na myśl nie przyszło, a rozsunąwszy krzesła i usunąwszy nieco stół, zaczął spacerować po tym samym pokoju, w którym żona grała.

Po herbacie, gdy się rozchodzili do swoich pokojów, Stefanja chciała znowu jak zwykle pocałować go w rękę, ale Gustaw podniósł jéj białą rękę do ust i ze śmiechem rzekł:

— Moja żona chce mnie koniecznie do ojcowstwa przyuczyć.

— O! nie! nie!.. — zawołała Stefanja i spinając się na palce pocałowała go w czoło.

Na drugi dzień zaledwie Gustaw usłyszał, że Stefanja otwiera fortepian, wyszedł ze swego pokoju i zaczął się przechadzać po tym, w którym ona grała.

W kilka chwil przysunął sobie krzesło do fortepianu i usiadł naprzeciw niéj w milczeniu,

patrząc w jéj twarz i tonąc w muzyce. Od czasu do czasu tylko chwalił:

— To piękne! to ślicznie oddane, z potęgą prawdziwego talentu.

W kilka dni, gdy Gustawowie wieczór rozchodzili się do swoich pokoi i Stefanja chciała męża pocałować w czoło, jak od kilku dni przywykła, rzekł do niéj Gustaw:

— Moja Stefo, widocznie nie czytałaś nigdy analizy pocałunków. W czoło całują rodzice dziecko, opiekunowie, dobrodzieje, zresztą starsi, poważniejsi; w policzki całują się bracia, siostry, przyjaciele, znajomi; ale kochankowie i małżeństwo całują się w usta; takim jest tylko pocałunek miłości... O! dobrze, żeś się zarumieniła, widzę, że się wstydzisz i żeś tego nie wiedziała, uznajesz swój błąd i obiecujesz poprawę.

Potem zarzucił sobie znowu jéj ręce na szyję, jak to on najlepiéj lubił i ucałował ją serdecznie w same usta.

— Dobra noc ci!

— Dobra noc, — odrzekła z dziwną rozkoszą młoda kobieta uwisając na jego szyi i całując go raz jeszcze.

IX.

W saloniku pani Liwall w Plotnikach siedziały dwie osoby. Gospodyni domu i szczupły niski młodzieniec, najwięcej na lat osiemnaście lub dziewiętnaście wyglądający.

Było jeszcze bardzo rano, jak na panią Liwall, bo dopiero godzina jedenasta, to jest pół

godziny od chwili, gdy właścicielka Plotnik z łoża powstała.

Przedewszystkiem skonstatować musimy, że pani Liwall była rano w niemniejszych pretensjach jak w innéj porze dnia i że od powstania z łóżka do najpóźniejszego wieczora jednakowo pudrem się obsypywała.

Pani Liwall była w półtualecie i przyjmowała swego gościa w półpozamiatanym pokoju.

Zastrzegam się tylko, aby wyrażenia „półtualeta“ nie brać w jakiem złośliwem znaczeniu.

Pani Liwall o tym stroju, który ja nazwałem „półtualetą“, wyrażała się „interesujący negliżyk“, zważywszy jednak, że negliż ten nikogo, nawet jéj gołowąsego nie interesował gościa, nie możemy zgodzić się z tem nazwaniem.

Blondynek, siedzący naprzeciw pani Liwall, wyprostowany i wykrygowany, był to wnuczek swojéj babci, a jeden z adoptowanych siostrzeńców szanownéj pani Liwall.

— Dzisiaj jest on jeszcze „nic“, — mówiła o nim łaskawa ciocia, — jest zamłody, ma lat dwadzieścia pięć, ale ja państwu ręczę, że z niego będzie cacko nie chłopiec!.. chyba, — dodawała głosem, który dowodził jasno nieprawdopodobieństwo tego przypuszczenia, — chyba ja się nie znam na ludziach.

Rzeczywiście kochany Janek Ryski miał lat dwadzieścia pięć, pomimo że wyglądał na osiemnaście; głównie były tu winne wąsy i zarost twarzy. Janek też mścił się na jednych i na drugich bez miłosierdzia i golił, chociaż nic nie rosło, ledwie nie codzień.

Zresztą należał on do tych, którzy z wąsami czy bez wąsów rokowali wiecznie świetne nadzieje, naturalnie nigdy ich nie dotrzymując.

Historja tego młodego człowieka była nader ciekawą, szczególnie jeżeli ją sam opowiadał, (przynajmniéj on tak mówił).

I wedle swego pojęcia rzeczy poczęści się nie mylił. Wszyscy słuchacze bowiem, a opowiadał ją każdemu, czy kto chciał słuchać czy nie, śmiali się prawie spazmatycznym śmiechem; jedni z głupoty Janka, pod tem nazwiskiem znano go w całéj okolicy, inni z głupstw, które on podawał jako swoje bohaterstwa.

Ojciec Janka był sekretarzem izby handlowéj w N. i człowiekiem nader zacnym i od wszystkich bardzo poważanym.

Gdy Janka z piątéj klasy gimnazjalnéj za nieuctwo i lamparterję ze szkół wypędzono, oświadczył rodzicom, że profesorowie sekują go, że mniéj umieją jak on i że on daléj do szkoły pod tymi tyranami chodzić nie myśli.

Ojciec po takiem oświadczeniu uważając, że ta niechęć do siedzenia w szkole pochodzi ze zbytniego napływu krwi, starał się kongestje te rozpędzić rózgami.

Czy atoli liczba ich była zaszczupłą, czy zasłabą, nie umiem stanowczo powiedzieć, to pewna, że na Janku zrobiły przeciwny skutek. Bo chociaż w pierwszym tygodniu po powtórnem przyjęciu do szkoły wziął się jako tako do nauki, zaraz w dziesięć dni był tak krnąbrnym dla „tyrana“ nauczyciela, który mu śmiał powiedzieć, że nic nie umie, nic się nie uczy i lamparterkę

nanowo zaczął, iż mu zagrożono powtórnem wydaleniem. Ojciec nie chcąc dożyć téj chwili, pozwolił mu ze szkół wystąpić, powiedziawszy sobie, że są przecież i rzemiosła, i że nie wszystkim dano ósmy dar Ducha św., dar kończenia szkół rozpoczętych.

Ale Janek na propozycję wstąpienia do rzemiosła rzucił się niecierpliwie i powiedział ojcu grubijaństwo.

Stary zmilczał, udał, że nie słyszy i pomyślał sobie:

— Czy ja tak nie umiem wychować dzieci? czy téż czasem rodzą się z piekła rodem z takiemi skłonnościami?

Nie dozwalając mu jednak próżnować, dzięki swéj protekcji, wyrobił mu miejsce korektora przy jakimś dzienniku.

Janek z radością porwał się do nowego zajęcia i zdawało mu się, że jest co najmniéj redaktorem. Pozował téż bardzo pięknie na szefa redakcji codziennéj gazety, wyrzucał z dziwną zręcznością białe mankiety z rękawów, mówił głośno i szeroko „w moim dzienniku“ i w niedzielę o godzinie dwunastéj robił bardzo pilnie przegląd wychodzących z kościoła piękności.

Uszczęśliwił pożyczką kilku dobrodusznych żydków, a nie myśląc wcale o oddaniu, twierdził bardzo serjo, że przystępuje także do falangi walczących na polu ekonomicznem przeciw żydowszczyznie.

Biedny redaktor męczył się z nim nie do opisania.

Janek co dzień robił mu niespodzianki, które go czasem do rozpaczy przywodziły.

Redaktor łajał go i robił co mógł, ale nie był w stanie na to poradzić.

Była wprawdzie jedna rada, mianowicie oddalić go, ale że redaktor miał różne obowiązki dla starego Ryskiego, więc go cierpieć musiał.

Niedługo to jednak trwało, bo gdy Ryski umarł, a Janek wcale swego sposobu postępowania nie zmienił, pewnego pięknego poranku został z redakcji wypędzony.

Nie mając co w mieście robić, gdzie, jak mówił, kompromitowali go żydzi, a że to było w lecie, „gdy wszyscy z szykiem wyjeżdżali do kąpiel“ (własne słowa Janka), niewiele się namyślając, pojechał ze zwykłą sobie arogancją i bezczelnością do babki.

Staruszka żyła sama w Badyniu, swojéj wiosce i z początku była rada wnukowi, który ją bawił swoją głupotą.

Janek jednak potrafił się tak rozgospodarować w Badyniu, że nie można się go było niczem pozbyć, a że na swoje szczęście długów nie robił, czego się staruszka najwięcéj bała, bo i robić nie potrzebował, mając od niéj wszystko, więc téż stale u niéj zamieszkał.

Życie płynęło mu bardzo miło i wesoło; nie zastanawiał się nad przyszłością, nie gryzł przeszłością, martwiły go tylko „te przeklęte wąsy“, ale to zostawało między nim, lustrem i trzecią brzytwą, któréj często powtarzał, że mogłaby już raz coś pod tym nosiskiem wyskrobać.

— Byłbym wcale przystojnym, mógłbym nawet zrobić karjerę, gdyby nie te wąsy!.. Te osły profesory i ten bałwan redaktor nie poznali się na mnie... E! on się poznał, bo on frant, ale zazdrość, zazdrość panie tego, to jest uczucie, które wyłącznie włada tymi ludźmi; nie dopuścić się wznieść prawdziwemu talentowi, aby jego „półtalentu“ nie zaćmić i w cień nie zepchnąć, prywata! to jest panie, co nimi kieruje!

Zapytywany, dlaczego porzucił korzystne miejsce korektora, odpowiadał z wielce tajemniczą miną:

— Stosunki, nieporozumienia, — a potem dodawał szumnie: — Zapatrywania nasze co do kwestji religijnych zupełnie się nie zgadzały. On był największym ultramontaninem, ja jestem więcéj postępowym i liberalnym; ja popierałem nowy kierunek, jaki się w Austrji objawił w ostatnich czasach, szedłem więcéj z duchem czasu, on go potępiał.

Nietrudno pojąć, jakim śmiechem śmiali się wszyscy z korektora, „popierającego kierunki i idącego więcéj z duchem czasu“, ale Janek głosił wszystko z bardzo poważną miną.

Janek wierny swemu przekonaniu, iż musi zrobić karjerę, oczywiście przez ożenienie, muskał się i czesał, pozował na bohatera i mając „lat piętnaście i osiem miesięcy“, zakochał się szalenie w pierwszéj kobiecie, którą spotkał.

Mniéj było w tem jego winy, niżby się na pozór wydawać mogło.

Biednemu Jankowi nie przyszłoby na myśl zakochać się, gdyby nie ciocia Liwall, która u-

siłowawszy daremnie wzbudzić w nim miłość dla siebie, potrafiła ją wmówić bodaj dla innéj kobiety.

Straszna ta trucicielka młodzieży poznawszy Janka w kilka dni po jego przybyciu do Badynia, adoptowała go zaraz na siostrzeńca, zapraszała jak najserdeczniej do Plotnik i wyrabiała z nim tak, że biedny chłopczyna i tak niebardzo mądry, zgłupiał do reszty.

Chociaż sposób postępowania z Jankiem jest niemniéj pouczającym, jak „tresowanie“ Józi, poprzestaniemy tylko na zanotowaniu, że właścicielka Plotnik szeptała wszystkim z wielkiem politowaniem na ucho, że Janek jest w niéj „na śmierć“ zakochany.

— Biedny chłopak!.. — dodawała.

W obronie jego jednak powiedzieć musimy, że Jankowi nie śniło się nic podobnego i wcale nie przypuszczał nawet, aby go o to posądzić mogli.

Poważał tylko głęboko ciocię Liwall, szanował jéj bystrość rozumu, która mu imponowała i dowcip, którego jéj zazdrościł; na podstawie przyjaźni zapożyczał się u niéj często w koncepta, które mu się lepsze wydały, a które dowodziły znakomitego gustu.

Janek tedy mając lat piętnaście zakochał się.

Posłuchajmy, co mówił o téj pierwszéj miłości swojéj, gdy został wyśmiany, do książki napędzony i gdy z rozpaczy zakochał się po raz drugi.

— Pani! — mówił do drugiego przedmiotu swéj miłości, — gdym miał lat piętnaście i mie-

sięcy osiem, uderzyło me serce po raz pierwszy. Nie będę pani opowiadał tych strasznych dziejów, powiem tylko, iż to, co sądziłem miłością, było tylko gwałtowną, straszną, zabijającą namiętnością, która trawiła wszystkie członki moje. Przez cały ten czas, a było to przez dni jedenaście, chciałem się dwa razy utopić, raz nawet byłem już w wodzie, trzy razy gardło poderznąć i osiem razy zastrzelić. I kto wie, czy nie byłbym jakiego strasznego czynu popełnił, gdybym... o! radości, rozkoszy, gdybym był ciebie aniele nie poznał. Na twój widok serce żywiéj uderzyło i myśl uleciała ku niebiosom... poznałem miłość i w tobie widzę jéj posłankę... Poznałem, że tamta kobieta nie była wysłanniczką niebios i żem jéj nie kochał prawdziwie... że ty jesteś tą, którą serce wybrało!

Był w stanie Janek w tym duchu i dwie godziny gadać, bo piękniejszych frazesów, nawet całych ustępów wyuczył się z romansów na pamięć, aby w razie potrzeby zrobić z nich użytek.

Tak przeżył Janek lat kilka, zachwycała się nim ciocia Liwall, bo Janek był arcyświetnym egzemplarzem do dowcipów w oczy i po za oczy.

Ryski przyjmował od niéj wszystko, załagodzone słowami:

— To dzielny chłopak ten Janek, co to z niego będzie!..

Inny wolałby trochę teraźniejszości, jak tak wiele przyszłości, ale Janek budował na tym fundamencie wielką i świetną przyszłość.

Wizyta jego ranna zdziwiła niemało panią

Liwall, raz z powodu wczesnéj pory, a powtóre z powodu urzędowego czarnego fraka.

Zaciekawiona więc jak zwykle wszystkiem, wybiegła do swego gościa, a że z siostrzeńcami była równie na poufałéj stopie jak z siostrzenicami, więc zapytała go zaraz z progu:

— Panie Janku! co pana do mnie sprowadza o tak rannéj porze, w czarnym fraku?..

— Ciociu! — odrzekł z uroczystą miną Janek, — przyjechałem z pożegnaniem.

Pani Liwall cisnął się śmiech gwałtem na usta na widok urzędowo poważnéj miny siostrzeńca, wyglądającego na lat osiemnaście a mającego dwadzieścia pięć.

— Z pożegnaniem? — zawołała ciocia Liwall, żałując że nie ma nikogo trzeciego w salonie, z kimby potem śmiać się mogła z miny Janka, — odjeżdżasz?..

— Tak jest! — odparł jeszcze poważniéj Ryski, siadając niemniéj poważnie w krzesło.

— Dokądże? mów, bo wiesz, że jestem ciekawą.

— Powziąłem stanowcze postanowienie... — mówił coraz poważniéj Janek.

— Cóż znowu za okropna myśl! Ty masz zawsze tak okropne pomysły!..

Ton, jakim wymawiała te słowa, był miniaturą całego jéj postępowania z siostrzeńcami; wmawiała w niego teraz gwałtowne myśli, jak wmawiała wszystko inne.

— Tym razem nic strasznego, — odrzekł Janek, — a wysłuchawszy mnie, pewnie mi ciocia przyzna słuszność. Postanowiłem ożenić się.

Powaga jego z każdą minutą wzrastała, tak, że w chwili, gdy wymawiał słowa „ożenić się“, był co najmniéj tak poważnym, jak poseł chiński w Brazylji.

— Tak jest! ożenić się!.. — powtórzył Janek, — przyzna mi ciocia, że mam rację.

Pani Liwall chociaż miała wielką ochotę wybuchnąć śmiechem, przywykła tak do udawania powagi lub śmiechu wedle potrzeby, że twarz jéj nie drgnęła, a że miała zasadę mówiącym serjo zawsze potakiwać, i w ten sposób ich wyszydzać (przez co, nawiasem mówiąc, robiła satysfakcję i sobie i tym, którzy do niéj mówili, tak, że chętnie się z nią myślami dzielono), odrzekła więc bez namysłu:

— Pewnie! masz zupełną słuszność!..

Janek poruszył się tryumfująco na krześle, jakby wygrał wielką bitwę pod Solferino i chciał pokręcić wąsa, który był jednak świeżo do szczętu wyskrobany.

— I z kimże? — zapytała ciocia Liwall, przebiegając w myśli wszystkie ostatnie miłości Janka, zaczynając naturalnie od siebie.

— Z kim?.. nie jestem jeszcze zdecydowany, ale ostatecznie to najmniejsza... z kobietą! z kimbądź...

— I temu przytakuję, — odrzekła bardzo serjo ciocia Liwall.

— Bo proszę cioci, — mówił daléj ożywiając się adoptowany siostrzeniec, — człowiek w moim wieku, z mojem wykształceniem i wychowaniem, z moją ogładą, *et enfin* wyglądaniem i twarzą do ludzi przecież podobną, powinien zrobić jakiś

krok stanowczy, aby los swój i byt na dni starości zabezpieczyć. Ja sam to czuję, że dziś nie mam dostatecznéj powagi, ani miru u ludzi, na jaki zasługuję, żona doda mi tego, co mi brakuje, stanę się kompletnym człowiekiem.

I patrzył wzrokiem nieśmiertelnego Kolumba po wielkich odkryciach na ciotkę, słuchającą go z należytem namaszczeniem.

— A cóż babka mówi o twoim planie?

— Jeszcze o nim nie wie... chcę jéj zrobić niespodziankę... zjadę z żoną i zostanie wkrótce prababką.

— Brawo! — zawołała ciocia Lwall, — śliczny pomysł... brawissimo!.. godzien twojéj głowy... taka niespodzianka, to rozumiem!.. tylko prędzéj, zdecyduj się pan, kogo wybrać!.. ja pana wyswatam.

— O! to najmniejsza, — odrzekł z arogancją, znamionującą jego wysoką zarozumiałość i przesadną pewność siebie. — Mając zamiar zabrać się do tego aktu, przyjechałem najpierw do cioci.

— Wiedziałeś, że takim biednym sierotom pewnie najszczerzéj i najserdeczniéj życzę. Niech cię Bóg błogosławi na tę drogę, — rzekła patetycznie.

W téj chwili w alei ogrodowéj rozległ się tętent galopującego konia; ziemia zamarznięta dudniła, a drzewa bezlistne doniosły aż do salonu echo przyśpieszonych kroków.

— Ktoś jedzie! — zawołała przestraszona, — goście!.. ja jeszcze nie ubrana... tylko ciebie przyjmuję tak rano! i w takiéj tualecie!.. bądź zdrów, a nie mów, żeś mnie widział!..

Liwall powiedziała to właśnie dlatego, aby zwrócić uwagę Janka na swoje ubranie (uważała go zanadto głupim, aby sam to zauważył), bo wiedziała, że się zaraz pochwali, iż mówiła z nim w „półtualecie“, a ona tak chciała intrygować!..

Tętent konia dał się słyszéć na dziedzińcu tuż przed domem i ledwie znikła, wszedł nowo przybyły.

Hrabia Mider był wzrostu niezwykle słusznego, przez co nad całem panował zgromadzeniem i na wszystkich z góry patrzył. Nie mając nic lepszego do roboty, był tymczasem, dopókiby się bogato nie ożenił, nadporucznikiem c. k. ułanów.

Był to chłopiec śliczny, z dobréj familji, która wyróżniała się od ogółu śmiertelników tem, że „pozwolonem jéj było“ hr. kłaść przed swem nazwiskiem, a brak monety czynił ją znowu wielce podobną do tegoż ogółu.

Hrabia-porucznik przybył do naszego kraju wraz ze swoim pułkiem i rozpatrywał się właśnie, czyby się nie dało zarządzić wystąpienia z wojska, naturalnie po bogatem ożenieniu.

Hrabia miał prócz wielu innych zalet, jak piękności i ślicznéj postawy (zbudowany był jak Apollo), także dziwną elastyczność i obszerność zdania, sumienia, serca, zasad i t. d.

Złośliwi szydzili z niego; z kogóż się złośliwi nie śmieją?! Szczególnie jedna z panien Ronickich tak go opisała:

— Porucznik Mider śliczna laleczka, może się u nas wycywilizuje; dziś już, mówiąc po polsku, robi wrażenie małych dzieci, które się racz-

kować uczą; chwali melodję mazurów, gani walce, i szuka żony chociażby z pod znienawidzonéj polskiéj strzechy, byle z groszem gotowym.

Co do tego myliła się poniekąd panna Ronicka, bo Mider, dzięki elastyczności swych przekonań, wcale nikogo nie nienawidził, i byle jego nikt nie ruszał, nawet na nikogo złego nic nie powiedział.

Ludzi równie kosmopolitycznych niewielu ma Europa; dobra pieczeń z kartoflami, szklanka piwa lub groku, a jeżeli w dodatku miał jeszcze kilka wesołych kobietek, któreby pozwoliły poumizgać się do siebie, był zupełnie zadowolony i polityki z zasady na stół nie wyprowadzał.

Hrabia Mider przygalopowawszy do Plotnik osadził konia w miejscu i nie dbając wcale na spienione zwierzę, rzucił lejce chłopcu stajennemu, a sam wyciągając się i ziewając wszedł do przedpokoju.

We drzwiach spotkał Janka.

Powitali się dość żywo, a chociaż niekoniecznie dobrze rozumieli, zaczęli rozmowę; była to oryginalna mięszaninka niemieckiego z polskiem. Z mięszaniny téj dwóch wrogich sobie języków niewiele można było rozumiéć; a że i sami aktorowie takiego djalogu niezawsze się rozumieli, więc wynikały ztąd różne komiczne nieporozumienia.

Porucznik chcący być nader grzecznym zawsze i dla wszystkich, mówił do Janka po polsku, bo mu się zdawało, że Ryski z trudnościami walczy, mówiąc po niemiecku.

Janek zaś zdobył w życiu swojem tyle cywilizacyjnéj ogłady, że chciał porucznikowi od-

płacić pięknem za nadobne i kusił się na mówienie po niemiecku, widząc, jak hrabiemu ciężko i trudno idzie polszczyzna. Na téj grzeczności najgorzéj wychodziły języki.

Wzajemne to poczucie grzeczności miało ten skutek, że obaj mówili tym jezykiem, którego nie umieli, a jeżeli się zrozumieli, to albo przypadkiem, albo za pomocą żywéj giestykulacji.

Przypominało to bardzo Krasickiego: „Zrazu rozmawiali ludzie na migi“.

Pomimo to ani hrabia ani Janek nigdy nie ominęli żadnéj sposobności, aby nie wymienić z sobą bodaj słów zapewniających o prawdziwem i głębokiem poważaniu.

Po przywitaniu zapytał porucznik uśmiechając się słodko i wskazując na frak Janka:

— Co jest? czarno ubrany, *Namensfest* Liwall?

Janek domyślił się, że tu o jego frak idzie i odparł znowu na swój sposób:

— *Nein, ich gekommen heirathen, Liwall* pobłogosławić.

— A! pan żenić, tego panie, gospodynia domu, — zawołał zdziwiony nieco hrabia, nie rozumiejąc ostatniego słowa, albo raczéj zrozumiawszy, że Janek żeni się z Liwall, ale że był człowiekiem obytym i słyszał i widział już niejedno głupstwo w życiu, więc i z tem prędko się pogodził i wyciągnąwszy rękę dodał: — *gratulire.*

— *Nicht wahr, dass ich mache gut,* — ciągnął daléj Janek zachwycając się sobą coraz bardziéj.

Porucznik z serca przyznał mu słuszność.

— O! ja! tego panie... szczęśliwy myśl!.. kiedy wesele być będzie?

— *Nicht so schnell,* — odparł Janek, — *ich, mich, sich, gekommen,* — a nie mogąc sobie wreszcie rady dać z niemczyzną, dokończył po polsku: — przyjechałem się poradzić z panią Liwall.

Porucznik zrozumiał „oświadczyć“.

— No! co jest? mówił pan z gospodynia?.. zakochany, przyjęty, szczęśliwy!..

— *Ja,* mówiłem, — odparł Janek, — chociaż *sie ist ganz nackt, ganz nicht ge... ge...* ubrana.

— Ciocia Liwall goły, pan mówić był? — przerwał porucznik uśmiechając się pod wąsem.

— *Ganz nein, demi-toilette... Sie können nicht reden mit sie, nur ich... mit mich keine „genation...“* — i uśmiechnął się dumnie.

Porucznik niewiele rozumiał, więcéj odgadywał i domyślał się.

— No! natralnie, natralnie, pan jest od niéj narzeczony... to *was anders*, niech ale pan nie jest zazdrosny o Liwall... bo kochanki zawsze są zazdrosny.

Janek w pierwszéj chwili, zrozumiawszy hrabiego, oniemiał z zadziwienia czy przerażenia.

— *Ich, mich, sich,* — wołał nie mogąc sobie teraz bardziéj niż kiedy dać rady z zaimkami, — *ich mich sie, sich,* w błędzie, *ich nicht Tante Liwall heirathen.*

— *Nicht Liwall?..* do kogo się pan ale oświadczyć?

Kto wie, jakby długo trwało to nieporozumienie i ciekawa, a dla stron obu natężająca

rozmowa, gdyby się nie był w téj chwili pokazał bogaty zaprzęg w alei topolowéj.

Cztery rosłe gniade konie, ustrojone w chomonta kapiące złotem i bronzami, w wyciągniętym kłusie wciągnęły wielką, zewsząd oszkloną karetę.

Porucznik zobaczywszy gniade konie i służbę w migdałowéj liberji, miał zupełnie taką minę, jakby już wyjaśnienia téj kwestji wcale nie pragnął i nie chciał jéj nigdy zrozumiéć.

Wydobył cygara i częstując Janka rzekł:

— Może pan na drogę?..

Janek wziął cygaro, kazał zajechać swemu wózkowi, ale stał w ganku i chciał daléj tłómaczyć swój plan ożenienia, nie domyślając się wcale niepokoju porucznika.

Wózek badyniecki ustąpił karecie, którą spienione konie przed ganek wtoczyły.

Hrabia był bardzo zmięszany, posunął się naprzód, aby otworzyć drzwiczki od karety, cofnął się, wołał na służącego, aby się śpieszył... mówił do Janka, który patrzył na niego zdziwiony, a gdy lokaj niedość szybko zeskoczył z kozła, Janek poskoczył do karety i z głęboką świadomością rzeczy otworzył drzwiczki. Następnie podał rękę tak ślicznéj kobiecie, że oniemiał i zrobił niemniéj skonfundowaną minę jak porucznik.

Damą tą w gronostajach, w czarnéj ciężkiéj sukni, obszytéj dołem białym pasem, o cudnéj urodzie, która aż zdumiała biednego Janka, był nie kto inny, jak pani Rydynżyna.

Poznać ją było nietrudno po połysku czarnych oczu, które jeszcze piękniejszemi się stały,

jak kiedykolwiek, po uśmiechu ust koralowych, po liczku białem, które chociaż mocno „veloutine'ą“ nadniszczone pięknością i białością każdego uderzało. Czoło stało się jeszcze dumniejszem, oko miało spojrzenie królowéj, a dolna warga wydęta zdawała się być stworzona do rozkazów.

Rozplątawszy się z białych niedźwiedzi, któremi miała nogi otulone, piękna kobieta postawiła małą nóżkę na stopniu, rozejrzała się dokoła, jakby dawała obecnym czas do podziwiania téj ślicznéj nóżki, w futrzanym paryskim buciczku ze złotą podkówką, zstąpiła na ganek i majestatycznym książęcym krokiem przeszła przedpokój.

Porucznik ukłonił jéj się głęboko i zbliżył z jakimś ruchem, jakby jéj chciał podać ramię, ale Józia skinieniem głowy i spojrzeniem go odprawiła, dała znak służącemu, aby poszedł za nią i znikła w pokojach.

Porucznik odzyskał spokój i zimną krew, ale niezadowolony kręcił wąsy, jakby je chciał urwać.

— A to! — zaczął Janek zapomniawszy o niemieczczyźnie, — kobieta! aż ha!! toby było coś dla mnie!.. zyskałbym wiele powagi przy niéj... hej, hej!.. to pewno Rydynżyna, bo ja znam wszystkich, tylko jéj jeszcze nie widziałem.

— Et! nie byłoby wcale dla pana... — odparł jakoś szorstko po niemiecku hrabia, — pilnuj pan swojéj Liwall, a radzę od pani Rydynżyny być zdaleka, bo stary zazdrosny i krwiożerczy jak dziki zwierz... rąbie się jak fechtmistrz, a dwanaście oczek z asów wystrzelić je-

dno po drugiem na trzydzieści kroków z pistoletu to u niego nic!.. Radzę, — dodał chłonąc, — miéć się na baczności, z Rydyngiem nie żarty, zaraz wyzywa... Ale do widzenia, może się ciocia Liwall już ubrała... bo się bardzo śpieszę... mam do niéj interes i zaraz jadę daléj... do widzenia... odjeżdżam w téj chwili... — dodał z przyciskiem.

— Ja mówiłem z nią w półtualecie, — zawołał tryumfująco Janek, dając znak swemu woźnicy, aby podjechał.

Gdy konie ruszyły, Janek dumał sobie:

— Ależ to kobieta... strach!.. brrr... koniec świata... powaga, majestat... ale ten Rydyng... hrabia nie żartował, mówił serjo... a on go zna... Tem lepiéj! dam mu dowód, że się nie boję!.. a zginąć dla niéj i za nią, to rozkosz, to niebo!.. Musi być tyran stary litwin! pewnie tyran!.. ale ja ją oswobodzę, zdobędę, choćby w zaczarowanym zamknął ją pałacu...

Ledwie znikł wózek Janka z przed ganku, porucznik musnął się po wąsach i faworytach, ale zły i niezadowolony wszedł do salonu pani Liwall.

Po chwili dopiero, która była tak długą, że zniecierpliwiony hrabia miał czas przejrzéć wszystkie dzienniki leżące na stole i wybornie znane ryciny, wyszła ciocia Liwall.

Hrabiemu, który miał trochę krótki wzrok, wydało się, iż ciocia przychodzi wprost z kuchni lub młyna, w tak przyzwoitéj ilości była zgromadzona mąka na jéj twarzy, ale rzut oka na całą tualetę przekonał go, że jest w błędzie.

Ciocia Liwall, dzięki Lewickiemu ze Lwowa, była szerszą jak dłuższą (Lewicki ma wszystko

wprost z Paryża) i wydawało jéj się, że jest co najmniéj tak piękną, jak rzymska Wenera. To téż gdy Mider, schowawszy niezadowolenie w kieszeń, poskoczył do niéj z powitaniem i złożywszy głośny pocałunek na jéj rączce, zawołał:

— Ciociu! jesteś tak tak piękną jak wschodząca zorza!

Pani Liwall wzięła to za dobrą monetę i prostując się odpowiedziała:

— Lubię cię hrabio! jesteś tęgim chłopcem!.. Siadaj pan, — dodała, — cóżeś tam znowu zbroił?

Hrabia z kobietami mówił najczęściéj po francusku.

— Ja? znowu?..

— Józia rozgniewana na ciebie, nie kazała koni wyprzęgać, powiedziała, że w téj chwili odjeżdża! nawet cię widzieć nie chce...

— Parbleu! — zaklął porucznik zrywając się z miejsca, bo dokuczyło mu czekanie, rozmowa z Jankiem i wszystko jakoś dziwnie mu się nie składało, — można już zwarjować!..

Zaczął szybko chodzić po pokoju. Liwall nic sobie z jego wybuchu nie robiła i słuchała wszystkiego ze spokojem.

— Jechać półtory mili i na końcu spazmować niewiedzieć po co i dlaczego? Na to potrzeba być Józią.

— Powiada, żeś pan jéj nie przywitał jak się spodziewała.

— Jakżem miał witać? com miał zrobić?.. ten przeklęty Ryski stał jak Cerberus nademną.

— Czekajno, czekaj, poruczniku, poproś mnie ładnie, a wszystko załagodzę.

— A! proszę serdecznie... z takiemi trudnościami, tak rzadko zjeżdżamy się, że doprawdy lepiéj godzi się cenić te krótkie chwile.

Liwall wyszła, porucznik chodził po pokoju.

— Gdyby nie to, że taka piękna i warta zachodu, plunąłbym pewnie na wszystko!.. Te kobiety zdradzając dla nas swoich mężów myślą, że my mamy dla nich jakiś szacunek wyrafinowany, że płoniemy ku nim rzeczywistem uczuciem... no! płoniemy to prawda! ale szacunek!.. tra ta ta!.. i wycina mi komedje, — ruszył ramionami. — Przeklęte obie kokietki, myślą, że ja głupiec jestem i nie rozumiem się na tem... ot, z takim Jankiem bawcie się jak chcecie, ale ja! jam już nie takie jak wy wyprowadzał w pole... Gdyby nie to, że ona tak ładna, jużbyś ty mnie tu z pewnością nie zastała, ty stare zamączone pudło. Ale nie byłbym ułanem, gdybym się bał dwóch bab głupich, albo odstąpił nie dopiąwszy swego... Pst! ktoś nadchodzi... kochana ciocia Liwall, trzeba być przejętym i kochającym młodzieńcem.

O! niejedna żona zdradzająca kochającego męża dla jakiegoś gaszka odwróciłaby się pewno z pogardą od niego, gdyby zajrzała do jego myśli i spojrzała w serce jego.

— Hrabio, — rzekła gospodyni próbując się wdzięcznie uśmiechnąć, co jednakże nie powiodło jéj się lepiéj, jak zwykle, — wiesz, że jesteś perłą moich siostrzeńców, wybrańcem i pieszczochem wszystkich kobiet. Wstawiłam się za tobą, robiłam com mogła... biegnij, padnij jéj do nóg i przebłagaj.

Hrabia pobiegł.

Był on już jednak na takiéj stopie z Rydynżyną, że niedługo u nóg „przebłagiwał“. Zresztą wątpię, czy kobieta, która jedzie półtory mili do kochanka na *rendez-vous* i ma za przyjaciółkę ciocię Liwall, byłaby zadowoloną z takiego przeproszenia.

— A! hrabio! — rzekła Józia udając na pół rozgniewaną, gdy Mider usiadł koło niéj, — cała nasza miłość to grzech! to grzech!.. Bóg będzie się gniewał na mnie... a tyś nie wart dziś nawet, abym się dla ciebie narażała na gniew Boga...

— Józiu!.. — szeptał hrabia.

— O! tak! nie wart! nie wart!.. Ja jadę, pędzę, lecę... z narażeniem się na gniew męża, na języki ludzkie... narażam dla ciebie moje dobre imię... przyjeżdżam... a ty zamiast radośnie poskoczyć, wyciągnąć do mnie ręce, pozwalasz, aby mnie w twojéj obecności kto inny wysadzał z karety!.. nie ruszasz się... Ja wzdycham, liczę każdą chwilę... ty witasz się ze mną ostatni...

— Ależ Józiu! gdybym się witał pierwszy, gdybym poskoczył z wybuchem radości, wyciągnął ręce... otwierał karetę... gniewałabyś się, że cię kompromituję wobec obcego człowieka, wobec sług... co ja zresztą wiem... gniewałabyś się aby się gniewać!..

— O! ty niepoczciwy, zawsze pełno wymówek, zawsze gniew, nigdy ci niedosyć tego, co ci daję... tem się nigdy nie zadawalniasz, ja dla ciebie zdradzam najlepszego męża, który mnie otoczył szczęściem, zbytkiem... uszczęśliwił, który mnie tak kocha... ja porzuciłam to wszystko dla

ciebie... a ty, tyś dla mnie obojętny, nie kochasz mnie... o ja nieszczęśliwa!..

I wybuchła płaczem.

Mider zaklął w duszy po swojemu, pomyślał, że jak nie dla niego, toby dla kogo innego męża zdradziła, ale zaczął ją całować i uspakajać.

Tymczasem Janek Ryski kazał jechać do domu.

Zjadł z babunią o dwunastéj objad, grał z nią w marjasza i wieczorem kazał sobie zaprzęgać.

— Jedziesz? — zapytała staruszka.

— Jadę! — odparł Janek poprawiając krawat z miną, jaką najprawdopodobniéj musiał miéć Jazon, gdy się wybierał na wyprawę do Kolchidy, — jadę, — powtórzył jakby dodając sobie odwagi, — jadę do Plotnik.

Poprawił włosy i musnął po miejscu na wąsy, a w duchu dodał:

— Niech się dzieje co chce!.. kocham ją, zabiję tyrana i ożenię się z nią... niech będzie co chce...

A że jeździł często do Plotnik, nieraz nawet dwa razy na dzień, bo pół milki były odległe od Badynia, babka go się daléj nie wypytywała i Janek bez przeszkód pojechał z głową planującą do Plotnik.

X.

W dzień Trzech-króli była zawsze wielka zabawa w Ronicy, niejako otwarcie karnawału.

Dom państwa Ronickich czuł na sobie obowiązek urzędowy rozpoczęcia zapust, jako najstarszy i najpoważniejszy.

Józia tak się lubiła bawić i śmiać, powiedzmy otwarcie, kokietować, że pomimo żałoby i perswazji męża, na balu tym być postanowiła.

Zaledwie się ściemniać zaczęło, gniade konie w bogatéj uprzęży wtoczyły przed werandę w Ronicy karetę, z któréj wysiadła Józia z mężem, a tuż za nimi nadjechała panna służąca, bo Rydynżyna od czasu, jak za mąż poszła, nie ruszała się z domu bez panny służącéj.

Lokaj uchylając cylindra zapytał Rydynga, dokąd ma znieść walizy jaśnie państwa.

Na ganku stał jeszcze Ronicki z Rydyngiem rozmawiając o koniach.

Ronicki zwrócił się do służącego.

— Tak jak sobie pani życzyła. Zapytaj Michała, on ci wskaże pokój pani Liwall, a pana rzeczy zanieś do mego gabinetu.

— Jakto! — poderwał Rydyng, — Józia życzyła sobie, aby w jéj pokoju mieszkała pani Liwall?

— Tak mi pisała donosząc dzisiaj o swem przybyciu.

— To omyłka! — zawołał Rydyng chmurząc czoło.

— Być może, i jeżeli pan sobie tylko życzysz...

— O! proszę, niech pan nie robi sobie różnicy...

Ronicki szepnął coś swemu służącemu i rzeczy Rydyngów zniesiono do jednego pokoju.

Była to drobnostka, o któréjbyśmy nawet nie wspominali, gdyby nie wielkie wrażenie, jakie zrobiła na Bonawenturze.

Są czasem chwile w życiu człowieka, chwile słabości, w których skłonnym jest do rozdrażnienia, roznerwowania.

Usposobienie to zawisło, jak każdy inny stan umysłu człowieka, od wpływów zewnętrznych, fizjologicznych i tysiącznych różnych względów.

W takich chwilach rozdrażnienia podejrzenia rodzą się w umyśle niepostrzeżenie, bez wiedzy i często przeciw woli człowieka; słowo pada w serce i jak robak wije się w niem, kłębi i zdławia dobre myśli, a rozkrzewia niewiarę.

Myśl, którą podszepnie szatan, nurtuje po mózgu, budzi wszystkie demony niewiary, tłumi ufność, zabija zaufanie, ze ślepéj wiary, miłości robi tysiącoocznego niedowiarka.

Rydyng był w takiem usposobieniu i chociaż zapewniała go żona, któréj dotychczas każdemu słówku wierzył, że wcale tego do wuja nie pisała, chociaż nawet Ronicki wskutek próśb Józi napomknął Bonawenturze, że listu Józi nie czytał, i żona jego nie zrozumiawszy go, słowa Rydynżyny przekręciła, podejrzenie obudzone z każdą chwilą zamiast opadać i maleć, rosło i wzmagało się.

Rydyng powiedziawszy sobie, że Józia z Liwall wcale stosunków przyjacielskich nie zerwała, uwierzył temu i postanowił pilnować żony, aby schwyciwszy ją na gorącym uczynku zdemaskować i zrobić uzasadnione wyrzuty.

Było to wprawdzie mniéj szlachetnie, niżby sam Rydyng postąpić chciał i długo namyślał się, nim to postanowienie zrobił, ale kładąc frak i poprawiając krawat powiedział sobie, że innego środka nie widzi, a dziś, czy to skutkiem rozdrażnienia, czy przeczucia, stokroć więcéj Liwall nienawidził jak kiedy.

— Nie dam i nie pozwolę, — mówił do siebie oblewając się kolońską wodą, — aby najdroższa mi kobieta była w przyjaźni z najnienawistniejszą. Czy mam słuszność, czy nie, zdaje mi się, że mam prawo tego żądać.

Józia właśnie zaczynała się fryzować, gdy Rydyng wyszedł, zarzucił na siebie futro i zajęty Józią i swojemi myślami usiadł w ganku.

Po krótkiej chwilce zbudził go dźwięk ostróg i cicha szeptem prowadzona rozmowa:

— Mówiła mi Józia, — mówił głos pod balustradą, — że pojutrze mąż jéj wyjeżdża na dwa dni, na czas ten więc przyjedzie do mnie. Mówię ci o tem hrabio, żebyś się tak urządził, byś do mnie także w tym dniu przyjechał.

Rydyngowi pomimo kilkustopniowego mrozu zrobiło się gorąco, pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

Kroki i głosy zbliżały się coraz bliżéj i biedny stary mąż, chcąc się utrzymać w raz przyjętéj roli niezdradzenia się z podejrzeniami, miał zaledwie tyle czasu, żeby uciéc do pokoju.

Rydyng wpadł do żony bielszy od własnego krawatu. Józia siedziała właśnie przed lustrem obsypana gęsto „veloutine'ą“.

Bonawentura padłszy w fotel zwiesił na niéj oczy z wyrazem bolesnego wyrzutu i głębokiéj miłości, która w głębi serca wołała:

— To nieprawda! nieprawda! nie o niéj była mowa. Wszak ona nie bywa u Liwall, zresztą ta handlarka serc ma zawsze kogoś, którego duszę sprzedaje... Moja Józia! żona Rydynga, — wołała duma i ambicja, — nie może być kochanką niczyją.

Ta myśl bardzo go uspokoiła.

Taką już jest natura ludzka, że przez własną miłość kochamy i wierzymy; duma, zarozumiałość, stanowią ważny czynnik w naszem sercu.

Rydyng wstał i zbliżył się do żony, jakby chciał wyczytać z oczu jéj potwierdzenie téj ostatniéj myśli.

Nagle drgnął.

— Józiu! — zawołał, — znowu ta mąka! czy wiecznie obsypywać się myślisz pomimo próśb moich?

— Ależ mój drogi, nie mięszaj się do naszych tualet i usuń się, bo ci frak pudrem obsypię; idź do salonu i nie przeszkadzaj mi się ubierać.

— Ja cię proszę bardzo, — odezwał się Rydyng drżącym głosem i znowu podejrzenia górę nad nim brać zaczęły, — zetrzéj puder. Przecież możesz to dla mnie zrobić, ja tego nie znoszę, nie cierpię. Należę do ludzi staréj daty, do zacofańców, a sądzę, że niewielkiéj ofiary się domagam. Jesteś piękną, masz płeć białą i puder nawet jest ciemniejszym od koloru twéj twarzy.

Utkwił w nią badawcze spojrzenie.

— A kiedyś potrafiła dla mnie zerwać zupełnie z Liwall i nigdy u niéj nie bywać, potrafisz także wyrzéc się mąki, która dla każdéj kobiety jest brzydką, a dla ciebie zbyteczną i niepotrzebną.

Józia zmięszała się bardzo jego tonem mowy, spojrzeniem i postawą, otarła natychmiast twarz (może dlatego, aby ukryć pomięszanie, które jednak nie uszło badawczemu oku męża) i zawołała udając wybornie swobodę:

— O! mój tyranie, czegóżbym ja dla ciebie nie zrobiła!.. na twój rozkaz, na twoje życzenie!

Rydyng przyjął jakoś zimno ten wybuch żony, spojrzał na nią z ukosa i pokręcił wąsa.

— Gdy będziesz ubrana, przyślij po mnie Antoniego, abym cię wprowadził, będę w głównym salonie.

— Dobrze.

Rydyng zbliżył się ku drzwiom.

— Odchodzisz?.. i nie pocałujesz mnie?..

Stary mąż odwrócił się do niéj z chmurą na czole, jakby chciał wybuchnąć lawą słów, ale spojrzawszy na nią zmienił wyraz twarzy. Myśl: „ona niewinna,“ znowu górę wzięła.

Była tak śliczną z tym uśmiechem, rozpuszczonym warkoczem i jaśniejącem okiem, w ślicznym bogatym negliżu, że Bonawentura powiedziawszy sobie:

— To być nie może!.. to być nie może!..

Poskoczył do niéj, porwał za wyciągnięte ku sobie dłonie i przyciągając do siebie, całował namiętnie:

— O! moja żono! moja droga żono! — powtarzał ten wyraz, który wedle praw Boga i ludzi jest nazwaniem kobiety, stanowiącéj największe szczęście kochającego i kochanego mężczyzny, — Józiu moja! moja droga żono!.. — powtarzał jakby w siebie samego wmówić chciał, że są nierozdzieleni i nie stanęła między niemi ani postać podłego gacha, ani podłéj intrygantki.

Smutno jest jednak i niedobrze w małżeństwie, jeżeli potrzeba przypominać sobie o nierozdzielnym węźle i używać siły woli i siły serca, aby wzbudzić wiarę.

Podejrzenia podobne są do owego smoka z bajki, który miał dziesięć głów, trzeba je wszystkie naraz uciąć, aby smoka zabić, bo uciąwszy tylko jednę głowę, dziesięć na jéj miejscu nowych odrasta w jednéj chwili.

Bal był świetny; cała okolica, młodzież i starszyzna była obecna, nie brakowało nikogo.

Muzyka z N., kucharz Rydyngów, służby wiele, wino wyborne, danserów dużo, danserki niezmordowane, ot i wszystkie warunki dobréj zabawy na wsi, bo o humory, o ochoczość, wesołość, swobodę, gdzie wszyscy sobie znajomi byli, wcale nietrudno.

Był więc i Janek bohater, i porucznik hrabia, i ciocia Liwall, i wielu, wielu innych, których nawet z imienia znać nie mamy przyjemności.

Jeden tylko Rydyng, pomimo wysileń i starań, do ogólnego tonu nastroić się nie mógł, i ten, który zawsze rej wiódł między młodzieżą, dziś osowiały, ponury, uciekał od towarzystwa, cho-

wał się i tylko oka badawczego z żony nie spuszczał; widział jéj ruch każdy, uważał z kim mówi, jak mówi, a z ruchów oczu, poruszeń ust odgadnąć chciał, co mówi.

Józia otoczona tłumem wielbicieli, młodzieży, kawalerji, przyjmowała hołdy z miną królowéj, odbierającéj prawem przepisane daniny.

Rydyng wysyłał nieraz ucho na zwiady, ale i ten szpieg powracał z niczem i Bonawentura zaczął sobie robić wyrzuty, że skrzywdził żonę w swéj opinji.

O! jakie to były słodkie wyrzuty, żaden grzesznik nie miał takich wyrzutów sumienia.

O! bo Józia była zręczną, chytrą i układną, Liwall była przecież jéj mistrzynią, a hrabia w niéj wcale niezakochany i zresztą także jaką taką rutynę w tych rzeczach posiadający.

Pomimo to jednak czujności męża zupełnie uśpić nie mogli, a raz zbudzone podejrzenie drażniło i dyszało ciągle w jego piersi, pobudzane ruchem nawet nic nieznaczącym w innych okolicznościach, bo stary Rydyng niewierny był jak litwin, jak stary zazdrosny mąż, i chociaż wszystko szło tak zgrabnie i dobrze, chociaż komedja grana była arcywybornie, stary poznał się na niéj albo ją raczéj przeczuł i od szpiegowstwa wcale nie ustąpił.

Biedny stary! wierzył i nie wierzył żonie... lada słówko obalało cały gmach ułożonych sztucznie sofizmatów wiary.

Po kolacji, gdy się kobietom zdawało, że mężczyzni nietańczący zajęci wyłącznie cygarem,

Józia szybkim krokiem zbliżyła się do Liwall, która siedziała na kozetce.

— Stary podejrzewa coś, — szepnęła jéj cichym ale wyraźnym głosem, — nie zdradziliście się z czem?

— *Nous? mais jamais!*

— Zrobił mi scenę o puder i mówi różne takie rzeczy i takim głosem, że mi to wiele daje do myślenia... przedewszystkiem baczność! Pojutrze wyjeżdża, będę jednak uważała, czy bez narażenia się można z domu wyjechać, może nie przyjadę... Czy hrabia już wie?

— Wie... zaklina, abyś koniecznie przyjechała, popatrz jaki blady, smutny; biedny hrabia tak cierpi, że do ciebie zbliżyć się nie może.

— Kilka słów mógłby przecież pomówić, tylu innych mówi ze mną...

— Kiedy nie tańczysz, tak to niebezpiecznie.

W téj chwili Józia podniosła głowę; zdawało jéj się, że tuż obok kozetki we drzwiach stoi wyniosła postać Rydynga z bladą twarzą, świecącem okiem.

Wyprostowała się, w drzwiach nie było nikogo, szepnęła coś do Liwall, przebiegła przyległy salon, męża nigdzie nie było.

— Przywidzenie, — szepnęła do siebie, — dziś mi się ciągle coś przywiduje...

Zaledwie odeszła Rydynżyna, Liwall skinęła na Janka, który podchmieliwszy sobie trochę, prawie nie odstępował Rydynżyny i był przedmiotem żartów całego towarzystwa.

— No i cóż chłopcze, *comment ça va-t-il?*

— Nietęgo, — odparł Janek rozstawiając nogi szeroko przed kozetką, — nietęgo!

— A to czemu?

— Rydynżyna widocznie mnie unika... ten tyran patrzy na nią ciągle, oka z nas nie spuszcza.

Powiedziawszy prawdę, Rydyng nawet nie uważał na to dziecko, które się tam kręciło koło jego żony.

— O! to prawda... aleś mu dopiekł i dojadł do żywego. Nie tańczy... no! niby po teściu w żałobie... ale się nie umizga, on! sławny umizgus. Uważałeś przy kolacji, nic nie jadł... nie pije, nie pali, z nikim nie mówi. Blady, zielony, o... popatrz!

Rzeczywiście twarz Bonawentury była w téj chwili prawie zieloną.

— Popatrz, jak wąsem strasznie kręci... Janku, strzeż się, bo będzie źle!.. powiedzieć miał: „nauczę ja tego młokosa gołowąsego,“ nie wiem, czy to prawda, ale przepowiadam, że cię wyzwie. Skompromitujesz Józię; ona i tak taka nieszczęśliwa, nikt prócz mnie nie wie, co się w tem biednem sercu dzieje, ile tam walczy obowiązków! ile kolizji!.. Jak on ją tyranizuje!.. Dla niéj, dla niéj daj pokój, zaniechaj tego Janku, ona cię prosi przez moje usta... wyzwie cię i zabije, niech krew nie spada na jéj sumienie.

W téj chwili zbliżył się hrabia angażując ciocię do walca. (To była moneta, którą hrabia płacił pani Liwall za pomoc w miłostce.)

Janek wyprostował się dumnie.

— Niech spróbuje! — rzekł głośno.

— Prawda hrabio, — zapytała Liwall, — że Rydyng strasznie strzela?

— W czarne... odrazu w czarne, — odparł uśmiechając się hrabia Mider.

— A! awantura! straszna awantura... — szepnęła Liwall przeginając się wdzięcznie (według własnego zdania) na ramieniu hrabiego, który zły jakiś i niekontent mścił się na swoich danserkach. Żadna mu wzrostem dorównać nie mogła, a że się przy tańcu prosto trzymał, więc wszystkie biedaczki po ziemi zaledwie nóżkami dotykały, pani Liwall zaś będąc szczególnie niskiego wzrostu, może ze wszystkich obecnych najmniejsza, tańczyła po powietrzu i były chwile, w których jéj się zdawało, że należy do aeronautów. Dla widzów przebieranie nogami w tempie walca po powietrzu, szukanie trwalszéj podstawy, było bardzo komicznym widokiem.

— Jaka awantura? — zapytał hrabia sadzając Liwall po nużącym tańcu.

— Wyobraź sobie hrabio, Janek zakochany w Józi.

Porucznik ręką kiwnął.

— Głupiec... — rzekł.

— Ale powiadam ci, hrabio, wyrabia historje, komedje!.. rzuca się, chce mordować Rydynga... deklamuje całe ustępy o poświęceniu dla niéj, o wyrwaniu jéj z rąk tyrana...

— Cóż to może komu szkodzić, niech gada trzy razy tyle! z tego można się tylko śmiać, a co najwięcéj, kompromituje swój rozum.

Liwall zaczęła się śmiać.

— A! jesteś wyborny hrabio! ani słowa!.. Czy sądzisz, że żądam, abyś temu zaradził? abyś ratował życie Rydynga? Chciałam tylko, abyś się pośmiał wraz z nami... i nic więcéj. Chciéj hrabio rozważyć, jak arcykomiczną historją jest cała ta awantura i jakbyśmy się doskonale ubawić mogli, gdybyśmy się do tego zabrali z dobrej strony. Wyobraź sobie, przed chwilą mówił ze mną nasz bohater; jego mina, jego ruchy, wyrzucania mankietów, gdym mu mówiła, że Rydyng jest wściekły na niego... a! to coś nadzwyczajnie wybornego, najlepszy artysta komik mógłby się tych min od niego uczyć. Biedny chłopiec, ja go tak lubię!.. Wyobraź pan sobie, gdym mu powiedziała, jaki Rydyng zazdrosny, zerwał się i powiedział, że z upragnieniem czeka na jego sekundantów. Zlituj się! gdybyś go wyzwał w imieniu litwina, mielibyśmy zabawkę jak mało!.. pomyśl, pomyśl pan nad tem!..

Mider się roześmiał, ale dodał serjo:

— Nie przeczę, byłoby to arcyzabawnem, są jednak rzeczy, z których honorowemu człowiekowi żartować nie wolno. Ja jako oficer, zresztą jako człowiek honoru, do takich intryżek mięszać się nie mogę, pojedynek rzecz święta. Będę się śmiał wraz z innymi, ale nie dam sposobności nikomu do śmiania się ze mnie.

Liwall zacięła usta, była jéj bardzo nie w smak ta mowa w ustach ukochanego siostrzeńca.

— Ależ hrabio, jesteś nadto skrupulatny, — rzekła, — taki niewinny żarcik, cóż on może komu szkodzić! Zresztą, — dodała, — jeżeli nie chcesz

wystąpić czynnie, zachowajże się przynajmniéj biernie... nie psuj nam zabawy.

Mider kiwnął ręką, nic mu nie zależało na Janku, Rydyngu i cioci Liwall, dla któréj oddawna nie miał nawet poszanowania.

— Bylem ja w to nie był wmięszany.

Liwall wstała z kanapki.

— Proszę cię, hrabio, nie psuj mi żartu, bardzo proszę.

Liwall pobiegła wprost do stolika, przed którym stał Janek z kieliszkiem wina w jednéj, a kawałkiem torta w drugiéj ręce.

— Panie Janku! Janku! — zawołała oglądając się niby, czy ich kto nie podsłuchuje, a zobaczywszy w drugim kącie sławnego plotkarza, ciągnęła daléj półgłosem tak, aby on wszystko słyszał: — Ostrzegałam cię, mówiłam, prosiłam... nie uznałeś moich słów za godne uwagi... stało się to prędzéj, niżeś się spodziewał... przygotuj się na nieszczęście.

— Boże! — jęknął Janek, — ona przezemnie nieszczęśliwa...

— Ona jeszcze nie wie o niczem, ale rzecz straszna!.. Rydyng polecił Miderowi, aby cię wyzwał; miał mu postawić dwie ostateczności: albo uznasz, żeś postępował jak żak, bez znajomości świata i ludzi, i nadal względem jego żony i niego samego inaczéj zachowywać się będziesz, albo...

— Ale cóż ja zrobiłem, moja ciociu! — wołał płaczliwym głosem Janek, — powiedz sama, co ja zrobiłem?..

— Już to czystym w téj sprawie wcale nie

jesteś... krew w tobie nie woda i nad uczuciami panować nie umiesz.

— Kiedy ja ją kocham! kocham nad życie!..

— Pst! ciszéj! kto usłyszy... zresztą pytaj się hrabiego, on ci opowie bliższe szczegóły.

Janek pobiegł do Midera, a plotkę tymczasem poniosła daléj ciocia Liwall i ów, który niby przypadkiem słyszał ich rozmowę. W pół godziny całe towarzystwo prócz Rydynga wiedziało o pojedynku.

Starsi, poważniejsi kiwali głowami i nie wierzyli, kobiety i młodsi patrzyli z ukosa na bladego, milczącego Rydynga i różne rzeczy szeptali.

— Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze, — a inni robili parodję: — temu na stare lata da młodą żonę.

— Widzicie, jaki zmieniony? — szeptano w innéj stronie, — inny człowiek... burzy się stary zazdrośnik, tyranizuje nieszczęśliwą kobietę... nie da jéj pogadać ani pożartować... zazdrosny o Janka! zgroza! dziecko wyzywać!..

I oburzenie przeciw Rydyngowi rosło i potęgowało się.

Nikt nie spojrzał w serce tego człowieka, nie zmierzył ciosu, który go spotkał i nie ulitował się boleści jego, nawet nie popatrzył na robactwo, co mu serce toczyło, ale go każdy sądził.

Resztę wątpliwości w prawdziwość bajki o wyzwaniu obalił Janek biegający i szukający po wszystkich pokojach Midera.

Hrabia unikał go jak mógł, nie chciał mięszać się do intrygi i nie chciał jawnie wystąpić przeciw pani Liwall.

Zapytywany odpowiadał uroczyście, że nic nie wie o niczem, ale nikt temu już nie wierzył i twierdzili, że porucznik zatrzymać chce w tajemnicy całe zajście.

Janek, jak powiedzieliśmy, obalił resztę wątpliwości, gdy po długich poszukiwaniach zobaczywszy Midera, nie uważając na nikogo, dopadł go i pociągnął na stronę.

— Hrabio! czego Rydyng chce odemnie? — zapytał go wzburzony, trochę podpity, zupełnie oszalały.

Porucznik rzucił na niego spojrzenie, które wyraźnie mówiło:

— O ośle! ośle!..

Machnął jednakże ręką.

— Co ja wiem, czego Rydyng chce od pana? idź go się zapytaj... takie rzeczy nie załatwiają się na balu i nie psuje się tem ogółowi zabawy.

Janek poszedł z głową spuszczoną.

— Straszna kolizja obowiązków... — mruczał do siebie dwudziestoletni młodzieniec, wyglądający na lat osiemnaście, który się wąsów doczekać nie mógł. — Straszna kolizja... z jednéj strony honor mój własny, z drugiéj jéj sława i dobre imię... Zabić go! uwolnić ją od tyrana!.. i potem jak oswobodziciel rzucić jéj się do nóg!.. A jeżeli go nie zabiję... wtenczas zabiłem ją moralnie!.. powiedzą: Rydyng bił się z Ryskim, bo Ryski jest kochankiem jego żony... i kto wie, co jeszcze powiedzą... co wymyślą... A jeżeli się bić nie będę, Rydyng będzie miał prawo obić mnie szpicrutą na każdem publicznem miejscu... i nazwać tchórzem... Ha! daremnie! kiedy mnie zmu-

sza, cóż mam robić! muszę... Odpowiem jutro hrabiemu, gdy mnie wyzwie: Panie hrabio, gotów jestem bić się z Rydyngiem, chociażby na armaty... Hm... ale on strzela w czarne! powiedział hrabia. Pozwalam sobie jednak, powiem daléj porucznikowi, ja, „młokos gołowąsy“, jak o mnie się wyraził Rydyng, zwrócić jego uwagę na to, co powie świat, że on się bije ze mną o swą żonę? Skompromituje ją... Nie panie! ja wolę, niech mnie zelży... a nie zgubię kobiety, któréj sława jest mi droższa jak mój honor... Nie panie! nie biję się i nie przeproszę!.. niech się dzieje co chce, jak chce, to mi wszystko jedno.

Być może, że Janek był trochę tchórzem podszyty i chował się pod płaszczyk honoru Rydynżyny, ale to pewna, że postanowienie jego było niezmienne.

Rydyng mając na wsze strony baczne ucho, dosłyszał téż wnet różne szepty naokoło siebie, dojrzał dziwne jakieś zachmurzenie się ogółu.

Posłuchawszy bliżéj w grupie rozmawiających, dowiedział się o pojedynku i jego przyczynie.

Rozdrażniony, gniewny, w pierwszéj chwili wpadł we wściekłość, zatarł ręce, oczyma błyskał jak ryś raniony i nie wybuchnął jedynie dzięki wyrobionéj do najwyższego stopnia sile panowania nad sobą.

— Mógłbym zepsuć wszystko... — powtarzał ściskając sobie głowę dłońmi, — ja chcę być i będę spokojny...

Ale ręce mu drżały i cały był jak w febrze.

Ten człowiek zimny i spokojny, ale namię-

tny, stawał się gorączką gdy go podrażniono, ale nie tracił władzy panowania nad sobą nawet w największéj boleści.

Pracował lat tyle nad tem, aby zyskać powagę i wzbudzić poszanowanie dla swéj osoby.

Usunął się od ludzi, zamknął i otoczył tajemnicą, bo jako psycholog wiedział, że tajemniczość imponuje tłumowi.

Ustawił sobie piedestał powagi i zdawało mu się, że się nań już wydostał i upozował, jak konsul lub senator rzymski.

Zdawało mu się, że ludzie wymawiając imię jego czynili to z pewnym rodzajem uszanowania, aż tu nagle dowiaduje się, że jest przedmiotem żartu i zabawki, że nim straszą dzieci lub półgłówków, a miłość jego dla żony jest polem do dowcipów i uwag ironicznych.

Byłby może w stanie darować żart z siebie, przebaczyć i udrapować się jeszcze poważniéj na swoim piedestale, aby gawiedzi zaimponować — obojętnością; pokazać, że te głosy nie dochodzą do uszu jego, rozbijają się u stóp piedestału, a rodzą jedynie przez zazdrość.

Ale wmięszania żony swéj do żartu pod żadnym warunkiem darować nie mógł. To był najdroższy skarb jego, najwyższe szczęście, najcenniejsze dobro, którego ludziom naruszać nie wolno! i patrzéć nie wolno! i złośliwym językiem nie wolno profanować!..

I chociażby nawet prawdą było to, czego się domyślał, za czem szpiegował, czego przed samym sobą jeszcze nie śmiał pomyśléć ani przypuścić, ludziom nic do tego!

Bo i cóż ich obchodzi hańba jego? Co im do tego, czy jego żona nosi godnie swe nazwisko? Nie dzielił się z nimi pierwszą boleścią, nie podzieli i drugą, któż im dał prawo do sądzenia go?

O! potrafiłby on dzisiaj zaraz przemówić do nich takim słów gromem, żeby oniemieli i z pewnością nikt nie ośmieliłby się wmięszać do spraw jego, gdyby nie te podejrzenia straszne, które nurtowały po jego sercu.

Wystąpieniem takiem albo zepsułby wszystko i niczego się nie dowiedział, albo ściągnął na żonę uwagę wszystkich i klątwę opinji publicznéj. Kto wie zresztą, czy staremu litwinowi i o to nie chodziło, aby on pierwszy sądził żonę.

Po głębszéj więc rozwadze, ochłonąwszy ile mógł, zawołał Janka na chwilkę rozmowy.

Zarzucili na siebie futra i wyszli na ganek.

Gwiazdy bledniéć już zaczynały i kury piały, tony muzyki dochodziły ich uszu, śnieg lśnił się na ziemi i drzewach.

Janek drżący, rozgorączkowany, z szumiącą głową, stał przed wyniosłą i dumną postacią litwina, jak umysłowy karzeł przed olbrzymem, ale podpity trochę przybrał impertynencką minę i powtarzając sobie, że cierpi dla ubóstwionéj kobiety, stawał się coraz więcéj aroganckim.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał dość szorstko Rydynga, wystawiając jednę nogę naprzód i przybierając pozę à la Napoleon I.

— Przedewszystkiem, — odparł spokojnie Rydyng siadając na kanapce, — życzę sobie, abyś pan usiadł, zebrał ile możności pozostałe zmysły i posłuchał co powiem.

— Zbierać zmysłów nie potrzebuję... — zaczął szorstko.

— Panie Ryski, — przerwał Rydyng, — chciéj pan być spokojniejszym i dowieść tem, że rzeczywiście zbierania zmysłów nie potrzebujesz; zdaje mi się jednak, że to nie zawadzi. Jesteś pan jeszcze młodym, bardzo młodym, i czasem przebrawszy miarę w napoju i zabawie bardzo dziecinnym. Nie zastanawiasz się, że są rzeczy tak święte dla jednych, że drugim nie godzi się ich ruszać, nie wolno bezkarnie profanować. Do tych bezwątpienia liczy się honor i dobre imię.

— Mój panie!

— Tak jest, mój młody panie, jesteś jeszcze zadziecinnym, abyś nawet mógł rozumiéć, jak doniosłego pozwoliłeś sobie żartu, puszczając pogłoskę, żem cię wyzwał na pojedynek... Ja! Rydyng! stary, siwy, zestarzały w walce z życiem i w doświadczeniu, wyzwać ciebie, młokosa, który stąpać jeszcze po świecie nie umiesz!.. Gdybyś był pomyślał nad tem, poznałbyś, że tylko siebie narażasz na śmieszność, bo temu, abym „ja“ — dodał dumnie, — zazdrosnym był o ciebie! nie da i nie może nikt dać wiary.

— A przecież tak jest, — przerwał głupkowato Janek, — bo gdyby tak nie było, nie byłbyś pan dawał polecenia hrabiemu Miderowi, aby mnie wyzwał.

— Widzę, żeś pan zupełnie zgłupiał.

— Mój panie!

— Chciéj się trochę miarkować w twoim impertynenckim tonie, młodziku, bo siwym włosom moim należy się poszanowanie... Wezwałem cię

tutaj, aby ci powiedzieć, że żądam odwołania publicznego plotki, którą puściłeś.

— Tak, ja wprawdzie mówiłem o tem, to prawda, ale mówiłem prawdę; hrabia Mider powiedział, żeś mu pan dał polecenie, aby mnie wyzwał...

— Mider to panu powiedział?

— Nie mnie... pani Liwall.

Rydyng syknął jakby na węża nastąpił:

— Liwall! Liwall!.. znowu ta przeklęta intrygantka...

Janek zaczął mruczeć:

— Na panią Liwall w mojéj obecności ja nie pozwolę!..

Rydyng chwycił go za rękę.

— Mój kochany, — przerwał w gniewie, — jeszcze tobie po brodzie mleko ciekło, jak ja znałem ludzi i ocenić ich umiałem wedle wewnętrznéj wartości, a nie wedle potęgi języka. I dzisiaj, jako stary człowiek radzę ci, porzuć przyjaźń z Liwallami i jéj podobnemi, zaprowadzi cię to do zguby, do ruiny moralnéj, a dziś już jakże nisko upadłeś, kolportując plotki i dysząc intrygami...

Janek zerwał się; Rydyng zatrzymał go za rękę:

— Widzę, że jesteś ofiarą i igraszką téj ploteczki równie jak ja... ale dziś położę kres jéj bajkom, ja lub ona!..

Janek chciał coś jeszcze mówić, ale Rydyng zostawiwszy go na ganku wbiegł do pokoju.

Miarka się przebrała.

— Zabiję ją w opinji publicznéj tem przy-

najmniéj, zemszczę się za wszystkie plotki, za wszystką krzywdę, którą mi wyrządziła.

— Panie Mider! — zapytał przechodzącego hrabiego, a podniósł głos umyślnie, aby go wszyscy słyszeli, — doszła uszu moich pogłoska, jakobyś pan miał wyzwać pana Ryskiego w mojem imieniu; co to znaczy?

Naokoło nich zaczęli się grupować mężczyzni.

— Jakto co znaczy?.. — zaczął mięszając się widocznie porucznik.

— Tak, co znaczy, że pozwoliłeś sobie pan w mojem imieniu wyzwać Ryskiego?

— Ja!.. Ja wyzywałem pana Ryskiego?.. Panie Janku, — dodał do Ryskiego, który nadszedł za Rydyngiem, — czy ja pana wyzywałem?

Janek czuł, że była to stanowcza chwila w jego życiu, że oczy wszystkich zwrócone były na niego.

Odważne i otwarte wystąpienie Rydynga postawiło litwina znowu na niejakiéj wyżynie u ogółu i szło tylko o zwycięstwo między porucznikiem i Ryskim.

Janek uczuł, że egzystencja jego zagrożona i postanowił się bronić, nie oszczędzać nikogo, a jeżeli kto bawił się i żartował jego kosztem, zemścić się na nim stokrotnie.

Ważna ta chwila sprowadziła mu przytomność umysłu, otrzeźwiła, a wyrazy Rydynga „stałeś się przedmiotem żartu“ w dwóch słowach objaśniły pozycję rzeczy.

— Tak, panie hrabio, — odrzekł wysuwając się naprzód, — na moje zagadnienie w tym przedmiocie odparłeś, że nie jest to miejsce do mówienia o tem i zabawy takiemi rzeczami innym

się nie psuje. Nietrudno odgadnąć, co znaczą te słowa.

Porucznik zbladł, zacisnął zęby i zapominając zwykłéj swéj grzeczności wybuchnął po niemiecku:

— Tak, ale trzeba być dzieckiem, tak jak pan, aby się nie poznać na żartach i użytek z nich taki robić!..

Głuchy szmer w zgromadzeniu dał poznać Miderowi, że opinja ogółu jego strony nie trzyma, ale Rydyng nie dał mu się zastanowić nad naturą tego szmeru.

— Żart powiadasz! — krzyknął Bonawentura, oko mu błysło jakby się białkiem na wierzch wywróciło, — żart! czy wiesz pan co to jest żart? Gdzie uczą żartować z honoru i czci, gdzie dowcipują ze sprawy honorowéj, naruszając rozum i sławę cudzą?

Mider zagryzł usta, czuł, z twarzy poznawał, że na poparcie coraz liczniéj zgromadzających się słuchaczów liczyć nie może.

— Zapewne, — rzekł, — nie godziło się tak żartować, zrobiliśmy to w szale zabawy, w chęci pożartowania z Janka, zabawienia się jego kłopotem... Nie ma w tem nic tak złego, dziwię się, dlaczego pan to tak serjo bierzesz. Zresztą co do mnie, zachowałem się zupełnie biernie; przyrzekłem tylko pani Liwall, że nie zdradzę żartu i nie zepsuję zabawy, dlatego dałem Ryskiemu wymijającą odpowiedź... tyle mojéj winy... zresztą nie mięszałem się do niczego.

Rydyng tupnął nogą.

— Liwall!.. Cóż to do krocset miljonów djabłów, czy waszeć jesteś popychadłem téj czarownicy? Ona sobie żarty stroi z ludzi i rzeczy, które święte są dla innych, a pan je roznosisz? oficer! pan jesteś zakałą rodu męskiego tak jak ona kobiecego!

— Panie! pan mnie obrażasz!.. — krzyknął Mider, któremu krew się burzyła w żyłach na tyle obelg.

— Czyś pan na to nie zasłużył? — odparł spokojniejszym głosem Rydyng. — Nie cofam ani jednego słowa, którem powiedział, owszem powtarzam wszystko raz jeszcze. Przyszedłem tu w zamiarze wyzwania pana, ale widzę, żeś nie wart, abym z tobą pałasze skrzyżował. Jesteś babiarzem, piecuchem... Źle jest, jeżeli błądzi mężczyzna, ale hańba mu, jeżeli błąd kryje pod płaszczyk kobiety i nią się zasłania...

— Panie Rydyng! wobec wszystkich wyzywam pana... tylko krew maże tyle zniewagi.

— Nie mogę panu służyć... gotówbyś panią Liwall na plac wysłać, a z kobietami ja nie umiem walczyć. Na przyszłość jednak radzę panu, wystrzegaj się naruszenia mojéj osoby, mojego imienia i mojéj sławy, bo gotówem i ja pożartować. W lasach moich jest dosyć kijów na podłych i dość lokai w moim kredensie.

— Tylko tchórze znieważają, a krwi swojéj narażać nie chcą w równéj walce... podłością jest lżyć, a obrażonemu zadośćuczynienia nie dać.

— Odwołuję się do was panowie, jako do sędziów polubownych, czym ja zrobił krzywdę porucznikowi? mam się z nim bić czy nie?

— Nie! — zawołał głos jeden.

— Nie! nie! — powtórzyła większość.

— Was moi panowie, — rzekł Rydyng zwracając się znowu do zgromadzonych, — przepraszam serdecznie, żem wam przerwał tak wesołą zabawę moją smutną dolą. Chciałem jednak być czystym w waszych oczach i dlatego to dzisiaj poruszyłem tę kwestję, aby ją załatwić na razie, dopókiście wszyscy obecni. Uporawszy się ze sobą, poruszę jeszcze jednę kwestję, jeżeli mi łaskawie chwilkę jeszcze darujecie. Oto w przyległym pokoju zasiada z waszemi córkami i żonami kobieta, która jest zakałą społeczeństwa naszego. O! wy wiecie dobrze, że to nie pierwsza igraszka, nie pierwsza intryga, któréj sobie pozwoliła, a ta w jéj ustach, pod jéj kierownictwem i przy jéj pobudkach i motywach, jest łotrowstwem... Zręczna, tem niebezpieczniejsza. Zatruwa serca waszych niewinnych sióstr, kazi i brudzi czyste ich umysły. Wiem dobrze, że niejeden z was myśli tak jak ja i niejeden tylko dla braku odwagi do dziś z nią stosunków nie zerwał. Każdemu z was zrobiła krzywdę słowem czy uczynkiem, szyderstwem lub intrygą. Ja daję początek, użyjcie dzisiejszéj plotki za impuls, zamknijcie przed nią domy swoje, chrońcie przed intrygantką strzechy wasze, bo zamieszka w nich rozpacz i zepsucie... Kto uczciwy, pójdzie za mną, do was odzywam się poważni starcy, do was młodzieży, w któréj nadzieja kraju i przyszłości. Zepsucie i zgnilizna sprowadza butwienie i rozkład, tylko prawda i zamiłowanie cnoty może

nam dać byt i wolność, którąśmy zepsuciem i rozpustą stracili.

Stary odwrócił się i odszedł dumnym krokiem, pewny, że słowa jego bez skutku i wrażenia nie zostaną.

Hrabia tymczasem drżał z gniewu, czerwieniał, to bladł, a jego godność własną i ambicję bolało to najwięcéj, że niejeden, gdy się zwrócił doń z usprawiedliwieniem, odwrócił się i odszedł pod wrażeniem gorących słów Rydynga.

Widząc, że nie ma co dłużéj robić wśród ogólnéj niechęci, rozdrażniony Mider chciał odejść, Ryski go zatrzymał.

Janek nadął się jak paw, a widząc, jakie wrażenie zrobiła powaga Rydynga, stał się pompatycznym, i — darujcie trywjalne porównanie — wyglądał jak owa żaba, która nogę nastawiała gdy konia kuto.

— Za pozwoleniem! — rzekł młodzieniec wyglądający na lat szesnaście a mający dwadzieścia pięć, — za pozwoleniem! ja panu przebaczam.

Mider splunął, tupnął i wyrzucił przekleństwo.

— Zwarjowałeś pan! — zawołał, — kompletnie zwarjowałeś!..

Hrabia zirytowany siadł na konia i odjechał, poprzysięgając zemstę Rydyngowi.

— Przeklęty kraj... Jutro się podam o przeniesienie do innego pułku... te polaki to warjaty, sami nie wiedzą czego chcą.

XI.

W kilka dni Rydyng pożegnał żonę i zapowiedział jéj, że na dłuższy czas wyjeżdża z Niskiego.

Józia pomimo usiłowań i starań Rydynga poznała, że stary bardzo się zmienił, stetryczał, spochmurniał, a ponure jego, milczące wejrzenie nie zwiastowało nic dobrego.

Rydyng jednak składał niehumor swój na starość, chorobę, na bezustanne migreny, łamanie w kościach i litowaniem się nad losem przykutéj do chorego starca, znękanego, zimnego, uśpił zwolna czujność żony, obudzoną na zabawie w Ronicy, tak, że skoro wózek odwożący Rydynga znikł w długiéj topolowéj alei, piękna Józia wysłała konnego do Plotnik z bilecikiem.

Bilecik był krótki, lakoniczny, nic niemówiący i nawet na wypadek dostania się „w niepotrzebne ręce“ nie stanowił żadnego dowodu.

„*Mistress Liwall*“ taki był adres; Józia adresowała zawsze po angielsku, chociaż tego języka nie umiała. Daléj były wyrazy: „popołudniu — dwa dni“, a podpisane było: „Hrabia“.

„Mistress Liwall“ odebrawszy ten bilecik usiadła zaraz do stolika i napisała na woniejącym papierze listowym: „Sir Mider, — Plotniki“ i za chwilę nowy posłaniec powiózł tę karteczkę do hrabiego.

W godzinę potem przyjechała Józia.

Grała dziś rolę lękliwéj, bojącéj się i nieszczęśliwéj ofiary, czy może rzeczywiście trapiły

ją przeczucia, bo właściwością zbrodni jest przeczucie nieszczęścia.

Może Anna, która tak dobrze znała Józię, nazwałaby te przeczucia zniecierpliwieniem, pochodzącem z niestawienia się porucznika, którego daremnie oczekiwano już przeszło dwie godziny.

Józia w tym czasie nagadała tak wiele różnych rzeczy, że najbieglejszy stenograf oddaćby ich nie mógł, a myśli jéj pod wpływem cioci Liwall były tak rozmaite i tak niekonsekwentne, tak gwałtownie po sobie następujące, tak następna do poprzedzającéj niepodobna, że psycholog w téj jednéj chwili mógłby zrobić więcéj spostrzeżeń i studjów nad namiętną kobietą, dobrą w gruncie serca, a zepsutą złym wpływem, aniżeli nieraz przez długie lata.

Pani Liwall przypatrywała się swéj wychowanicy i śledziła jéj wyrażenia i myśli, jak tygrys nasycony, rozdzierający swe ofiary jedynie dla widoku krwi, dla przyjemności patrzenia się na konwulsyjne drgania nerwów i muskułów. Od czasu do czasu rzucała słowo, myśl, jakby się chciała przekonać, czy nie zamarło jeszcze czucie w jéj ofierze, jakie jest i jak się objawi? Tygrys, gdy ofiara leży bez czucia, próbuje, czy życie z niéj już uleciało, drażniąc ją rozdzieraniem ran i bolączek.

— Nie ma go, — mówiła śliczna kobieta z rumieńcem niepokoju na licu, biegając od okna do okna, — nie ma!.. już nie przyjedzie!.. on mnie nigdy nie kochał... boi się Rydynga... Pewnie, tyle zaiewag...

— Miłość nie zna obelg, — wtrąciła Liwall.

— Więc dlaczegóż go dotąd nie ma?.. Już się ściemniać zaczyna...

— Może mu co przeszkodziło... pewnie jeszcze nadjedzie.

— Ależ tego jeszcze nigdy nie było!.. zawsze on był pierwszy; dziś już do tego przyszło, że ja mam czekać... Chyba biletu nie odebrał.

— Być może... samaś mi mówiła, że Rydyng ma różne podejrzenia, że stetryczał, spochmurniał, może się zaczaił i list odebrał... posłaniec dotąd nie wrócił.

— Co ciocia napisała? może było co kompromitującego?

— Nic nad to co zawsze: „Sir Mider, Plotniki“, z tego się nikt niczego nie dowie.

— Chyba może Bonawentura zamiast do N. pojechał do niego... może już wie o wszystkiem... o! on na niepewne nic nie zacznie! jego wystąpienie w Ronicy... O! pewnie, pewnie już wie o wszystkiem!..

— To bardzo być może! a przyznam ci się, żebym kontenta była, żeby się dowiedział, żeby go bolało serce, o! bolało, chociażby pęknąć miało... Niewiele on mi swojem wystąpieniem zaszkodził, dziś dziesięciu do mnie mówić nie będzie, a za tydzień i oni się przeproszą, bo bez cioci Liwall się nie obejdą... ale zawsze jego wystąpienie jest dla mnie uchybiające i zemszczę się na nim... o! zemszczę!..

Józia wcale nie słuchała jéj wywodów.

— Nie ma go jeszcze, nie ma... porzucił mnie... o! nie! nigdy na to nie pozwolę! sama

z nim zerwę!.. a może... któż wie, może Rydyng jest u niego?..

— Bardzo być może... stary do wszystkiego zdolny!.. wyzwie hrabiego i zabije...

— A! Boże! ja nieszczęśliwa!.. oni może się biją w téj chwili... może który kona... Tam mąż i kochanek... sama nie wiem, którego lepiéj kocham... Rydyng taki dobry... poczciwy dla mnie... kochany, jedyny... Dał mi majątek, pieniądze, otoczył dostatkiem... Hrabia mnie tak strasznie, gorąco kocha. Boże! Boże! ja właściwie dla hrabiego nie mam żadnego uczucia, pozwoliłam mu się kochać, bo cóż było robić? niech ciocia sama powie, czyby się nie był zabił... nie zamordował z rozpaczy?.. ratowałam tem jego życie!..

Nagle zerwała się.

— Pójdę... polecę... — wołała daléj Józia, w któréj od czasu do czasu wśród nagłych i silnych wstrząśnień błyskały chwile szlachetnych porywów, — padnę mu do nóg, wyznam wszystko... on jest szlachetnym, litościwym, wyrozumiałym, mądrym, wybaczy mi... niechaj krew nie pada na moje sumienie... niechaj mi nie plami serca i nie staje na drodze życia trup z rozdartą piersią...

— Szalona! on może nie wie o niczem... zkądżeby wiedział! może się nie domyśla nawet... Zgubisz mnie i siebie, i wszystko!..

— Nie! nie chcę go już nigdy widzieć... za chwilę rozkoszy płacić życiem niepokoju!..

Liwall spojrzała z pod oka na Józię i kiwnęła ręką obojętnie.

Znała ona aż nadto dobrze stałość i siłę po-

stanowień robionych w trwodze i niebezpieczeństwie, ale mimo to zawołała patetycznie:

— Otóż to jest dzisiejsza miłość, to są kobiety dzisiejszego wieku... lada niepomyślność, lada niepowodzenie albo raczéj pozór niepowodzenia, już przestaje kochać, nie chce widzieć ukochanego człowieka... o! nie tak to było za moich czasów... całkiem nie tak!.. Niepowodzenia zaostrzały, zagrzewały do czynu. Mój mąż pilnował mnie jak żaden, a przecież jeden człowiek, który mnie prawdziwie kochał, po gzymsie wdrapał się do mnie aż na pierwsze piętro... ale on mnie prawdziwie kochał... o! i ja jego kochałam gorąco, namiętnie... Wy już tak kochać nie umiecie, jak myśmy się kochali... I wyobraź sobie, mój mąż strzelał się o mnie, a ja jestem dumną, że się o mnie bili, byłam bohaterką, sławną, a ty?.. wstydź się; szkoda, że się nazywasz kobietą, bo wstyd naszemu rodowi przynosisz... kompromitujesz nas wszystkie...

— Ależ ciociu! jestem zgubiona, w opinji publicznéj zabita... żaden uczciwy człowiek ręki mi nie poda, jeżeli się o mnie mąż bić będzie... jeżeli z mojéj winy krew się poleje.

— To zależy od ciebie; jeżeli tak będzie, będzie to wyłącznie twoją winą, wyłącznie twoją. Kobieta powinna umieć zająć zawsze takie stanowisko, aby jej nikt nic zarzucić nie mógł... tak umieć kierować swoimi czynami, aby jéj nigdy nie można było udowodnić winy. Kocha się w tobie Mider, ha! cóż ty winna!.. tyś powinna takie stanowisko zająć, jakby to się działo przeciw twojéj wiedzy i woli, więc się lituj nad nim, że

biedny, nieszczęśliwy. Bije się o ciebie mąż, lituj się nad sobą, żeś biedna, uciemiężona, że on jest zazdrosny aż do warjacji, że cię maltretuje, męczy swoją miłością i zazdrością, i dawaj do zrozumienia, że ci to ubliża, iż on wątpi w taką jak ty cnotę.

— Ależ wszyscy wiedzą, jakim jest Rydyng.

— Twoją rzeczą dowieść, że jest innym i że tylko pozory takim go doskonałym zrobiły w opinji publicznéj, że tego wcale nie wart... to już wyłącznie zależy od ciebie, a jeżeli tego nie umiesz zrobić, nie potrafisz, nie możesz, to porzuć „życie“ i zamknij się w Niskiem. Doglądaj kucharza, szyj powijaki dla przyszłego Rydynga, którego z roskoszą na świat wydasz, jako owoc nieskażonego domowego pożycia... a potem pilnuj, aby pieluszki były wyprane, mleko zagrzane i dla drogiego tatuńcia na czas buljonik przygotowany...

— Ciotko! na Boga! on może w téj chwili kona!..

— Et, pleciesz!.. myślisz, że z tych starych litwinów rogata dusza tak prędko wyłazi. Biedny hrabia, co on cierpiéć musi, jeżeli go ten niedźwiedź obraca. Hrabia delikatny, salonowy, drażliwy, niejedno grubijaństwo znieść będzie musiał dla ciebie...

— Nie! nie! — zawołała Józia, — nie chcę go już widziéć... śmierci nie chcę miéć na sumieniu, a za chwilę rozkoszy płacić dniami i nocami niepokoju, to zbyt wielka ofiara... Odjeżdżam nazawsze, pożegnaj go ciotko.

Wzięła za dzwonek, aby kazać zajechać karecie i zapalić latarnie, bo ciemno już było zupełnie.

Liwall wcale jéj nie zatrzymywała, gdy w téj chwili zadudniła zamarzła ziemia pod kopytami końskiemi i wbiegł do saloniku porucznik od ułanów.

— A! — zawołała Józia przyskakując ku niemu i zapominając o postanowieniu, — czy nie spotkało pana jakie nieszczęście?.. mój mąż... dlaczego tak późno?..

— Tak pani, — odparł hrabia całując ją i przyciskając do piersi, dość tragicznym głosem,— spotkało mnie nieszczęście, zostałem przeniesiony do innego pułku, na Szląsk.

Rydyng tego samego wieczora powrócił do domu. Rumaki mimo zimnego chociaż pogodnego dnia szybko robiły bokami, pianę z wędzideł toczyły i mokre były jakby z kąpieli.

— Pani dawno pojechała? — zapytał kamerdynera, rzucając zmięszanie zdradzającem spojrzeniem dokoła.

— Po objedzie.

— Dokąd?

— Nie wiem proszę łaski pana.

— Każ mi dać herbatę.

Wypiwszy prawie jednym haustem herbatę, Rydyng kazał sobie podać konia, ubrał się w krótką lisiurkę, a że noc była już ciemna, wsunął do olstry rewolwer i nasunąwszy czapkę na uszy spiął konia ostrogami.

— Źle! — mruknął służący, który ze światłem wyprowadzał Rydynga, do stajennego, — kiedy stary mąż robi po nocy wycieczki, o! to źle... nasz pan musi mieć gdzieś kochankę, już mu się pani znudziła.

— Gadasz!.. prędzéj pojechał wyłapać paninego kochanka; nie widziałeś, jaki gruby pistolet schował do siodła.

Rydyng tymczasem wyciągniętym kłusem zbliżał się do Plotnik.

Koń nieprzywykły do nocnych wycieczek strzygł uszyma, parskał i stąpał jak po rozpalonem żelazie.

Staremu jeźdźcowi biło serce w piersi i krew kłębami uderzała do głowy.

— To być nie może!.. mnie się przysłyszało, jéj tam z pewnością nie ma... musiała do Ronicy pojechać... po takiéj scenie z pewnością już do Liwall nie pojedzie.

Wiara jego w żonę była tak wielką, że pomimo rozumowań serce nie chciało przypuścić zawodu.

Był już koło ogrodu w Plotnikach, gdy koń jego głośnem rżeniem przerwał ciszę nocną.

Noc była ciemna, zasłonięte chmurami niebo, ziemia zamarzła dudniła, śniegu na niéj nie było.

Rydyng poklepał konia po szyi, aby nie zdradził jego obecności, chciał go uspokoić, ale sam bardziéj uspokojenia potrzebował.

Nie wiedząc prawie co robi, zatrzymał konia, zsiadł i przywiązawszy go do sztachet, przeskoczył żywopłot i śpiesznym krokiem szedł

ku domowi. Sam jeszcze nie wiedział, co daléj pocznie.

— Nie ma!.. nie ma jéj tam z pewnością!.. To haniebnie z méj strony, że jéj tak nie wierzę, jutro nie będę śmiał podnieść na nią oczu i spojrzéć jéj w twarz... nie świeci się nawet... we wszystkich oknach ciemno.

W tem usłyszał szmer za sobą; noc była ciemna, nic nie mógł dojrzéć, słyszał tylko odgłos zbliżających się kroków.

Zaparł dech w piersi.

— Jak złodziéj skradam się do tego domu, to zgroza, to ohyda, o! do czego mnie na stare lata ta szalona miłość przywiodła!.. Miłość? Nie, mnie tu przywiodła zazdrość i nienawiść ku temu potworowi z kobiecym kształtem. O! ja jéj wydrę ze szponów moją gołąbkę.

Usłyszał głosy tuż obok siebie.

Stanął za drzewem, nie aby słuchać, lecz aby nie być widzianym.

— To ty, Marcinie? — mówił głos jeden.

— Ja, — odparł drugi, — dokąd idziesz?

— Oficer został na noc, idę kazać rozsiodłać konia.

— Oj, coś on tu często zajeżdża, jakby mu wrony gadały, kiedy litwinka będzie.

— Albo jest i litwinka?

— Przyjechała jakoś z południa i zaraz mną cisnęli do niego z listem, żeby przyjechał.

Głosy oddaliły się, choćby Rydyng chętnie był daléj słuchał.

Skroń paliła go jak stal rozżarzona, dech

zaparł w sobie, a kroplisty krwawy pot mimo zimna wystąpił na czoło.

Skoczył do konia, oderwał olstrę z rewolwerem, ręce mu drżały, włos jeżył się na głowie, a serce biło jak młotem, to zupełnie bić ustawało.

Nie było wątpliwości, i stary litwin zrozumiał wybornie, o kim była mowa, obracał pistolet w ręku jakby nie wiedząc, którędy kurek odciągnąć.

Zakrwawionemi oczyma spojrzał ku domowi, którego ponure ściany milczały grobowo.

W tem zdało mu się, że światło błysło w jednem oknie; poskoczył ku niemu jak szalony.

Wspiął się na gzymsie i spojrzał do pokoju, jakby chciał pożréć wzrokiem jego wnętrze.

Na środku pokoju stał mężczyzna w niebieskim mundurze ułanów, wąs miał zaostrzony, rumieniec na twarzy i oko błyszczące dziwnie namiętnym ogniem. Obok niego stała Józia.

Rydyng oczom swoim nie wierzył; patrzył, patrzył, wytężył wzrok... tak, to była jego żona!

Jednę rękę zwiesiła dłonią na ramieniu Midera, drugą trzymał hrabia przy swojem sercu, oczy zamglone miłośnie albo raczéj namiętnie patrzyły w jego twarz, a usta miała rozchylone jakby żądaniem i pragnieniem pocałunku.

Rydyng drżał cały... stracił pamięć i siły, trzęsącemi się rękami trzymał się framugi okna; nie czuł, nie słyszał, cała dusza jego i wszystkie zmysły zbiegały do oka.

Pokój oświecony był bladem światłem lampy, którą w ręku trzymała Liwall, niby szukająca czegoś opodal.

Rydyng nie byłby jéj wcale widział, bo od Józi i Midera oka nie odrywał, ale właścicielka Plotnik zbliżyła się do nich z lampą i przez to wpadła w oko patrzącemu.

Spostrzegłszy ją Rydyng syknął, jakby na jadowitą nastąpił gadzinę.

W téjże chwili hrabia objął wpół żonę Rydynga i gorący, długi wycisnął na jéj ustach pocałunek.

Rydyng drżał cały jak w febrze, w oczach mu pociemniało, rękami trzęsącemi pochwycił za rewolwer, który złożył na gzymsie, odwiódł kurek.

Puściwszy się framugi okna stracił równowagę i padł z muru na ziemię.

— Boże! — jęknął, — byłbym zabił drugą!

Podniósł się, chciał raz jeszcze zajrzéć do okna, ale osłabłe, pokrwawione i odrapane ręce nie miały dość siły, aby go dźwignąć; wola jednak tego człowieka, który miał duszę ze stali hartownéj, była silniejszą od jego bezsilności, dobył wszystkich sił, wsparł się na gzymsie i spojrzenie rozpaczy rzucił do okna.

O! wola to cudowne słowo.

Człowiek ten był jak oszalały; zimny rozum dyktowałby mu wejście do pokoju, ale nieszczęście przykuło go do tego miejsca. Chciał wzrokiem, spojrzeniem, myślą grom posłać na nich...

Ale w pokoju było już ciemno, cicho, jak gdyby tam nigdy nikogo nie było, jakby tam się żadne nie stało nieszczęście, bo był tam już tylko grób, grób szczęścia i wiary, miłości i życia, rozkoszy i dni radości tego biednego człowieka, którego całą winą było, iż kochał i wierzył nad

miarę, całą winą, że siwą głową pokochał gorąco młodą dziewczynę.

Ta ciemność, ta cisza grobowa była jeszcze straszniejszą dla litwina. Domysł, przypuszczenie jest straszliwsze, jak najgorsza pewność.

Rydyng patrzył chwilę w tę ciemnicę, wytężając daremnie wzrok, ucho; prócz ciszy i ciemności, prócz myśli strasznych, które jak węże kłębiły się i wiły po mózgu biedaka, nie było nic... nic.

Skoczył od okna i biegł ku drzwiom do ganku, w tem strumień światła błysnął przed nim z okna i długim pasem leżał na murze i na ziemi.

Rydyng spojrzał w okno. Na oknie stała lampa. Ostrożnie wspiął się na gzyms. Tutaj było mu to łatwiéj, bo na murze oparta była drabinka, na któréj w lecie rozpinano winograd.

Spojrzał w okno.

We framudze stał oparty plecami na oknie Mider, naprzeciw niego Józia rozpinała włosy i z uśmiechem czarownym patrzyła śmiejącemi oczyma na hrabiego.

Rydyng oniemiały z bólu utkwił w nią oczy, a gdy Józia zbliżyła się do kochanka i splecionemi rękoma wsparła na jego ramieniu, litwin stracił przytomność, konwulsyjnie chwycił pistolet i w chwili, gdy odgłos strzału rozdarł powietrze, stary Rydyng runął bezprzytomny, bezwładny z gzymsu i drabinki na ziemię.

Kula rozerwała dach i mur nad oknem, a gruz, cegły i wapno przysypały nieszczęśliwego męża.

W oddali zarżał przerażony koń i rozległ się odgłos uciekających kroków.

Straszna to była noc w plotnickim dworze.

Służba i wszystko co żyło, zerwało się ze snu i wybiegło do ogrodu.

Pani Liwall nie wiedziała, czy miała zemdléć, ale przypomniała sobie, że niedaleko jest hrabia, więc dla bezpieczeństwa dostała spazmów, a potem dopiero zemdlała.

XII.

Upłynęło lat dwa.

W dwóch latach wiele może zajść zmian na świecie.

Niejedna radość w boleść się zmieniła, a na krzakach kolczastych rozkwitły róże.

W Niskiem panowała cisza głęboka.

Służba rozbiegła się na wsze świata strony, konie uciekły od żłobów bujać na łąkach, a powozy i liberje bogate jadły móle i prochy.

W dywanach perskich i kobiercach, w aksamitnych meblach gnieździły się myszy, a w pokojach pałacowych gospodarowało opustoszenie.

W lewem skrzydle jeden tylko pokój zdradzał, że żył jeszcze ten człowiek, który miał tyle warunków do życia szczęśliwego, i po dwakroć gdy usta przytknął do czary napełnionéj szczęścia napojem, w czarze wiły się węże.

Rydyng zbezwładniały, prawie bez zmysłów, nieprzytomny samotne dni pędził, samotne ciężkie czarne godziny u zachodu dni swoich.

Bezwładny, zestarzały nagle, wyglądający na lat siedemdziesiąt, wychudły, pożółkły, dni całe

siedział w milczeniu w fotelu, z oczyma utkwionemi w jeden punkt, zapatrzonemi a niewidzącemi nic, bez czucia, bez wrażenia na wpływy świata zewnętrznego, przeżył już lat dwa.

Były chwile, w których zdawało się, że stracił pamięć i zmysły, ale wnet się ocknął i zwyczajna zawładała nim obojętność.

Od czasu, gdyśmy go ostatni raz widzieli, miał tylko jeden moment zupełnéj przytomności, świadomości siebie i tego co czyni.

Było to na drugi dzień po strasznym wypadku, o którym wieść z tysiącznemi komentarzami i ubarwieniami rozeszła się po okolicy.

Rydyng siedział w przyległym do swéj sypialni pokoju; wsparty był na stole dębowym obiema rękami i wzrok utkwił w obraz pierwszéj żony; mówił do siebie albo raczej do portretu i zdawało mu się, że postać na obrazie uśmiecha się do niego, lub chmurzy, gani lub potakuje.

Dwie duże łzy, palące jak ziarna rozpalonego piasku piekły go w źrenice.

— O! czemuż ty nie żyjesz jedyna moja Zochno, nie byłbym tak nieszczęśliwy dzisiaj...

Powstał, przeszedł po pokoju; dziwnie w pustej sali odbijało się echo jego kroków...

Stanął przed obrazem i patrzył nań z miłością głęboką, z czuciem bez granic.

— Czemuż dusza jéj niepodobna była do serca twego... podobieństwo oka zwiodło mnie starca biednego... podobieństwa ducha nie szukałem...

Patrzył na obraz.

— Wypędzić ją z pod dachu, którego progi shańbiła... wyszczuć psami... wygnać na mróz i chłód, na głód i nędzę?.. O! nie gniewaj się Zochno, — wołał biedny, — nie gniewaj, ty masz słuszność, jam więcéj winien jak ona. Chciałem zadowolnić i uszczęśliwić młodą kobietę, a zapomniałem, otumaniony, zaślepiony, że głowa siwa i zastare serce... Przebaczyć?.. o! ja wiem aniele, że ty przebaczyćbyś kazała, lecz nawet dla ciebie, dla pamięci twojéj przebaczyć nie umiem, nie potrafię... Zresztą gdybym nawet przez miłość twoję przebaczył dzisiaj, jutro walałoby się znowu w kale i błocie moje imię... Kobieta, która zeszła raz z gościńca na ścieżki, powraca na nie ciągle, powraca bezustannie, a chociażby nawet chciała iść daléj gościńcem życia, świat nie uwierzy, ludzie strącą ją na manowce, tak zbłądzić kobiecie nie wolno. Przebaczyć nie umiem, nie mogę... Mam więc tylko jednę drogę w téj kolizji: uwolnić się od niéj. Spokojnie, cicho, niechaj powraca do Plotnik, niech idzie do hrabiego jeśli ją przyjmie, niechaj robi co jéj się podoba... O Liwall! zabiłaś tę czystą duszę... jeżeli ci Bóg wszystkie grzechy przebaczy, tym jednym strącę cię w piekieł otchłanie.

Ułożywszy twarz ile mógł spokojnie, zadzwonił i kazał lokajowi zapytać się, czy z panią mówić może.

Nie czynił tego nigdy; od dnia ślubu stało się to po raz pierwszy.

Zastał Józię w kącie pokoju siedzącą w fotelu z chustką na oczach.

Wszedł, rzucił na nią okiem, krew w nim zawrzała.

— I ona cierpi, — pomyślał, — biedna... jam najwięcéj winien... O! gdy żona błądzi, zawsze mąż winien!..

Usiadł z twarzą chłodną, spokojną.

— Jaki on bez czucia! — myślała Józia patrząc przez chustkę na zimną twarz męża, — wczoraj chciał mnie zabić, dziś zimny jak głaz... Nic go nie obchodzę...

— Dzień dobry, — przemówił Rydyng nie patrząc na nią.

Józia poruszyła się na fotelu jakby załkała, nie odrzekła ani słowa.

— Dla obopólnego porozumienia się, — ciągnął Rydyng, — prosiłem o tę chwilę rozmowy, ze względu na panią i na mnie, ostatniéj w naszem życiu, i dlatego musimy wszystko między sobą ułożyć, umówić, aby żadna nie wynikła już ztąd kolizja, żadne nieporozumienie.

Odetchnął.

Józia korzystała z téj chwili przerwy i wedle planu ułożonego z ciocią Liwall wczorajszéj nocy, zsunęła się z fotelu i z teatralnym patosem padła mu do nóg, oplotła jego kolana rękami i jęczała.

— Przebacz mi! przebacz nieszczęsnéj...

Rydyng, który nadewszystko cenił prostotę, naturalność, odwrócił się ze wstrętem od aktorki, która przez przesadę zepsuła swą rolę.

Kobiecie nieszczęśliwéj byłby może przebaczył; ze stali miał duszę, ale i stal mięknie w ogniu... szalbierka nie mogła nic zyskać u niego.

Zsunął oplatające go ręce, cofnął się i rzekł sucho, ostro, szyderczym tonem:

— O! jakżeś ty nisko upadła! jak nędzną jesteś dzisiaj w moich oczach!

Józia zerwała się, obrażona godność własna błysła w jéj oku, dumnie podniosła czoło w górę, rumieniec zabarwił jéj lice.

Była śliczną w chwili, gdy podniosłszy się na palcach, nie z wyuczonym artyzmem, ale z godnością i dumą, którą pogarda obudziła, mierzyła męża od stóp do głowy.

Ale Rydyng nie zważał na nią wcale, odwrócił się i usiadł.

— Sądzę, że pojmujesz pani aż nadto dobrze... proszę, usiądź, — przerwał sobie, spostrzegłszy dopiero teraz jéj postawę dumną.

Kiwnął ręką obojętnie jakby mówił:

— Dumną czy żebrzącą, pozostaniesz na mnie bez wpływu, nie sil się daremnie na te komedje, — i nie zważając już na nią ciągnął daléj:

— Sądzę, że pojmujesz pani aż nadto dobrze, że po wypadku wczorajszym dłużéj pod jednym dachem pozostawać nam dwojgu niepodobna. Byłoby to katuszą nie do zniesienia dla mnie i dla ciebie. Gdybym był młodszy, ustąpiłbym z tych miejsc okropnych, gdzie każdy krok i każdy człowiek będzie mi przypominał ciebie, któraś mi zatruła dni starości i shańbiła siwe włosy...

— O! jam niewinna... — przerwała Józia, — tyś mnie wydał na pastwę, zostawiłeś mnie samą, opuszczoną porywom mojéj młodości, bez-

graniczna wolność dopomogła złemu, tyś mnie nigdy nie przestrzegł, nie pilnował...

— Prawda, zarzut twój słuszny... Wziąłem cię z pod ubogiéj strzechy, bo jeżeli gdzie, to zdawało mi się, że tam panuje miłość cnoty, szacunek dla poczciwości i szlachetności. Zdawało mi się, że ludzie, którzy nic nie mają prócz dobrego imienia, umieją czcić, szanować i dbać o ten skarb nieoceniony, który nazywają honorem, sławą, a któremu żaden ze skarbów ludzkich drogocennością nie dorówna, bo kto go raz utraci, niepodobny prawie do odzyskania. Zrobiłem cię moją żoną, a nie moją niewolnicą i dlatego zostawiłem ci wolność wszelką, bezgraniczną, jak tyś powiedziała. Byłoby uchybiło godności mojéj, gdybym był szpiegował kroki twoje. Ze względu na tę wielką młodość twoją, na którą się pani powołujesz i na niedoświadczenie, dawałem rady, prośby, i raz jeden w życiu moim rozkaz. Dałem go jednak tylko tobie, nie powtórzyłem nikomu i nie ustanawiałem żadnéj kontroli nad twemi krokami; jeżelim się dowiedział o przekroczeniu mojéj woli i życzenia, stało się to przypadkiem... O! ten przypadek! jak on ważną rolę odgrywa w całem życiu mojem!.. Nie dowiadywałem się nawet od ciebie, czy wykonanem jest moje życzenie, bo mi się zdało, że żona, którą ja postawiłem na straży godności domu mojego wraz z sobą, którą obdarzyłem bezmierną miłością, najgłębszą ufnością i wiarą, jaką się tylko żonie daje, nie jest jaszczurką wygrzewaną u piersi, ani złodziejką, która kradnie honor, wespół z łotrami obdziera ze czci moje imię i plugawi je

z takiemi Liwallkami! A jeżeli byłaś młodą, niedoświadczoną, trzeba było słuchać rad moich, bo ja ci dałem wszystko, com miał najdroższego i najświętszego: swój honor. Ale stało się... dzisiaj zapóźno o tem mówić, i daremnieby było mówić. Przystąpmy do innych rzeczy, a to uważajmy za fakt, którego odmienić niepodobna. Mieszkanie pod jednym dachem byłoby dla nas obojga nie do zniesienia, dlatego, jak słyszałem, masz zamiar się ztąd wyprowadzić? Wszak prawda?.. A ponieważ w moich dobrach nie ma dosyć wygodnego domu mieszkalnego, więc słyszałem, że w mojem sąsiedztwie wcale zamieszkać nie chcesz. Tak mi mówiono... Podobno także razi panią bardzo ostre i twarde litewskie nazwisko „Rydyng“ i nieznośne do wymawiania „Rydynżyna“, więc masz zamiar wybrać sobie inne.

Józi pierś wznosiła się gwałtownie; ton jego mowy nie ironiczny, nie szyderski, ale spokojny, był dla niéj strasznym; a owe „słyszałem“, „podobno“, któremi wyrażał swe rozkazy, upokarzały ją, bolały i drażniły; spokój, chłód jego przyprowadzał ją do gniewu, prawie do pasji. Nie widziała, że pod skorupą tego zimna wrzała krew w starym litwinie, że spokój sztuczny ukrywał drżenie i rozpacz.

— Że téż ja, — myślała, — życie całe spotykać muszę głazy-ludzi, ale poczekaj ty dumo stara wcielona w tę siwą głowę, ty przecież stracisz swój spokój.

— Nie, — rzekła głośno, bezczelnie. — Źleś słyszał! wcale nie myślę się ztąd wynosić, ani zmieniać nazwiska.

Rydyng spojrzał na tę śliczną kobietę, która jak bogini piękności stała wyprostowana nad nim z okiem, z którego rzęsy każdéj zdał się tryskać promień dumy, ale ukochana ta kobieta czy dla niego była już dzisiaj obojętną, czy umiał zapanować nad sobą, napozór nie robiła żadnego na nim wrażenia.

Wszystkie pozy, z takim trudem wystudjowane z ciocią Liwall i lusterkiem bezsennéj wczorajszéj nocy, zawodziły albo nie robiły żądanego wrażenia, albo wręcz przeciwne.

— Uprzedzono mnie o tem, — odparł Rydyng z pogardliwym ruchem, — dodano, że pani będziesz się drożyła i opierała, ale ja widzę, że daremneby były prośby moje, abyś tu zostać chciała, i zdecydowałem się uczynić zadość twéj woli. Ja, już jestem zastary i z domu tego się nie ruszę, ale tobie pani zostawiłem wszelką wolność...

Józia tupnęła nóżką.

— Otóż i ja się nie ruszę, i nazwiska, które mi pan dobrowolnie dałeś, nie dam sobie zabrać. Wszak cię przestrzegałam.

Rydyng się podniósł.

— Spodziewam się, że nie przymusisz mnie do niegrzeczności, — rzekł błysnąwszy okiem, — nie potrzebujesz się pani wysilać na wyłuszczanie mi konieczności wyprowadzenia się z tych stron, zostawiam ci zupełną wolność, skoro chcesz ztąd tak koniecznie wyjechać, muszę się z tem zgodzić, nie tyranizowałem cię nigdy...

— A więc ja tu zostanę.

— Dosyć tego! — przerwał litwin, — sądziłem, że nie będę potrzebował mówić kategoryczz-

nie rozkazywać, widzę, że to jest rzeczą konieczną, że jesteś bezczelniejszą, niżem sądził. W ciągu tygodnia opuścisz ten dom, a od dziś zmienisz nazwisko, bo mojego nosić ci nie pozwalam. Co jest twoją własnością, możesz sobie zabrać; wydam polecenie, aby furmanki i ludzie gotowi byli na rozkazy; odwiozą co rozkażesz i dokąd ci się podoba... Cztery tysiące złotych rocznie w miesięcznych ratach kasjer mój każdego pierwszego odsyłać ci będzie według wskazanego adresu; prawo to pobierania dożywotnéj pensji cztery tysiące złotych wolno ci jest zabezpieczyć na całym moim majątku, z tem zastrzeżeniem, że w chwili, w któréj przekroczysz granice mego klucza, albo używać będziesz mojego imienia, prawo dożywotnéj pensji gaśnie.

— Nie przyjmuję tej pensji! nie potrzebuję jéj!

Rydyng popatrzył na nią.

— Daj pani pokój temu! wiem, że ją przyjmiesz, bo i cóżbyś robiła?.. Wygódki lubisz, a pracować ci się nie chce... Poradź się cioci Liwall, ona praktyczniéj się na to zapatruje, albo swego przyjaciela, jeżeli ci zechce jeszcze radzić, gdy nie będziesz Rydynżyną... bo to faktem jest, że ludzie jego rodzaju tak długo kochają kobietę, dopóki im kochać nie wolno, dopóki to jest zbrodnią wobec społeczeństwa i męża, a skoro kobieta ta starga dla nich wszystkie złote nici, któremi opleciona szła dotąd przez życie: honor, rodzinę, imię i serce człowieka, który ją nad miarę kochał i ufał jéj, naówczas jakby przez zemstę, jakby zadość czyniąc wyż-

széj sprawiedliwości, porzuca ją uwodziciel jak zbrukaną szmatę... ale mniejsza o to, nie do mnie należy rozstrzygnięcie téj kolizji.

Rydyng mówił te słowa z głębokim smutkiem, jak prawdę, którą odkrył, patrząc wczoraj na swoją ukochaną żonę w objęciu Midera; nagle zmienił ton, jakby sobie przypomniał, że niepotrzebnie odkrywa słabizny swojego serca i dodał:

— A wtedy kobiety twego rodzaju szukają pocieszenia w objęciu innego. Żegnam cię... bez przekleństw i bez złorzeczeń, daję ci wolność... proszę tylko, nie zatruwaj mego spokoju i pozostaw mnie w ciszy i samotności, niechaj echa imienia twojego nie słyszę w tym domu, ani widzę cienia twojéj kibici.

Zbliżył się do dzwonka, pociągnął za sznurek.

— Co czynisz!?

— Poprosić tu pana rządcę, — rzekł do służącego.

— O! człowieku bez litości, — zawołała Józia, — nie dla siebie jéj wołam, bo o mnie mniejsza. Łamiesz mi życie i wypędzasz z pod dachu, pod który jam się nie wkradała. Wprowadziłeś mnie tu sam taką jaką byłam, i powinieneś mnie zatrzymać taką jaką jestem, ale mniejsza o to... Słusznie czy nie, każesz mi opuścić ten dom, obdzierasz z nazwiska i wypędzasz na głód i nędzę, a jak żebraczce lub kobiecie, która cię bawić przestała, wyznaczasz łaskawie wspaniałomyślną jałmużnę!..

— Wiesz pani sama, — rzekł Rydyng spokojnie, — że słowa te twoje są co najmniéj niesprawiedliwością. Mnie niemi nie podrażnisz, sa-

ma znasz ich wartość i prawdziwość... daj temu pokój.

— Mniejsza o mnie, powiedziałam, chociażbym skonała z głodu i nędzy, nie wyciągnęłabym ręki do ciebie... ty człowieku bez serca... ale może będziesz miał iskrę czucia, może okruszynę względu na własne dziecię... — zakryła twarz rękami.

Rola ta, ostatnia w repertoarze ułożonym w Plotnikach, odegrana była najlepiéj i z największą prawdą i naturalnością.

Staremu litwinowi uderzyło żywiéj serce i wstrząśniony do głębi stał w milczeniu długą chwilę.

Józia śledziła przez palce jego ruchy i twarz, uśmieszek tryumfu zajaśniał na ustach zakrytych i oko błysło zwycięzko.

— O! jak Liwall zna ludzi!.. — szepnęła do siebie.

Rydyng oprzytomniał, podniósł głowę i popatrzył na żonę, jakby z oczu jéj, z postaci odgadnąć chciał prawdę, ale spokoju swojego nie stracił.

— Nie wierzę, — rzekł patrząc na nią z pod oka, — nie wierzę! — Zachwycił jéj uśmieszek ironiczny, tryumfujący, — nie ciesz się daremnie, nie oszukałaś mnie!.. Radzę pani jednak wstąpić do teatru, tam najlepsze pole dla twojego znakomitego talentu, do kochania tam sposobności najwięcéj.

— Ten człowiek jest bez duszy, bez czucia, bez boleści... — rzekła Józia półgłosem.

— O! nie! ohydna szalbierko! — wybuchnął

Rydyng dosłyszawszy, — na komedję mam komedję... nie jesteś godna widzieć moją boleść.

Odchylił drzwi i zawołał:

— Hej! jest tam który? Poprosić tu pana rządcę.

Po chwili wszedł rządca.

— Panie Naszybski, przepraszam, że cię tak fatyguję, — mówił Rydyng spokojnie, — ale chciałem panu powiedzieć, że pani ma zamiar wyjechać, zastosujesz się więc podług jéj rozkazów. Pod rzeczy i ruchomości dać podwody, choćby wszystkie fornalki od najpilniejszéj roboty. Dopilnować, aby zabrano wszystko, bo drugim razem nic się nie wyda. Pani wskaże miejsce swojego pobytu. Sporządzisz akt zapisu cztery tysiące złotych rocznéj pensji z bezpieczeństwem hipotecznem na wszystkich dobrach. Jutro go podpiszę... Pani zaś nie życzy sobie używać mojego imienia i mieszkać w moich dobrach nigdy! nigdy! uważasz pan, nigdy... i koniecznie chce, aby i to było spisane i wyrażone w tym moim zapisie dożywotnim, jako warunek, unieważniający akt zapisu. Pensję tę życzy sobie pani odbierać miesięcznie i wskaże ci swój adres... Mówiła mi także, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ztąd wyjedzie... Przypilnuj pan sam, aby wszystkim jéj życzeniom zadosyć uczyniono... Żegnam panią... Panie Naszybski, podaj mi pan rękę... Wszak mnie pan zrozumiałeś dobrze?..

Rydyng o własnych siłach wyjść nie mógł.

Odprowadzony do swego pokoju padł w fotel i od tego czasu stał się automatem bez czucia i samowiedzy.

W kilka godzin rozległ się turkot po brukowanym dziedzińcu w Niskiem.

Starzec padł w fotel i od owéj chwili pozostał sam w cichym dworze swoim, opuszczony, samotny, oczekujący z niecierpliwością godziny śmierci.

Odsunął się od świata i ludzi, nie widywał nikogo, uciekał i unikał nawet widoku sług swoich.

Dni całe siedział w fotelu, wpatrywał się w portret Zosi lub patrzył na pamiątki po niéj a ze swego pokoju wychodził tylko do „Zosi“, jak nazywał komnatę, gdzie wisiał obraz jego pierwszéj żony.

— Boże! — wzdychał co wieczora, — za jakie grzechy tak mnie skazałeś, dlaczego mi żyć każesz jeszcze?..

XIII.

Zupełnie inną zmianę zrobiły te dwa lata w N. w mieszkańcach przy placu św. Krzyża.

Pani Kalińska pewnego wieczora zasnęła nad pacierzem i marzeniem o synu i zastygła.

Zasnęła na wieki...

Na miejskim cmentarzu przybyła jeszcze jedna mogiła cicha, ze skromnym nagrobkiem.

W kilka dni potem Anna weszła z bijącem sercem do pomieszkania Gustawów.

Szlachetna twarz jéj pięknie odbijała od czarnéj żałobnéj sukni, a oczy siwe za ciemnemi rzęsami błyszczały wyższem natchnieniem i wyrazem głębszéj myśli. Przyniosła resztę długu swojego Gustawowi i przyszła się z nim na zawsze pożegnać.

Dwa lata już upłynęło, jak się rozeszli po rozmowie na cmentarzu. Widzieli się wprawdzie kilka razy w tym czasie, ale zaledwie słów kilka ze sobą zamienili.

Naprzeciw przybyłéj wyszła śliczna kobietka w białym czepeczku z różowemi wstążkami i kilkomiesięcznem dziecięciem na ręku. Była to pierworodna córa Gustawów, z uderzającem podobieństwem do matki, z takiemiż samemi dużemi niebieskiemi oczyma i z tym ślicznym uśmieszkiem, który Stefanję tak piękną robił.

Obie kobiety znały się już dawniéj, bo Gustaw zaprowadził żonę do Kalińskich.

Dziecko rozpłakało się, widząc nieznajomą kobietę czarno ubraną, a Anna uśmiechnęła się czule do dziecięcia.

— Przyszłam się z wami pożegnać, — rzekła Anna, — pożegnać na zawsze. Pochowałam matkę, życie nie ma już dla mnie żadnego celu, żadnéj nadziei... Żyć bez nadziei, to znaczy nie żyć... Dla mnie skończone już wszystko na ziemi...

— Co pani mówi! — przerwała ze słodkim wyrzutem Stefanja.

— Mówię, — odparła siostra Józi, — że za dni kilka furta klasztorna zamknie się za mną na zawsze.

Nadszedł Gustaw — pożegnali się i rozeszli.

Dzień cały panowało w tym domu milczenie, którego ani śmiech małej Stefci rozprószyć nie mógł.

Tak się rozeszło tych dwoje, którzy się kochali w życia poranku.

W rok potem odbyły się obłóczyny Anny.

Anna była spokojną, cichą twarz jéj zaledwie głębokie zdradzało wzruszenie.

Gustawowie powrócili z uroczystego obrzędu w dziwnym nastroju, albo raczéj w naturalnym rozstroju ducha.

— Stało się, — mówił Gustaw do żony — stracona dla świata i ludzi... stało się.. biedna Anna.

— Znajdzie tam tyle upragniony spokój — ciszę, — odrzekła Stefanja, — a chociaż potępiam zamykanie się w klasztorze i usuwanie od społecznéj pracy, usprawiedliwiam Annę... biedna, sama... powiedziała mi raz: nie mam życia, bo nie mam nadziei.

— O! to pewna... życiem jest nadzieja... kto się nie spodziewa, nie wierzy i nie ufa, kto już niczego nie żąda od przyszłości, dla tego nie ma życia...

Przechodząc, na rogu ulicy, Stefanja rzuciła okiem na afisz teatralny, zapowiadający olbrzymiemi literami przedstawienie „Marji Stuart“ Słowackiego.

Gustawowa lubiła namiętnie teatr, czytała więc z zajęciem afisz, ileże było to pierwsze przedstawienie „Marji Stuart“ w N.

Wieczorem powrócił Gustaw wcześniéj do domu jak zwykle i rzekł z uśmiechem do żony:

— Zdobyłem jeszcze dwa ostatnie bilety na dzisiejsze przedstawienie w teatrze; ma występować jakaś europejskiéj sławy artystka, którą nasza dyrekcja zaprosiła na kilka gościnnych występów.

— Ach! mój najdroższy! — zawołała z prawdziwą radością Stefanja, zwieszając się mężowi na szyi i zawisnąwszy na ustach, — jakże się cieszę... przeczułeś i przewidziałeś moje najskrytsze życzenie.

— Alem tego życzenia słowami nie objawiła, — rzekł z wyrzutem Gustaw, przyciskając ją serdecznie do piersi, — zawsze ta sama, nigdy niepoprawna...

— Dlaczegóżeś mnie tak zepsuł?.. przyzwyczaiłeś mnie do tego, że nie potrzebuję słowami objawiać czego pragnę.

Orkiestra uderzyła właśnie ostatnie akordy, gdy Gustawowie weszli do świątyni Melpomeny.

Zaledwie podniesiono kurtynę, Gustaw nie mógł ukryć swego wzruszenia i porywając żonę za rękę, krzyknął prawie głośno:

— Rydynżyna!

„Europejskiéj sławy artystka“, jak ją Gustaw nazwał, zwróciła głowę w stronę, zkąd głos pochodził znajomy.

Żarnowski się nie omylił. To była w istocie Rydynżyna, używająca pod imieniem Kowanowskiéj europejskiéj sławy i wielkiego powodzenia.

Józia poszła za radą swojego męża, wstąpiła na deski teatralne i dowiodła, że każdy człowiek użytecznym być może społeczeństwu.

Kowanowska była jeszcze śliczną kobietą, przy świetle kinkietów, w pysznym stroju zalotnéj królowéj, gdy róż i bielidło znikło wśród wieczornego oświetlenia, była zachwycającą.

Gustaw i Stefanja patrząc na jéj grę rzeczywiście mistrzowską i na blask jéj oczu czarnych,

które główną cechą jéj piękności były, na wyraz twarzy, nad którym dowolnie panowała, nie dziwili się wcale królowi, i Ricciowi, i paziowi... i tylu innym...

— Ta kobieta gdyby chciała, — szepnęła Stefanja do męża, — świat cały rzuciłaby sobie do nóg... jak ona gra twarzą, ruchem, wyrazem oka, zdawałoby się, że słowo każde z głębi jéj duszy pochodzi... i z serca płynie... rumieniec i bladość są jéj nawet posłuszne.

Wyszli z teatru i w milczeniu szli do domu.

— O czem myśli moja żona? — zapytał Gustaw siląc się na spokój.

— Myślę, — odparła Stefanja, — jak są dziwne czasem ludzkie koleje i ludzkie serca. Obie te siostry jednę miały rodzinę, jednakowo wychowane, pieszczone, kształcone... jednakowo kierowano ich sercami i umysłem, a dzisiaj... jedna na deskach teatralnych, druga w klasztorze!..

Lwów, 10 września 1874.

KONIEC.

BIBLIOTEKA UMCS w LUBLIN

Biblioteka [illegible] w Przemyślu

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 20256

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000174341